

# IGRASZKI LWOWSKIE



JAN ZYGMA

13147/63







Kochanyj Tatjana  
z dowid serdecnej i życzliwej

Katowice, dn. G<sup>mu</sup>. 322. <sup>Zygnę</sup>

Tgraszki Lwowskie



Jan Zygmą

# *Igraszki Lwowskie*

Powieść  
z czasów obrony Lwowa



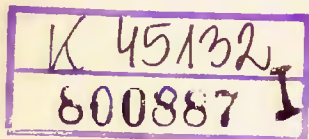
Nakład  
Okręgowego Koła Czwartaków  
Katowice 1932

13147/63

LPI 40

Wszystkie prawa  
przekładu i przedruku  
zastrzeżone.

Copyright by Jan Zygmunt



D. VI.  
Antykwariat  
K-cja, ul. Dworcowa 9  
18.9.63 50.



---

Członkami Księgarni i Drukarni Katolickiej, Spółka Akc.  
Katowice, ulica Marszałka Piłsudskiego 58.

*Braci czwartackiej*

*poświęca*

*Autor*





*MOTTO:*

*Gdy gęga gęś w plecaku  
I bochen chleba tkwi, —  
Czy na wedecie, czy w kabarecie  
Nasz czwartak z losu drwi...*



# I.

— Panie pułkowniku, plutonowy Zbigniew Wirecki prosi posłusznie o przeniesienie do 4 pułku Legjonów do Lwowa...

— Hm... do Liwowa?... do Legjonów?... Już trzeci raz plutonowy prosi?!

— Tak jest, panie pułkowniku, już trzeci raz i... i ostatni...

— He?... Ostatni?... A eto co znaczyt?...

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że jeżeli dziś nie otrzymam przeniesienia na front, do pułku, to... to... zdezerteruję...

— Ha!... — zachnął się pułkownik. — Słyszeli wy co takoję?!... Melduje, co zdiezertiruje!... Ot co!... Zdiezertiruje!... Ot plutonowy!... jednoroczny!... intieligient!... legjonist!... Ufff!... Przy raportie melduje, co zdiezertiruje... Słyszeli wy co takoję?!... A czy wy znacie, panie plutonowy, że ja was za to arestować każę?... Ha?...

— A to mi już wszystko jedno, panie pułkowniku... Ja i tak zdezerteruję... Przed aresztem, czy po areście, to mi już wszystko jedno... Nie poto wysłużyłem trzy lata w Legjonach, by teraz, gdy Polska się już naprawdę tworzy, gdy wojsko bije się na trzech frontach, siedzieć tu w intendenturze i pilno-

wać starych łachów po szwabach!... Po raz trzeci stoję dziś do raportu z prośbą o przeniesienie mnie na front i jeżeli mnie pan pułkownik wreszcie nie zwolni z tego magazynu do pułku, to melduję posłusznie, że zdezerteruję.

— A ty wiesz, panie plutonowy, co teraz czas wojenny i za dezercję sud połowy i pula w łob?...

— Tak jest, panie pułkowniku, wiem, że kula w łeb jest dla tych, co z frontu zdezerterują do intendentury...

— Ot i gadaj tu z takim szelmą!... Ot ja jemu dam nauczkę!... Ot pokażę ja jemu, co to jest niesubordynacja!... Odechce się jemu i Legijonów, i Liwo-wa... Ot szarża!... plutonowy!... kandydat na oficjera, a gada, jak riekрут!... A za dezercję w czas wojenny pula w łob i tylko, panie plutonowy!... Odin czort, czy z intendentury na front, czy z frontu do intendentury!... Ot co ja jemu pokażę!... Panie sjerżancie!... Zaraz po raporcie odprowadzi' do arjestu i napisat' zaraz donos do suda... Ot ja jemu pokażę dezercję!... Uff!... Słyszeli wy co takoję?... Uff... ot szarża, ot plutonowy!... Już ty sobie będziesz plutonowy!... Do arjestu zaraz z nim, ot co!...

Tak się skończył niefortunny raport dla Zbyszka Wireckiego, b. legionisty, który nie mógł spokojnie siedzieć w intendenturze, gdy na pograniczach zmartwychwstającej Polski Niepodległej krwawiły się świeżo formowane pułki, a surmy zbrojne bezustannie, w dzień i w nocy, wygrywały najmiłsze dla ucha młodego wojska polskiego piosnki legionowe.

Zbyszkowe cudne sny o bohaterskich wyczynach w obliczu nieprzyjaciela, sny o marszałkowskiej



buławie, a w najgorszym razie o szabelce sierżantowskiej, miały skończyć się w areszcie garnizonowym.

Wściekłość, hamowana najwyższym wysiłkiem woli, zarumieniła gołowase, owalne oblicze młodego plutonowego. Purpurowe, mięsiste wargi ścisnął tak, że pod nosem zarysowała się cieniutka, ledwo dostrzegalna linja ust. Pomiedzy czarnymi gęstymi brwiami, wyrosła głęboka pionowa bruzda, łącząc się ze zmarszczkami wysokiego, jasnego czoła.

Po skończonym raporcie plutonowy Wirecki podążył w towarzystwie służbowego sierżanta-szefa, Paszkowskiego, do kancelarji oddziału sztabowego.

— Ale z ciebie idjota skończony!... — prawi po drodze sierżant. — Pociś staremu to wszystko bajał?...

— Niech wie, że z relutnem tak gładko nie idzie!... Myśli, że jak mnie przymknie na parę dni, to się przestraszę!... I tak dęba dam!...

— No?... Masz zamiar z aresztu drapnąć?...

— Czemu nie?... Jak się da, to się zrobi!... Chyba jesteś mój przyjaciel?! A jak nie, to niech cię jasna krew zaleje i złam swój fasowany pysk...

— Czegóż cię tak cholera bierze?... O co ci chodzi?

— O to mi chodzi, żebyś mnie tak zamknął, abym jeszcze dziś w nocy wyjechał do Lwowa... Bo jak mnie naprawdę zamkniesz, — no to... szkoda kuźde słowo!... Albo jesteśmy z jednej brygady, albo... się wychrzciłeś!...

— Zamknij na chwilę swoją facjatkę, mój kochany!... Pogadamy o tem potem... może coś uradzimy... Trzeba spokojnie rozważyć...

Weszli do kancelarii, w której krzątał się pisarz, wielce znakomita w wojsku persona.

— Słuchajcie, Zimmermann: pójdziecie do komendanta warty i powiecie mu, żeby się zameldował u mnie w kancelarii.

Zimmermann usiłował wciągnąć w siebie swój niezbyt wyraźny brzuszek i wyprężyć kabłąkowate nogi, z fantazją trzasnął „kopytami“, zrobił „w tył zwrot“ (naturalnie w prawo) i delikatnie zamknął drzwi od zewnątrz. Sierżant Paszkowski i plutonowy Wirecki pozostali sami w kancelarii.

— No! — zaczął sierżant. — Teraz możemy sobie chwilę spokojnie pogadać, — ale na wszelki wypadek mów nieco ciszej i bez patosu... Czegóż ci djabeł tak opętał z tym frontem?... I akurat do Lwowa?...

— Właśnie do Lwowa, bo tam jest cała nasza wiara. Mówiłem ci już kilkakrotnie, że ja tu z tymi intendentami w czarnych portkach nie wytrzymam!... Wiesz dobrze, że w Legjonach byłem zawsze linjowym i nigdy z żadną intendenturą, czy prowianturą nie zadawałem się... Nie nadaję się na łazika!... A tu, jak na złość, po powrocie do wojska odrazu mnie capli do intendentury i ani rusz wydobyć się z tych cuchnących magazynów!... Przed kilku dniami spotkałem na ulicy bataljon wyruszający na front... Aż mnie coś ścisnęło za grdykę, że oni idą, a ja sobie tu siedzę!... A niech szlag cholere trafi!... Nie wytrzymam już!...

— Trzeba ci było drapnąć z tym bataljonem...

— Oni jechali na front czeski, a tam to żadna wojna!... Z pepiczkami?... Nie! ja muszę dostać się

do Lwowa!... Tam jest nasza stara wiara, pułki legjonowe... Do czwartaków!... do swoich!...

— Jakże się tam dostaniesz?... Przecież Lwów jest zupełnie odcięty?...

— Eh, tam odcięty!... Jest tylko od trzech stron zamknięty, a od Przemyśla droga już jest prawie wolna... Zresztą parę dni temu przyjechał kolega ranny pod Chyrowem i opowiadał, że do Lwowa można się już dostać, tylko że mosty kolejowe są w niektórych miejscach zerwane...

— No to jakże się tam dostaniesz?...

— „Sa-mo-cho-dem“, kochasiu!... Stary piechur jestem!... Karpaty przeszedłem, Bukowinę, Wołyń...

— Jabym ci jednak radził przyłączyć się do pierwszej lepszej marszówki. Codziennie teraz odchodzą bataljony na front bolszewicki...

— Nie, kochasiu!... ja muszę do Lwowa!... Tam wśród starej wiary, będę się czuł, jak ryba w jeziorze...

— No dobrze! niech cię we Lwowie szlag trafi... Zawsze przyjemniej wśród swoich, — to masz rację.

— Pewnie, że mam!... Ale teraz trzeba wykombinować, jak się wydostać z tego aresztu?... No i przecież na gapę jechać nie mogę, bo mnie żandarmi capną, a po cywilnemu jeszcze gorzej, bo żadnego respektu dla takiego nie mają!...

— Widzisz, brachu, że to nie tak łatwo jest drapnąć, jak się odgrażałeś!...

— Co to, to nie, — ale nie chciałbym tak drapnąć, aby mnie capnęli, jako dezterera naprawdę, bo to średnia przyjemność tak pod widelcami tłuc się

po rozmaitych aresztach, sądach, komendach placu i etc.

— Tego ci bynajmniej nie życzę, ale jak ci tu zaradzić?...

— Bardzo łatwo. Dasz mi dokument podróży, bo przecież ty masz wszystkie blankiety?...

— Zwarjowałeś, chłopie, czy co?!... Chcesz widocznie, żebym ja za ciebie poszedł do kryminalu?...

— A któż będzie wiedział, że to ty dałeś mi dokument?... Nie posądzasz mnie chyba, żebym to wszystkim zaraz ogłosił, — a sam przecież nie powiesz?...

— Złam pysk, batjar!...

— O cóż ci chodzi, kochasiu?... Przecież blankiet może ci zginąć?... Austriakom nawet armaty ginęły z wagonów, pamiętasz przecież?... A ile im karabinów z kozłów zginęło?... Twoje blankiety przecież ani numerowane nie są, ani specjalnie znaczone... A jak mnie capną, to powiem, żem podrobił. Już jak mam siedzieć, — to wszystko jedno, czy miesiąc dłużej, czy krócej... Zresztą wiesz dobrze, że za dezercję na front nie powieszą mnie!...

— A niech cię piorun trzaśnie!... Przypuśćmy, że ci dam blankiet, ale jak się wydostaniesz z aresztu?...

— Z jakiego aresztu?... Przecież do więzienia mogą mnie wpakować dopiero po przeprowadzeniu dochodzenia sądowego, a to się przeciągnie w najlepszym razie conajmniej do jutra wieczór... Tymczasem każesz mnie przytrzymać na wartowni,

— a podczas zmiany warty, która się odbywa pod wieczór, to już sobie radę dam...

— Aleś sobie to ładnie wykombinował!... A ja za ciebie pójde do kryminału, co?...

— Eh!... Gdzieżby tam ciebie wpakowali!... Taki służbista wzorowy!... Dostaniesz nagane i tyle, a to ci nie zaszkodzi...

— Hm... ale to trochę ryzykowne!... no i nie w porządku, bracie, ze służbą!...

— Służba dziś — to na froncie!... Zresztą co tu dużo gadać, jak niema o czym mówić!... Szkoda kuźde słowo!... Albo jesteś z naszej gromady, albo nie... Jak sztama — to sztama...

— A niech cię krew zaleje!... Dej pyska!...

Uścisnęli się i oblizali sobie nawzajem policzki.

— No dawaj papierki...

— Żeby tylko nie znaleźli je u ciebie przed czasem!...

— Chyba nie każesz mnie rewidować?...

— Głupiś!... — odparł dotknięty do żywego sierżant i sięgnął do szuflady stołu kancelaryjnego, skąd wyciągnął odpowiedni blankiet i wręczył przyjacielowi.

— No widzisz!... To się nazywa sztama relutońska!... Dej jeszcze pyska!... A na pocieszenie, niech ci będzie przeświadczenie, że to, co czynisz dla mnie teraz wbrew przepisom służby, przysporzy naszym lwowskim batjarom dwóch świeżych i wypoczętych obrońców.

— Jak to dwóch?... Któż jeszcze pojedzie z tobą?...



— Zabieram z sobą Stefka Paluchowskiego. Rwie się chłopak do wojska, jak niedźwiedź do miodu!... Niech sobie użyje!... Daj mi więc blankiet karty żołdu, bo szkoda go tam zawieźć, jako rekruta... Dokumentu dla niego nie potrzebuję, bo swój wypełnię na dwie osoby...

— Wiesz, Zbyszkule, jeśli przez ciebie nie dostanę się do kryminału, to będzie istny cud!... — skarżył się sierżant, wyciągając z szuflady żądany blankiet dla nowego obrońcy Lwowa.

— Pociesz się, kochasiu, że to dla Lwowa, który naprawdę potrzebuje świeżych obrońców... A teraz musisz mi jeszcze pomóc wszystko odpowiednio przygotować. Przedewszystkiem dam ci kartkę do Stefka i uprzedzisz go, że dziś wieczorem wyjeżdżamy, potem zapakujesz wszystkie moje graty do tornistra, wybierzesz porządną sztucer i oddasz razem na dworcu do przechowalni, a kwit mi przyniesiesz... Jeśli się graty nie zmieszczą, to zostaw, co będziesz uważał za zbędne w takiej podróży, i przechowaj u siebie... Może je kiedy odbiorę, jak się nam poszczęści we Lwowie...

— Wiesz, Zbyszkule, że najchętniej tobym z wami pojechał!...

— Gdzież tobie do Lwowa z taką potrzaskaną łapą i dziurawym płucem!... Ty w sam raz nadajesz się do wyszkolenia nowej armji... Więcej się tu przydasz, — a tam byłbyś tylko ciężarem. Nie przejmuj się!... Napiszę ci, jak nam tam pójdzie!... Ale byłbym zapomniał!... Powiedz Stefkowi, żeby sobie mundur wytrzasnął, — bo po cywilnemu nie może przecież jechać ze mną, boby głupio wygła-

dało... I niech czeka w poczekalni trzeciej klasy, bo w drugiej mogą się nawinać znajomi oficerowie. Podaj mu dokładną godzinę odjazdu pociągu, żeby się smarkacz nie spóźnił, bo czekać na niego nie będę... A czy w wartowni jest atrament i pióro, bo przecież muszę dokument wypełnić?...

— Jest...

— No to byczo!... Dej jeszcze pyska!...

Zwarli się w serdecznym braterskim uścisku.

— Będę na stacji!... — rzekł sierżant.

I gawędząc o błahostkach, czekali na przybycie komendanta warty...

Za chwilę ukazał się podoficer służbowy i, odebrawszy niezbyt surową instrukcję od sierżanta szefa, wyprowadził ze sobą Zbyszka.

## II.

W skąpem świetle poczekalni dworcowej zbliśka zaledwie można było rozpoznać twarze nielicznych podróżnych. Zbyszek, stojąc pod filarem, ostrożnie rozglądał się po brudnej sali...

— A bodajby jasna krew!... — mruczał pod nosem. — Gotów, trąba, się spóźnić!...

Wreszcie spostrzegł wchodzącą postać w kożusku kawaleryjskim, w maciejówce i z szablą przy boku... Podeszedł do przybysza.

— A niechże cię piorun trzaśnie!.. Jakżeś się ubrał?... Cóż ty zamierzasz?... Do ułanów ci się zachciało?...

— Bo co?... Pewnie, że wolę w ułanach!... No to jedziemy?...

— Sie wi... Ułanów mu się zachciewa!... Wiesz, jaki morus?!... Zobaczymy!... A nie rozglądaj się i nie marudź!... Zaraz wsiadamy... Czy Kazek nie przyszedł z tobą?... Obiecał być na dworcu.

— Jest, ale poszedł do drugiej klasy.

— No to skocz po niego, bo musimy się śpieszyć...

Stefek Paluchowski, dzwoniąc ostrogami, z ręką na gardzie szabli ułańskiej, pełen animuszu ruszył

w podskokach do poczekalni drugiej klasy i za chwilę wrócił z sierżantem Paszkowskim.

— No dej pyska, Kaziu!... Chowaj się zdrów!... Nie zapomnę ci tej przysługi!... — przywitał go Zbyszek.

Ruszyli na peron.

— Wiesz, Kaziu, czuję się teraz innym człowiekiem!... Pomyśl, że za dwa, trzy dni, będę już we Lwowie, w pułku, wśród swoich!...

— Żebyście tylko dojechali do Lwowa...

— Jak nie dojedziemy — to dojdziemy... Nie bój nic!...

— Wiesz, Zbychu, że i mnie się zbiera na dezercję... Tak mi jakoś głupio tu pozostać samemu...

— No, no, Kaziu, bez mięty!... Napiszemy ci z pułku... A teraz bywaj, brachu!... Dej jeszcze pyska...

Uścisnęli się kolejno, poczem Zbyszek ze Stefkem wsiedli do wagonu, gdzie zajęli miejsce w zupełnie pustym przedziale.

— A nie zapomniałeś czego, Stefku? — zapytał Zbyszek, lokując tornister na półce i odpinając pas z bagnetem.

— Nie wiem, zobaczę w drodze, czego mi brak... A otwórz okno, bo Kazek stoi jak drut i patrzy na nas, jakby mu się na płacz zbierało...

Zbyszek ściągnął obramowaną szybę.

— Wyrzyj do niego, bo ja muszę rozłożyć graty, a zresztą nie chcę, żeby mnie kto ze znajomych zobaczył.

Stefek skorzystał z propozycji i zajął otwór okienny.

— Czegóż to, stary, takie szklane ślipie masz?... Widzisz go?... Sierżant, a krochmali się, jak baba... Żal ci, że sam zostaniesz? No cóż?... dość nawojowałeś się... uporządkuj sobie najpierw gnaty. Jak ci przestaną trzeszczeć — to wal do nas, ale daj wpierv znać, byśmy ci mogli miejsce przygotować.

Rozległ się ostry gwizd... Sygnał odjazdu... Zbyszek nie wytrzymał... Odsunął Stefka od okna i wyjrzał...

— Kaziu, a pozdrów naszych łązików!... Wścieknie się stary, żem mu zwał z „arjestu“... No bywaj! Kaziu!... A jak ci wpakują parę dni paki, to pamiętaj, że to dla Lwowa... Trzymaj się i nie daj się!...

— Tylko wróćcie ze wszystkimi gnatami!... Pozdrówcie wiarę!...

Zazgrzytały hamulce, zwalniając koła z mocnego uścisku... Lokomotywa świsnęła, ciężko odsapła, puszczając z sykiem kilka kłębow dymu i ciemne pudła wagonów powoli i ostrożnie poczęły wysuwać się z pod dachu peronu... Za chwilę cały dworzec zniknął w ciemnościach bezgwiazdnej nocy styczniowej...

— No co, Stefku?... Jedziemy?...

— No niby!... Czy tylko dojedziemy?...

— Jak nie dojedziemy — to dojdziemy... W Przemyśle dowiemy się, jak daleko możemy dojechać.

— A co będzie, jak z Przemyśla wcale pociągi nie odchodzą?...

— Głupiś!... Przecież z Przemyśla wyjeżdżają wojska na odsiecz do Lwowa, jakżeby pociągi nie szły?!... Nie bój nic! Jeśli nas tylko żandarmi nie



capną, t. j. mnie, to zajedziemy do Lwowa i będziemy bili hajdamaków, jak się patrzy!...

— Za co by nas mieli żandarmi capnąć?...

— Och, jakiś ty naiwny, kochasiu!... Przecież zdezerterowałem, a za to podczas wojny sąd polowy i kula w łeb!... Pocieszam się jednak, że za dezercję na front, odrazu mnie pod ścianę nie postawią. Zresztą najgorszy to pierwszy odcinek do Rozwadowa, a już dalej to głupstwo.

— Ale przecież masz dokument podróży?!...

— Dokument mam, tylko, że poza pieczęcią i podpisem mojego dawnego wodza, jest on całkowicie przeze mnie wypełniony.

— No to nas mogą jeszcze capnąć?...

— Nie wiem, kochasiu... Może będzie miał dyżur jaki znajomy żandarm, — toby nam gładko poszło, a jak będzie obcy, to trza będzie kręcić.

— Tymczasem trzeba koc odpiąć i nakryć się, bo dranie wcale pociągu nie ogrzewają.

Zaczęli odpinać paski, któremi przymocowany był do tornistra, zrolowany po wojskowemu i zgięty w kabłak koc.

— Ty, Zbychu, a jakżeś drapnął z aresztu?... Nic mi o tem nie powiedziałaś?...

— Stul pysk, mało zielona, bo jeszcze kto usłyszy!... Nic ciekawego, opowiem ci przy sposobności, a teraz wyciągnij się i śpij!... Dobranoc!...

Zbyszek rozwinął koc i okręciwszy się nim, wyciągnął się na twardej ławie, pokazując przyjacielowi, jak ma się dostosować do żołnierskich wygod.

Po chwili obydwaj, szczególnie w koce zakutani, udawali, że drzemią. Lecz myśl każdego z nich intensywnie pracowała.

Zbyszek, podniecony udaną ucieczką, z niecierpliwością oczekiwał wizyty żandarmów, którzy kontrolowali wojskowych podróżnych. Starał się jednak opanować trapiący go niepokój, by nie ściągnąć na siebie zbytnej uwagi groźnych stróżów bezpieczeństwa, popularnie zwanych „kanarkami“.

Stefek też nie spał, ale z innych zgoła przyczyn. Miał lat 17 i po raz pierwszy opuszczał dom rodzicielski oraz... wybrankę swego budzącego się serca. Pragnął wrócić zwycięzcą i oswobodzicielem lwiego grodu, by zasłużyć na wzajemność swej ukochanej... Marzyły mu się wawrzyny, sława, order, awanse, szlify oficerskie...

Miarowy, jednostajny turkot kół i zgrzyty osi działały uspokajająco na przyjaciół, którzy naprawdę drzemać zaczęli...

Około pierwszej w nocy został Zbyszek obudzony czyjś niezbyt subtelnym dotknięciem... Przetarł oczy, siadł na ławce i przeciągnął się, usiłując ogarnąć sytuację... Był to patrol żandarmerji...

— Dokument podróży do kontroli...

Zbyszek spojrzał na żandarmów i aż krzyknął z uciechy. Jeden z nich był jego kolegą.

— Serwus, Władek!... To ty mnie tak budzisz?...

— Ano widzisz, trzeba tłuc się po nocach...

— No, no!... Pewnie wolisz to, jak tłuc się po froncie, co?... Jadę do Lwowa... Dostałem wreszcie przeniesienie do pułku. Masz dokument do kontroli...

Podał żandarmowi ostemplowany papier, na który ten ledwie spojrział.

— Więc jednak cię puścili?...

— Jak widzisz... Tak się naprzykrzałem, że wreszcie puścili. Co mieli robić ze mną?...

— Ale z ciebie wiercipięta!... Siedziałbyś sobie spokojnie w magazynie! Jakże się dostaniesz do Lwowa?... Przecież niema połączenia?...

Głośna rozmowa obudziła Stefka. Wielkimi oczami spoglądał dokoła.

— Popatrz, popatrz!... A ty dokąd, Stefuniu?...  
— zapytał zdziwiony żandarm.

— Do Lwowa... — odparł z dumą Stefek, siadając na ławce.

— Jedzie ze mną... — objaśnił Zbyszek. — Dokument jest na dwie osoby.

— Więc wstąpił do wojska?...

— Chce do ułanów, ale pójdzie ze mną do czwartaków...

— Będiesz go miał na sumieniu...

— Nie szkodzi!... co ma wisieć nie utonie... Jak go ma szlag trafić — to wszystko jedno, czy go tramwaj przejedzie, czy go kula hajdamacka przeździurawi... A zawsze to lepiej, jak na prostej drodze kark skrócić, prawda, Stefku?...

— No pewnie!... — przytwierdził przyjaciel z pompą.

— Ale wiesz, Władziu, — zwrócił się Zbyszek do żandarma, — że tobie to jednak nadziwić się nie mogę...

— No?... Czemuż to?

— Że tak kompromitujesz swoich znakomitych przodków. Jagiełło jesteś, a przytem zwykły „kanarek“... I do tego jeszcze Władysław. Przyznasz sam, że to przykry paradoks. Imiennik zwycięzcy z pod Grunwaldu, pogromcy Krzyżaków, jest w Polsce Odrodzonej takim sobie zwykłym kanarkiem... Ale ty chyba jesteś z tej krzywej linii Jagiełłów, co?...

— Głupstwa, mój drogi, wygadujesz!... Nigdy z tobą porządnie mówić nie mogę!... Zawsze musisz warjata strugać.

— Jak kto woli... A ja bym się wstydził plamić tak historyczne nazwisko zawodem zwyczajnego kanarka... Mógłbyś przynajmniej pseudonim jakiś przybrać sobie...

— No serwus, daj ci Boże, mój bohaterze!...

— Serwus Władziu, ale nie krzyw się, bom ci to z serca powiedział... Szkoda takiego nazwiska dla twojej przykrej służby... Pomyśl o tem i wykombinuj sobie jaki pseudonim.

Żandarm machnął lekceważąco ręką, przyłożył dwa palce do daszka i odwrócił się, przechodząc do następnego przedziału.

— Dobry Jagiełło, co Stefku?... — zainteresował Zbyszek przyjaciela.

— Łazik i tyle!... — odparł z wyrazem pogardy przyszły obrońca Lwowa. — Gdybym ja miał takie nazwisko, a nie jakieś paluchy...

— No to cobyś zrobił?...

— Nie wiem jeszcze... ale w każdym razie lepiej nazywać się Jagiełło, jak zwyczajnie, Paluchowski, z przeproszeniem...

— Dałbyś Polsce drugi Grunwald co?...

— Co tam Grunwald!... Już my im Grunwald sprawili w listopadzie podczas rozbrojenia.

— Wszystko to pięknie kochasiu, ale teraz trzeba naprawdę trochę pospać, skoro udało nam się tak gładko wykiwać tych kanarków... Jest godzina dziewiąta. W Przemyślu będziemy około trzeciej...

— A jak długo zostaniemy w Przemyśle?

— Zależy kiedy będzie połączenie do Lwowa... Jak dobrze pójdzie możemy już o dziewiątej rano być w pułku... A więc śpimy, co?... Dobranoc!

Zbyszek owinał się szczelnie kocem i odwrócił się twarzą do oparcia ławki. Za chwilę, zasłoniwszy siatką światło lampy gazowej, i Stefek poszedł w ślady przyjaciela i opiekuna...

### III.

Potężny szturchaniec zerwał Stefka na równe nogi.

— Co?... Co jest?... Czy to już Lwów?...

— Jeszcze nie, ale już go prawie widać...

— A co? Przesiadamy?...

— Owszem na swoje własne pedały, bo pociąg dalej nie idzie...

— Jakto? Możemy źle zajechali?...

— Głupiś... Mosty są przed nami zerwane. Pociągi do Lwowa nie dochodzą...

— No to jakże się dostaniemy?...

— Powiedziałem ci już. Samo-cho-dem marki „per pedes apostolorum“.

— A gdzież my jesteśmy?...

— W Sądowej Wiszni... niedaleko Lwowa... parę kilometrów... No, ale nie marudź, bo trzeba ruszać. Zbieraj się żywo, bo nas pociąg z powrotem zawiezie.

Stefek począł rolować swój koc i zbierać manatki do tornistra.

— Któraż to godzina?...

— Czwarta dochodzi... Sądzę, że około południa będziemy we Lwowie. Mamy przeszło 50 km marszu przed sobą... Do południa możemy to odrobić.

— Dopiero?...

— Prędzej chyba nie, zresztą dowiemy się w Gródku Jagiellońskim. Tam są nasze placówki... Może złapiemy jakieś auto ciężarowe albo podwodę... Do Gródka mamy tylko 18 km, za trzy—cztery godziny możemy tam być...

— A jakżeś to wszystko tak wykombinował?... — zainteresował Stefek, niezbyt orjentując się jeszcze w terenie.

— Ano zrobiłem wywiad... Trochę od konduktorów się dowiedziałem, trochę od cywilów i jakoś sytuacja się wyjaśniła...

Zarzucili tornistry na plecy i opuścili wagon. Styczniowa noc iskrzyła się miliardami gwiazd. Młode, spragnione świeżości płuca, z rozkoszą wchłaniały ostre, mroźne, prawie kłujące, powietrze...

— Którędy pójdziemy?... Znasz drogę do Lwowa?... — pytał Stefek swego opiekuna.

— Wprawdzie po tej okolicy nigdy jeszcze nie spacerowałem, ale jakoś trafimy... Najpewniejszy przewodnik — to tor kolejowy. Można iść zupełnie spokojnie i nie oglądając się, bo ani z przodu, ani z tyłu pociąg nie nadjedzie... Ale wiesz, że to głupi wynalazek ta kolej, bo bez szyn ani kroku nie pójdzie.

Ruszyli nasypem kolejowym. Monotonję samotnego nocnego marszu urozmaicało im wesołe echo chrupiącego pod nogami wysuszonego mrozem śniegu.

— Zbychu!... — szepnął Stefek, — przecież w takiej pustce mogą nas łatwo capnąć ukraińcy...

— A skąd mają wiedzieć, że my sobie tędy spacerujemy?... Chyba im nie zatelegrafowałeś, że wybieramy się do nich z wizytą...?





— No przecież mogliby tu być w okolicy...

— Przedewszystkiem, głuptasku, gdyby tu mieli być ukraińcy, to od strony Sądowej Wiszni byłyby nasze placówki... Wypadki czasem chodzą po ludziach, — to prawda, — ale ty jeszcze nie jesteś „ludź“ i masz czas martwić się, gdy naprawdę natkniemy się na hajdamaków. Zresztą wątpię, byśmy ich spotkali, — bo, jak opowiadali na stacji, przeszedł tędy do Gródka jakiś bataljon, więc prawdopodobnie uprzątnął całą drogę... W każdym razie musimy natknąć się na nasze placówki, bo pozycje są niezbyt daleko, gdyż ten tor kolejowy jest, zdaje się, jedyną dziurą w pierścieniu ukraińskim, otaczającym Lwów. Ale ty się nie martw, bo co ma wisieć nie utonie, a ty napewno będziesz wisiał, bo masz pietra...

— E tam, znowu!... pietra takiego nie mam, — ale zawsze to trochę głupio tak we dwójkę w nocy natknąć się na hajdamaków...

— Nie bój nic!... Tu jesteśmy jeszcze zupełnie bezpieczni...

Szli dalej w milczeniu, mając za jedynego towarzysza echo skrzypiącego bezustannie śniegu...

Przewidywania Zbyszka wkrótce sprawdziły się... Po dwugodzinnym forsownym marszu, prze-rwał uroczystą ciszę gwiaździstej nocy, donośny, twardy okrzyk niewidzialnej wedety.

— Stój! kto idzie?...

— Swoj!... — odparł głośno i pewnie Zbyszek. — Plutonowy Wirecki udaje się do Lwowa do czwartego pułku wraz z kolegą.

— Hasło?... — zapytuje wartownik.



— Nie znamy hasła, bo jedziemy z hinterlandu... — odpowiada Zbyszek, zbliżając się do wartownika.

— Stój!... — wrzeszczy wedeta. — Ani kroku!... Jak ni znaci hasła — to padnij!...

— Ależ, obywatelu, też mówię wam, że jestem plutonowym, legjonistą i jade do Lwowa, do czwartego pułku... Skądże mam znać hasło, jak przybывamy z hinterlandu?!...

— Gadaj zdrow, obywatelu plutonowy! Taj my już takich znamy!... Padnij, mówię, bo strzylam!... Bez żadnego gadania!... Na placówce opowiecie wszystko komendantowi.

— Niema co, Stefku!... — szepnął Zbyszek, układając się w śniegu i ciągnąc za sobą przyjaciela. — Tu już jesteśmy na prawdziwej wojnie... Padnijmy, bo ten batjar gotów naprawdę strzelać.

Obydwaj wyciągnęli się na ziemi, pokrytej grubą warstwą śniegu. Wartownik podniósł karabin, oparł kolbę o ramię i strzelił w górę. Stefek, dygocąc całym ciałem, przytulił się do przyjaciela.

— Nie bój nic!... — uspokajał Zbyszek towarzysza. — Strzela, żeby zaalarmować placówkę... Zaraz nadejdzie patrol...

W istocie za chwilę usłyszeli kroki i ujrzeli kilka zbliżających się do nich sylwetek.

— Co za alarm, Poldek?... — pytał jeden z grupy przybyłych.

— Taj jakieś łaziki nawinęli si, — raportował wartownik, — taj hasła ni znają. Taj jeden powiada, że plutonowy, stary legun, taj do czwartego Legjonów

do Lwowa si wybira. Taj co mają ryć nosem w śniegu?!... Zaalarmowałem, żeby ich stąd zabrać...

— Powstań!... — rozkazał leżącym komendant patrolu. — Co wy za jedni?...

Zbyszek w kilku słowach wytłumaczył komendantowi cel swojej z towarzyszem wędrowki, poczem udali się wszyscy na placówkę, która mieściła się w pobliskiej, opuszczonej przez mieszkańców, zrujnowanej chałupie. Po krótkiej wymianie zdań i po sprawdzeniu dokumentów, dowódca placówki udzielił samotnym wędrowcom niezbędnych wskazówek na dalszą drogę, żegnając ich serdecznym uściskiem dłoni.

— Taj pozdrówcie czwartaków... To fajna wiara, byli my razem w Gródku podczas ataku hajdamaków.

Za chwilę Zbyszek ze Stefkiem wędrowali dalej krokiem „podwójnym“... Szli teraz drogą, wskazaną im przez placówkę, śmiało i odważnie, bez obawy napotkania nieprzyjaciela, który nie mógł już znajdować się poza placówkami.

— No co Stefku?... jak ci się podobało?... — zagadnął Zbyszek przyjaciela.

— Myślałem, że będzie gorzej...

— Czasem bywa znacznie gorzej. Jakiś morowy chłopak był na wedecie, bo mógł nas przetrzymać spokojnie, aż do nadejścia zmiany. Tak z godzinkę odpoczywać na śniegu, to niezbyt byłoby przyjemnie, zwłaszcza, kiedy się nam śpieszy...

— Bycze chłopaki te lwowiaki!... — zawyrokował Stefek. — A jak śmiesznie śpiewają i przeciągają...

— A ja lubię ten akcent lwowski. W Legionach to też tak się przyzwyczaiłem przeciągać... Zresztą poznasz bliżej lwowiaków... Będzie na to dosyć czasu...

Spotkanie to z pierwszą polską placówką pod Lworem dodało im ochoty i animuszu do dalszego marszu, który Zbyszek umilał towarzyszowi opowiadaniem anegdotek legionowych... Nie spostrzegli nawet, kiedy gwiazdy ze sklepienia niebieskiego znikły, a biały dzień zlał się w jedną całość z białym całunem ziemi.

Po godzinnym forsownym marszu, ujrzeni wreszcie sylwetki zrujnowanych pociskami nieprzyjacielskimi zabudowań Gródka Jagiellońskiego, co skłoniło ich do przyśpieszenia i tak dość szybkich kroków. W niespełna pół godziny znaleźli się na dworcu Gródeckim, gdzie dowiedzieli się, że do Lwowa odchodzi narazie tylko... pociąg pancerny i to za kwadrans.

Zbyszek nie namyślał się długo i zameldował się u komendanta pociągu, prosząc o zezwolenie przejazdu do Lwowa... Sprawdzone dokumenty i tradycja legionowa Zbyszka przemówiły na jego korzyść... Za chwilę ulokował się z przyjacielem w jednym z wagonów pociągu pancernego... Dla Stefka przejazd do Lwowa w pancerce był szczytem marzeń. Była to dla niego najwspanialsza podróż, jaką odbył w ciągu 17-tu lat swego żywota. Żałował tylko, że taka była krótka, bo w niecałą godzinę przebyli przestrzeń pomiędzy Gródkiem a Lworem... Na dworcu podziękowali serdecznie komendantowi pociągu za dowieszenie ich do celu swych marzeń i wędrówki...

— Ty, Zbychu, to jesteśmy już we Lwowie?...  
— Podobno... Przeczytaj sobie napis...  
— Rzeczywiście... Ale popatrz jak ten dworzec wygląda?!...

— Wygląda?... Wcale nie wygląda!... Ha!...  
cóż?!... Wojna, kochasiu, całkiem prawdziwa wojna!...

— Ale żeby aż tak zrujnować?...

— Widocznie poculi, że ten dworzec nigdy do nich należeć nie będzie, więc mszczą się na murach...

— Ooo!... Zaczyna mi się zbierać na tych  
ukraińców!...

— Poczekaj, kochasiu, jeszcze ci się więcej na-  
zbiera... A teraz nie traćmy czasu, tylko marsz do  
pułku... Trzeba się zapytać, gdzie pułk kwateruje...

Podszedł do żandarma, pełniącego służbę na  
dworcu.

— Obywatelu, gdzie czwarty pułk obecnie się  
znajduje?...

— Czwarty?... Zaraz, obywatelu...

Zaczął szukać w notesie służbowym.

— Czwarty stoi w koszarach na Zamarstynow-  
skiej...

— A to daleko, obywatelu?...

— Taj kawałek. Pójdziecie Gródecką, Kaźmie-  
rzowską, no a potem to si zapytacie policaję — no to  
wam dalij pokaże...

Zbyszek podziękował za informację i ze Stef-  
kiem opuścili dworzec, udając się we wskazanym  
kierunku.

— Wiesz co, Zbychu? Możebyśmy wstąpili naj-  
pierw gdzie na śniadanie?...

— Dostaniesz w pułku. Szkoda czasu.

Szli dalej w milczeniu. Stefek oglądając skwery, gmachy i wystawy, a Zbyszek wzruszony, że wreszcie dociera do tak upragnionego celu. W pewnej chwili usłyszeli złowrogi poświst powietrza. Zbyszek stanął, nasłuchując...

— A co to było, Zbychu?...

— Et... Zwyczajny granat...

Trzask i huk wybuchającego pocisku armatniego rozległ się za chwilę gdzieś w pobliżu... Z wyrazem ogromnego zdziwienia spoglądał Stefek na swego opiekuna...

— Jakto?... Więc oni do miasta strzelają?...

— Dranie!... W same centrum wala!... A niech ich jasna krew!... To szwabska szkoła, niczego nie uszanują!... Ale chodźmy, szkoda czasu!... Pewnie w drodze na Zamarstynowską jeszcze nie jeden taki wybuch usłyszymy... Pociesz się, Stefku, jesteś już na wojnie...

Szli dalej krętymi uliczkami w stronę Zamarstynowa. Wybuchy granatów, eksplodujących na pobliskich ulicach, nie wstrzymywały już ich śpiesznych kroków... Przyglądali się jeno ciekawie zrujnowanym domom i głębokim lejom na ulicach... Wreszcie ujrzeni na jednym z narożników napis „Zamarstynowska“... Jeszcze bardziej przyśpieszyli kroku i za chwilę stanęli przed ciemnym brudnym gmachem, nad bramą którego wisiał szyld z napisem „4 pułk Legionów Polskich“.

Zbyszek zatrzymał się na chwilę przed bramą... Ze wzruszenia przymknął oczy i głęboko westchnął...

— Jesteśmy u celu... — rzekł z uśmiechem.

— No to chodźmy, Zbychu, bo mi się djabelnie jeść chce...

Weszli do bramy... Tablica orientacyjna skierowała ich na pierwsze piętro, gdzie mieściła się kancelaria pułkowa.

#### IV.

W połowie stycznia 1919 r., gdy Zbyszek ze Stefkiem znaleźli się we Lwowie, sytuacja na tym odcinku bojowym nie przedstawiała się zbyt różowo. Wyrzuceni z miasta przez przybyłą w listopadzie 1918 r. odsiecz ukraińcy zajęli stanowiska tuż za miastem, otaczając je gęstym pierścieniem placówek. Jedynie od zachodu udało się obrońcom wyrąbać wązki chodnik, który umożliwiał komunikację miasta z resztą kraju. Ale zbyt słabe liczebnie oddziały odsieczy nie były w stanie kontynuować planowej walki zaczepnej w celu odrzucenia nieprzyjaciela poza najbliższe okolice Lwowa. Musiano zaprzestać na utrzymaniu za wszelką cenę zachodniej bramy i uniemożliwieniu ukraińcom połączenia łańcucha placówek, otaczających miasto. Kilkakrotnie podejmowane przez ukraińców próby zupełnego otoczenia i ponownego odcięcia Lwowa rozбивały się o dzielną postawę obrońców. Usadowiwszy się więc tuż za murami Lwowa ukraińcy związali załogę żmudnymi walkami pozycyjnymi i rozpoczęli regularne bombardowanie miasta w nadziei, że szczupła garstka obrońców i znękani mieszkańcy wcześniej czy później wy-czerpią się i miasto oddadzą. Obliczenia te okazały się jednak złudnymi, gdyż mimo dwumiesięcznych



prawie bojów załoga trzymała się dzielnie, nie ustępując wrogowi ani piędzi ziemi.

Czwartacy walczyli we Lwowie i okolicy od pierwszej chwili zatargu zbrojnego z ukraińcami. Nie czekając nawet na sformowanie swego pułku, b. legjoniści z 4 p. p. Leg., znajdujący się we Lwowie i okolicy, zgrupowali się pod rozkazami kpt. de Laveaux i pod jego dowództwem stoczyli we Lwowie pierwsze walki z ukraińcami. Następnie przybywają z odsieczą, prowadzoną przez płk. Tokarzewskiego, nowe oddziały czwartackie, sformowane w Krakowie przez twórcę i dawnego dowódcę 4 p. p. Leg., gen. Roję. Zebrani ponownie pod sztandarem swego pułku czwartacy walczą z tradycyjną brawurą na całym froncie ukraińskim od Chyrowa do Lwowa włącznie.

Zbyszek, jako dawny czwartak, został w Dowództwie pułku przyjęty z „otwartymi ramionami“. Wraz ze Stefkiem otrzymał przydział do kompanji karabinów maszynowych.

Z kancelarji pułkowej pośpieszył więc ze świeżo upieczonym czwartakiem natychmiast do kompanji. Gdy stanęli przed dowódcą, Zbyszek trzasnął obcasami i wyprężony, jak struna, zaraportował:

— Panie poruczniku, plutonowy Zbigniew Wirecki, były legjonista, melduje posłusznie swój przydział do kompanji karabinów maszynowych.

— A skąd jesteście?...

— Z Lublina, panie poruczniku... Dziś rano z kolegą Paluchowskim przyjechaliśmy i po zameldowaniu w pułku przydzielono nas do kompanji karabinów maszynowych.

— I wy też?... — zapytał porucznik wyprężonego obok Stefka.

— Tak jest, panie poruczniku, razem żeśmy przyjechali.

— A ileż macie lat?...

— Siedemnaście, panie poruczniku.

— A wy? — zwrócił się porucznik do Zbyszka.

— Ja, panie poruczniku, skończę już w marcu osiemnaście.

— I już jesteście plutonowym?... Czy jeszcze z Legionów?

— Nie, panie poruczniku. W Legionach byłem frajtre, a plutonowym zostałem już w Wojsku Polskim.

— No, no!... A ileż mieliście lat, wstępując do Legionów?...

— Prawie piętnaście, panie poruczniku.

— No, no!... A jakżeście się dostali do Lwowa?...

— Rozmaicie, panie poruczniku... Trochę pociągłem, trochę per pedes apostolorum,... troszeczkę pancerką.

— Jakto pancerką?...

— Z Gródka szła rano pancerka do Lwowa, więc zabrała nas...

— No! no! — kręcił głową porucznik. — A dokumenty macie?...

— Tak jest, panie poruczniku, oto dokument podróży na dwie osoby i karta żołdu.

Porucznik przejrzał papiery i oddał sierżantowi służbowemu.

— Wypłacie im, sierżancie, żołd za ostatnią dekadę i strawne za podróż... A czy jesteście maszynowcy?...

— Trochę, panie poruczniku, — odparł Zbyszek bez zająknięcia. — W Legjonach służyłem pewien czas przy maszynkach.

— A wy? — zwrócił się porucznik do Stefka.

— Ja niebardzo, panie poruczniku, bom jeszcze na wojnie nie byłem... Ale, — dodał z pośpiechem, w obawie, żeby ich nie rozłączono — to raz dwa pójdzie, panie poruczniku, szybko się nauczę...

— No zobaczymy! Sądzę, że was kolega przysposobi na dobrego maszynowca... Dostaniecie obydwaj przydział do trzeciego plutonu. Zameldujecie się u podchorążego Mizgalewicza... Po południu dziś jesteście wolni, a od jutra do służby... Za parę dni wyjdziemy na odcinek, więc musicie zapoznać się dobrze z maszynką...

— Rozkaz, panie poruczniku!...

— Możecie odejść... Zgłosicie się potem po strawne i żołd...

— Rozkaz, panie poruczniku!... — odparli, salutując.

Po opuszczeniu kancelarii Stefek szturchnął swego opiekuna, robiąc do niego „perskie oko” i uśmiechając się filuternie.

— Czego mordę wykrzywiasz?... Oko ci pęknie!...

— A to ci stypa!... Cha, cha, cha!... — zaśmiał się Stefek pełną gębą.

— Czegóż, mało, się drzesz?...

— Ach! to strawne za podróż!... cha, cha, cha!... Nie mogę!... trzymaj mnie!... bo skonam... cha, cha, cha!... — pokładał się ze śmiechu.

— Czegóż, trąbo, się śmiesz? Przecież za podróż nam się strawne słusznie należy...

— Cha, cha, cha!... — zanosił się Stefek. — Za podróż!... Fajny kawał!... Cha, cha, cha!... zdezerterował, a teraz mu za podróż płacą strawne... cha, cha, cha!... Byczy kawał!... Będą konali ze śmiechu, jak im to opowiem... gdy wrócimy do Lublina...

— Stul pysk, rekrucie zamazany, bo jeszcze kto ułyszy!... Ale z ciebie małpa zielona!... Też powód do śmiechu... No stulże już gębę i chodźmy zameldować się dowódcy plutonu... A ten byczy kawał to schowaj sobie na potem, do Lublina...

— No już dobrze, dobrze!... Ale powiedz mi, Zbyszku, jak to będzie przy tych karabinach maszynowych? Przecież ja nie mam zielonego pojęcia o tem?!...

— A myślisz, że ja mam pojęcie?... Widziałem na froncie, jak charatali z takich maszyn, — ale jeszcze tego w rękę nie miałem...

— A czemuś mówił przy raporcie, żeś służył przy maszynkach?

— Miałem udawać rekruta?... Nie bój nic!.. Pójdzie, jak po maśle... Karabin maszynowy, czy zwykły — jednakowo się strzela... Za 2—3 dni będzie i z ciebie maszynista, że aż hej!... A teraz chodźmy się meldować.

Podchorążego Mizgalewicza, komendanta plutonu, nie było chwilowo w koszarach, wobec czego nowoupieczeni maszynowcy zameldowali się u pod-

oficera inspekcyjnego sali. by otrzymać „kwaterę“ w postaci drewnianej pryczy. Podoficer wskazał im wolne legowiska...

— Ty, Zbychu!... Wolisz na górze, czy na dole?...

— Ja się ulokuję na pierwszym piętrze — będę przynajmniej pewny, że mi w nocy nic do geby nie kapnie.

— No to ja też, żeby, wiesz, razem...

— Jak chcesz...

Wgramolili się na piętro, gdzie poczęli lokować swój bagaż, wydobyty z plecaków.

— Zbychu!... A nic tu nam nie zginie?...

— Jakiś ty jeszcze naiwny, chłopczyku!... Możesz nawet swój chronometr wyłożyć... Któżby ci tu miał co ukraść?...

Wokół przybyszów tymczasem poczęli się gromadzić starzy czwartacy, doświadczeni obrońcy Lwowa, ciekawie przyglądając się nowym towarzyszom broni...

— A wyście skąd przybyli, obywatele?...

— Z Lublina...

— Z Lublina?... tak we dwójkę?...

— A tak...

— Isz go... — mrucono z pewnym respektem.

— A jakżeście się dostali do Lwowa?...

— Zwyczajnie, pociągami...

— Ciekawe!... — mrużeli czwartacy, nabierając szacunku dla gości, którzy tymczasem zeskoczyli ze swego piętra.

— Co ciekawe? — zagadnął Zbyszek. — Żeśmy przyjechali? Cóż takiego?... Wsiedli do wagonu i przyjechali...

— Taj przecież pociągi nie kursują, bo mosty zerwane...

— Ee tam zerwane!... Kawalek tylko od Sądowej Wiszni do Gródka...

— No, a jakżeście się do Gródka dostali?...

— Samo-chodem o sile dwóch „HP“ — „*humanum-pedum*“ — rozumiecie po łacinie?...

— Sie wi!... Toście parę kilometrów zrobili!...

— A wy tu dawno jesteście? — zapytał Zbyszek.

— Od listopada... Przyszliśmy z odsieczą, z grupą pułkownika Tokarzewskiego...

— Czy cały pułk jest we Lwowie?

— Ta gdzie tam... Mamy tu tylko dwa bataljony i to niepełne, bo kompanje 4-ta i 10-ta trzymają odcinek gdzieś pod Gródkiem... Trzeci bataljon siedzi pod Warszawą, w Jabłonnej.

— A jakże z ukraińcami?... Dobrze się biją?...

— Ta gdzie!... Takie dziadostwo hajdamackie!...

— Jakeśmy rano szli z dworca, to wcale dobrze tłukli w miasto.

— W miasto, to oni tłuc potrafią... Ale jak przyjdzie do czego, to dęba dają... A wy jak się nazywacie?...

Zbyszek wymienił swoje nazwisko i Stefka, czyniąc zadość formom towarzyskim i witając się z nowymi towarzyszami broni.

— A macie tu, chłopcy, co pofrygać?... bo się nam nie chce na miasto wychodzić...

— Z byka żeście spadli, czy co?... Na miasto pofrygać?... Taj zaraz obiad będzie, pójdziecie z nami do kuchni, postaramy się wam o specjalną porcję..



Zaprowadzili gości do kuchni, gdzie wydano im suty obiad, składający się z dobrej porcji zupy grochowej i gulaszu z pečzakiem.

Po obiedzie Zbyszek ze Stefkiem zabrali się do maszynki i w przeciągu godziny poznali niezbyt skomplikowany mechanizm karabinu maszynowego i sposób użycia tego czekającego i boleśnie kásającego stalowego „pieska“, zwanego konwencjonalnie „Schwarz-Lose, 08“. Niemało było śmiechu i uciechy, gdy przy rozbieraniu maszynki wyskakiwała stalowa sprężyna o sile 20 kg. mierząc prosto w piersi Stefka, który zbyt lekko przytrzymał ją przy otwieraniu tyłców. Wkrótce jednak poznał i zmierzył siłę sprężyny, starając się przy odkręcaniu tyłców uniknąć bolesnych razów.

Podczas studjów nad wnętrznościami „Schwarz-Lose'go“ zjawił się na „sali“ dowódca plutonu, podchorąży Mizgalewicz, któremu dwaj świeżo upieczeni maszynowcy zameldowali się. Ani Stefek, ani Zbyszek nie otrzymali żadnych funkcji specjalnych do czasu dokładnego zaznajomienia się z maszynką, pozostając na stanowiskach zwykłych szeregowców. Nie było to zresztą dla nich żadną ujmą, gdyż obsługę karabinów maszynowych stanowiła sama „szarża“.

Przy karabinie, do którego przydzielono Zbyszka ze Stefkiem, obsługa składała się z 1 plutonowego, dwóch kaprałi, dwóch frajtrów, i jednego szeregowca. Przybyli więc: 1 plutonowy i 1 szeregowiec. Nie lepiej było przy drugiej maszynie, której obsługę stanowili: 1 plutonowy, trzech kaprałi, trzech frajtrów i jeden szeregowiec...



Bezpośrednim przełożonym Zbyszka i Stefka był komendant maszynki, plutonowy Julek Żakowski, najstarszy wiekiem w całym plutonie, student politechniki lwowskiej z pół dyplomem, stary peowiak, zwany przez kolegów „inżynierem“ lub „okularnikiem“ z powodu binokli — uosobienie angielskiej flegmy; zastępcą jego był kapral Harasymiec, — stary legionowy maszynowiec, doświadczony żołnierz; resztę obsługi tego karabinu stanowili: kapral Wiszniewski — z austriackiej armji, frajter Zakrzewski Józik — 16-letni „weteran“ z szeregów pierwszych obrońców Lwowa, młody i cichy chłopczyzna, następnie frajter Tomaszewski Wojtek, z austriackiej armji, i Mazurkiewicz Tadzik, 17-letni student gimnazjalny stale zamieszkały w Wiedniu, — niewiadomo, jakimi drogami przedostał się do Lwowa. Do tej gromady dostali się Zbyszek i Stefek.

Przy drugim karabinie było również dobrane towarzystwo: a więc komendant-plutonowy Hercog, b. legionista, stary czwartak i doświadczony maszynowiec, który zastępował, jako najstarszy szarż, dowódcę plutonu: kapral Wojtaszewski, peowiak, student gimnazjalny, kaprale Walicki i Tomala z austriackiej armji, frajtrzy: Domański, Kajetanowicz i Bogusławski, lwowiacy z pierwszej załogi cytadeli, i szeregowiec Myśliwiec, jeden z pierwszych obrońców Szkoły Kadetów.

Cała obsługa karabinów maszynowych stanowiła harmonijnie zgraną i zdyscyplinowaną gromadę. Nie było żadnych różnic „stanowych“, ani intelektualnych. Prości żołnierze z ludu, z wykształceniem elementarnem żyli się ze studentami średnich i wyż-

szych uczelni, którzy też potrafili odpowiednio się zniżyć do poziomu umysłowego mniej oświeconych kolegów.

Wolni od zajęć służbowych Zbyszek ze Stefkiem, po „zafasowaniu relutum“ i żołdu, wybrali się popołudniu do miasta. Zwłaszcza Stefek spragniony był ciekawości Lwowa, w którym był po raz pierwszy w życiu.

— Ty, Zbychu, czy okolica naszych koszar, to dzielnica żydowska?...

— Bo co?...

— No bo takie zabawne są tu nazwy ulic... Przed chwilą minęliśmy Starozakonną i Bóżniczą, a teraz masz Cebulną.

— No, żydów to tu nie brak, tak jak w naszym Lublinie.

Szli dalej w milczeniu, oglądając rozbite pociskami mury domów, zrujnowanych przez ukraińską artylerię, rozbite szyby wystawowe, okna sklepowe zabite deskami. Niewesoły widok przedstawiały te walące się mury...

Minęli Plac Krakowski i skierowali się do wylotu ulicy Karola Ludwika <sup>1)</sup>, lwowskiego deptaka.

— Co to, Zbychu, za gmach? — zapytał Stefek, wskazując piękny budynek na pierwszym planie ulicy.

— To teatr... Pewnie zamknięty.

— Chodź, zobaczemy!...

Przeszli przed fronton teatru.

---

<sup>1)</sup> Obecnie ul. Legionów.

— Jeszcze stare afisze są przylepione... — zauważył Stefek.

Zbyszek przyjrzał się plakatowi teatralnym.

— Ale gdzie tam stare!... Popatrz!... To przecież dzisiejsza data...

— Rzeczywiście!... No wiesz!... Żeby teatr grał w takich okolicznościach...

— Dają dziś „Cyrulika Sewilskiego“... Znasz tę operę?...

— Nie...

— No to przy sposobności wybierzemy się, bo to cosik do śmiacia.

— Ale wiesz, Zbychu!?... Nigdy nie przypuszczałbym, że w odciętym prawie od świata Lwowie gra sobie teatr, jakby się tu nic nie działo... Też mają humory lwowiacy...

— Czegóż mają się martwić?... Lepiej pośmiać się...

— Ale jak można chodzić do teatru, kiedy granaty i szrapnele, jak to dziś rano było, spadają na miasto, niszcząc gmachy publiczne i domy mieszkalne, kiedy spokojny mieszkaniec nie jest pewien, czy, przechodząc na drugą stronę ulicy, nie padnie pośrodku jezdni od kuli hajdamackiej... Wiesz, trzeba jednak na to odwagi...

— A na co tu odwaga?... Sam teraz chodzisz po tem mieście i nie masz „boja“, no nie?... Poprostu przyzwyczajenie... Nie przejmować się... Mają siedzieć w czterech ścianach i czekać z drżeniem serca echa wybuchu, czy wystrzału — to przecież jest lepiej pójść do teatru, gdzie ani strzałów, ani wybuchów nie słysząc, bo je zagłusza wesoła muzyka,

śpiew, gwar i śmiech publiczności... Zapomina się o wojnie, o bombardowaniu miasta i o wszystkich zmartwieniach doczesnego żywota... Z uśmiechem na ustach można każdą biedę przetrzymać, kochasiu!...

— Wiesz, Zbychu, zaczynają mi imponować lwowiaki...

— Poczekaj trochę... Jeszcze nabierzesz dla nich szacunku... To są polacy zupełnie specjalnego gatunku... Od lwowiaków cała ludność Polski może się nauczyć bardzo wiele... Miałem w Legionach kilku kolegów — lwowiaków. Wszystko chłopcy z sercem na dłoni...

Przeszli na deptak, który mimo grożącego stale niebezpieczeństwa był dość rojny. Lwowiacy nie mogli dnia zakończyć, nie przeszedłszy się po „corsie“.

— To jest główna ulica... — poinformował Zbyszek przyjaciela.

— Ludzie sobie spacerują, jak gdyby wcale żadnej wojny nie było... — dziwił się Stefek. — Wiesz, gdyby nie te potrzaskane mury, wybite szyby i kupy gruzów po ulicach — to miasto wydaje się zupełnie normalnem.

— To mi się najwięcej u lwowiaków podoba, że nigdy nie tracą dobrego humoru i nie przejmują się niczem... Tak, jak nasza cała wiara legionowa: czy na wędzie, czy w kabarecie, nasz czwartak z losu drwi... — zaintonował Zbyszek znany refrain popularnej piosenki.

— No!... nie żałuję teraz, że się z tobą wybrałem do Lwowa... Tu zupełnie inne życie, inni ludzie...

— A widzisz, że cię nie nabrałem!...

— Czyj to pomnik, tam, na lewo?...

— To Mickiewicz... Obejrzyś go przy lepszej sposobności, bo już ciemno jest... Musimy wracać do koszar... Na dziś będzie dość już zwiedzania... Po takiej podróży, jaką odbyliśmy, warto nieco odpocząć, bo może wkrótce wyślą nas na linję... Wracamy...

Obeszli plac Marjacki i ulicą Hetmańską skierowali się w stronę Zamarstynowskiej...

## V.

Roziskrzzone gwiazdami niebo styczniowe zmagalo się jeszcze z szarym świtem pierwszych promieni słonecznych, gdy kompanja karabinów maszynowych szykowała się do wymarszu na pozycje...

Obsługa ustawiła się za dwukołowymi wózkami, zaprzężonemi w małe syberyjskie kuce.

Zbyszek ze Stefkiem stoją w szeregu przy jednym z wózków w rynsztunku bojowym, z przewieszonemi przez plecy sztucerami... Twarze jaśnieją zadowoleniem, a z oczu bije radość... Gdyby nie dyscyplina wojskowa, uściskaliby się wzajemnie... Nareszcie urzeczywistniają się ich marzenia i tęsknoty!... Po raz pierwszy wyruszają na pozycję, by bronić przed nieprzyjacielem miasta, do którego śpieszyli z takim utęsknieniem, z takimi przeszkodami.

— Kompanjaaaaa!... maarrsz!... — pada krótki rozkaz.

Kuce, popędzane przez woźniców, ociężale ruszają z miejsca, a za nimi cała kompanja opuszcza dziedziniec koszarowy przy ul. Zamarstynowskiej.

W milczeniu sunie oddział przez śpiące miasto, by głośniejszym hałasem nie zbudzić odpoczywających mieszkańców.

— Czy to daleko, Zbychu, na pozycję?... — informuje się Stefek.

— Niebardzo... Idziemy do Zboisk, będzie jakie 5—6 kilometrów...

Czoło kolumny skrzyło w prawo, podczas gdy reszta kompanji szła dalej za swoimi dowódcami.

— A gdzie poszedł pierwszy pluton? — pytał Stefek, wskazując skracające czoło kompanji.

— Idą do rezerwy na Zniesienie... Niedaleko stamtąd rozpoczyna się odcinek pułku, od Kościarni aż do Zboisk włącznie.

— A skądże ty o tem wszystkim wiesz?... — dziwił się szczerze świeżo upieczony czwartak.

— Ano, przestudjowałem już cały odcinek naszego pułku na mapie...

— To nie wszystkie plutony będą razem?...

— Och ty, głuptasku zamazany!... Jakże ty sobie wyobrażasz?.. Żeby osiem karabinów maszynowych ustawić razem obok siebie?... Ale nie martw się, Stefuniu!... — pocieszał Zbyszek skonfudowanego nieświadomością sztuki wojskowej towarzysza. — Pomaleńku nauczysz się rzemiosła wojskowego... Tylko uszy nastaw, słuchaj rozkazów i pilnie przyglądaj się wszystkiemu... A jak czego nie rozumiesz lub nie wiesz, to nie wstydź się i zapytaj... Jak dobrze pójdzie, to wkrótce i frajtrek zostaniesz, a to jest pierwsza szarża po Panu Bogu, pamiętaj!...

Kolumna skrzyła na Żółkiewską, gdzie rozdwoiła się, maszerując gęsiego po bokach szosy. Jasne promienie styczniowego słońca zalały potokiem światła okoliczne pola, pokryte całunem śnieżnym.



W połowie drogi przednia część kolumny znowu skręciła w prawo, podczas gdy reszta szła dalej, nie zmieniając kierunku.

— A oni dokąd idą?... — pytał Stefek.

— Zajmą placówki w Kościarni... Widzisz te budynki, tam na prawo?... To Kościarnia...

— To tam już jest front?...

— Tak...

— To przecież niedaleko...

— Powinni nas ukraińcy dobrze widzieć, bo nam słońce świeci prosto w ślipse, gdy oni mają je za plecami...

Nie dokończył Zbyszek ostatnich słów, gdy powietrze nappełniło się bzykaniem przelatujących gęsto pocisków karabinowych. Stefek po raz pierwszy w życiu słyszał te poświsty, nie zdawał więc sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

— Kryj się!... — padła komenda.

Obsługa, pomagając kucom i woźnicom, popchnęła dwukolki do lewego przydrożnego rowu. Za chwilę mała kolumnienka skryła się za nasypem szosy Żółkiewskiej.

— Zbychu, a te gwizdy to były kule?...

— A cóżeś myślał?... że to komary?...

— To takie dziwne... Wiesz?... wcale się nie bałem.

Po chwili usłyszeli długi, ostry poświst powietrza i echo wystrzału armatniego. Stefek pobiegł kilka kroków naprzód, tuląc głowę w ramiona i oglądając się poza siebie. W odległości około 200 metrów z lewej strony kolumny, rozprysnął się granat, wyrzucając w górę snop pomieszanej ze śniegiem ziemi.

— Jak go usłyszysz, kochasiu, to niema już poco uciekać... — pouczał Zbyszek zdetonowanego Stefka, któremu rumieniec wstydu pokrył twarz z powodu okazanego przed chwilą strachu.

— Ja nie ze strachu... — tłumaczył się Stefek. — Tak jakoś samo mnie popchnęło...

— Niema co, kochasiu!... Pierwszy raz... Przyzwyczaisz się... Słyszysz jak sobie pogwizdują?... A jak się schylisz, to akurat cię może trafić, bo podajesz się naprzód i zajmujesz swoim ciałem większą przestrzeń, więc są większe szanse trafienia... — pouczał Zbyszek tonem doświadczonego i wyrozumiałego opiekuna.

Wkrótce Stefek opanował się i szedł wraz z innymi zupełnie spokojnie, nie zważając wcale na pogwizdujące pociski karabinowe i granaty, przelatujące z ostrym sykiem nad głowami.

Około godziny 7-mej ujrzeli zdaleka ruiny chałup opuszczonych przez mieszkańców. Dowódca plutonu, podchorąży Mizgalewicz, rozkazał zdjąć z wózków karabiny maszynowe.

Obsługa w milczeniu wykonała rozkaz, rozbierając maszynki. Stefek ze Zbyszkciem dostali po dwie skrzynki amunicji.

— No, chłopcy!... — odezwał się podchorąży — uważajcie, żeby was nie przetrącili!... Pojedynczo!... Pies z wami polkę tańczył...

Był to najgorszy kawałek drogi do przebycia. Skoczyć z rowu na szosę, która była gęsto przez ukraińców ostrzeliwana, a następnie jednym, szybkim skokiem dostać się do zrujnowanego budynku, który stał na skrzyżowaniu dróg. W tem miejscu ukraińcy

zwykle koncentrowali swój ogień, szczególnie, gdy przeczuwali zmianę załogi placówek.

Pojedyńczo zaczęli wyskakiwać chłopcy ze sprzętem z rowu, by przedostać się do karczmy. Gdy przyszła kolejka na Zbyszka, Stefek chciał z nim razem wyskoczyć...

— No, bo widzisz, razem to zawsze rażniej... — tłumaczył.

— Głupiś!... Słyszałeś rozkaz?... Pojedyńczo!... Tylko nie gładź i nie rozglądaj się, a wal wprost do chałupy... — pouczał go Zbyszek, wyskakując z rowu.

Stefek, trzymając się ściśle instrukcji, wykonał skok, wtuliwszy głowę w ramiona i za chwilę znalazł się w karczmie, gdzie panował wesoły gwar zebranego plutonu.

— Wszyscy są?... — pytał podchorąży Mizgalewicz.

— Wszyscy... — odpowiedziała chórem gromada.

— W Malechowie dziś pewnie sami krótkowidze, panie podchorąży... — zauważył z szerokim uśmiechem Tadzik Mazurkiewicz. — Musimy im przesłać paczkę okularów...

— A ty śmiej się, brachu!... Ale, jak kiedyś dosięgną twoich długich uszu, dopiero będziesz miał uciechę...

— Przynajmniej je ukróca, panie podchorąży... Będę mniej podobny do osła...

— I tak by ci nie pomogło... Osłem zostaniesz chyba do końca życia, gdyby ci nawet uszy obcięli... — dogryzał kapral Harasymiec.

— No, chłopcy!... — przerwał podchorąży. — Marsz na placówkę... Pierwsza maszynka na Piłsudczyka, a druga na Brysiową. Komendanci karabinów, plutonowi Żakowski i Hercog, zameldują mi się po objęciu stanowisk. Słuchajcie, Żakowski... Plutonowego Wireckiego musicie dokładnie zaznajomić z terenem i placówkami... Odmaszerować!...

Kapral Wiszniewski i frajter Tomaszewski, którzy szli na pierwszą zmianę, podzielili się maszynką; jeden zarzucił sobie na ramię trójnogą podstawę, a drugi wziął lufę. Prócz tego każdy z nich wziął po skrzynce amunicji. Plutonowy Żakowski też zabrał skrzynkę z amunicją i skrzynkę z rekwizytami. Pierwsza zmiana ruszyła na stanowisko...

Pozostała obsługa maszynek rozlokowała się w pustej prawie izbie, stawiając pod ścianę sztucery i plecaki...

— Panie podchorąży, — zwrócił się Zbyszek do dowódcy plutonu, — czy możnaby teraz pójść na placówkę, by zawczasu poznać odcinek?...

— Możecie, ale dopiero po zmianie, boby hajdamaki zauważyli zbyt wielkie skupienie... Możecie pójść, jak wam tak pilno, po odejściu plutonu, który zmieniamy. Pożyczcie sobie od plutonowego Żakowskiego lornetki, będzie wam łatwiej rozpoznać teren...

— Rozkaz, panie podchorąży...

Za chwilę usłyszano w izbie głośnie ujadanie ukraińskich karabinów maszynowych.

— Słyszycie, jak nas witają na dzieńdobry?... — odezwał się zawsze pełen humoru Tadzik Mazurkiewicz. — Poznali pewnie, że czwartacy wrócili.

— Zobaczyli twoje ośle uszy, więc cieszą się, że mają do czego celować!... — naciągał go kapral Harasymiec.

— Jak daleko do linii ukraińskiej?... — zapytał Zbyszek.

— Od placówki będzie jakieś 600 metrów... Jak słońce skręci na południe, od nas widać wszystko, co się dzieje u hajdamaków, bo stanowiska nasze są na wzgórzu. Najlepiej ich widać po południu, kiedy słońce mamy z tyłu. Można ich wtedy tłuc, jak kaczki... — tłumaczył Mazurkiewicz.

— A długo już operujecie na tym odcinku?...

— Już trzeci tydzień bawimy się tak w ciu-ciu-babkę... Widocznie pomęczyli się hajdamaki i czekają na siczowników.

— A któż to są siczownicy?...

— To są ukraińcy zaporoscy...

— Cóż im do Lwowa?...

— Chcą go na stolicę Ukrainy.

Wróciła zmieniona placówka, witając przybyłych na zmianę kolegów...

— No co?... Jak wam przeszło?... Mielście spokój?... — posypały się pytania.

— Prawie... Tylko patrole czasem podchodziły aleśmy ich maszynką wykurzyli...

Poczęli się pakować i szykować do odmarszu...

— Kto pójdzie ze mną na placówkę? — zwrócił się Zbyszek do kolegów. — Chciałbym obejrzeć odcinek.

— Ja pójdę... — zaofiarował się Tadzik Mazurkiewicz.

— No to się zbieraj, Stefku... — przynaglał Zbyszek przyjaciela.

Wzięli karabinki pod pachy i wyszli z izby.

— Wyjdziemy tyłem... — tłumaczył Mazurkiewicz, — bo z przodu to nas te sakramenckie potwory zaraz zobaczą...

Przeszli przez olbrzymią, z wysokiem sklepieniem, bramę karczmy do tylnego wyjścia. Ta połowa budynku była zupełnie zrujnowana pociskami ukraińskimi... Za bramą przystanęli, rozglądając się po terenie.

Obok karczmy biegła brukowana szosa do Żółtkwi. Po przeciwnej stronie drogi ledwie trzymało się kilka murów z czerwonej cegły.

— Tę chałupę rozbili ukraińcy przed dwoma tygodniami... — objaśniał Mazurkiewicz. — Mieliliśmy jednego zabitego i dwóch rannych... Akurat ich zastąpicie... — dodał z uśmiechem. — Tam obok tych murów, z lewej strony, jest rów, którym dojdziemy do placówki.

Przeszli na drugą stronę szosy i stanęli przed rowem.

— Tędy dojdziemy do maszynki... Tylko nie wychylajcie się... — pouczał Mazurkiewicz, skacząc do rowu.

Zbyszek ze Stefkiem skoczyli za nim i poszli gęsiego krętym korytarzem, który ich wkrótce doprowadził do stanowiska. Przy maszynie kręcił się „inżynier — okularnik“, plutonowy Żakowski.

— No to jesteśmy już... — zauważył Mazurkiewicz.



Żakowski odwrócił się, spojrzał z pod okularów i dalej majstrował przy maszynce... Wiszniewski i Tomaszewski przeglądali „gurty“ — taśmy z amunicją.

— A wy tu poco?... — pytał Wiszniewski. — Już na zmianę?...

— Nie ... — wyjaśnił Zbyszek. — Przyszliśmy tylko obejrzyć placówkę... Trzeba trochę poznać się w terenie, bo idę na drugą zmianę...

— Teraz to wam niebardzo pójdzie, bo słońce w same ślipse świci...

— Ale tu zupełnie spokojnie... — zauważył Stefek. — Wcale nie strzelają.

— Poco mają strzelać?... Panu Bogu w okno?... A wysuń trochę swoją ufryzowaną łepetynę, zobaczysz jak cię poczęstują...

Jakby na potwierdzenie gruchnęła serja strzałów z maszynki i kilkanaście pocisków ze świstem przemknęło ponad ich głowami. Było to ostrzeżenie pod adresem Zbyszka, który wspiał się na stopień strzelecki rowu, by obejrzyć dokładniej teren.

— No, no!... — kiwnął głową Zbyszek. — To chyba jakaś nowa kompanja przed nami, bo jeszcze nie mają celownika... Wstrzeliwują się dopiero...

Plutonowy Żakowski doprowadził maszynkę do porządku, nastawił celownik i przy pomocy Wiszniewskiego przeciągnął gurt z nabojami... Sprawdził jeszcze raz celownik i puścił krótką serję... Maszynka funkcjonowała bez zarzutu...

— Przenosi... — skonstatował Wiszniewski, obserwujący wynik strzałów.



Żakowski poprawił celownik i znów oddał krótką serję...

— Dobrze!... — stwierdził Wiszniewski, — w same okopy...

— Panie plutonowy!... — nieśmiało odezwał się Stefek, — może mi pan pozwoli trochę postrzelać, bom jeszcze nigdy z takiej maszyny nie próbował, a chciałbym jaknajprędzej się nauczyć.

— No dobrze, postrzelajcie sobie, — ale uważajcie, by serja była krótka, bo szkoda amunicji...

Stefek ucieszony podskoczył do maszynki...

— Uważajcie... — tłumaczył Żakowski. — Obydwie ręce na rączki tylców, kciukiem odsuniecie bezpiecznik i nacisnąć... Tylko krótko i zaraz puszczać...

Stefek rozpoczął manipulację pod doświadczo-nym kierownictwem Żakowskiego... Za chwilę oddał serję strzałów.

— Eee... to wcale nie takie trudne... — cieszył się. — To zupełnie proste...

— Pewnie że proste, kiedy pokażą... — rzucił z uśmiechem Mazurkiewicz.

— Na placówce, to raz dwa nauczycie się strzelać... Tylko zapoznajcie się dokładnie z celownikiem, no i z mechanizmem, żebyście się nauczyli zacięcia usuwać... — pouczał spokojnie Żakowski, klepiąc lufę maszynki.

— Może mi pozwolicie lornetki na chwilę?... — poprosił Zbyszek.

Żakowski dał mu lornetkę...

— Ale mamy doskonale pole obstrzału... — stwierdzał Zbyszek, obserwując teren przez lornetkę. — Możnaby ich łatwo wykurzyć stamtąd... A co to za wioska po stronie ukraińskiej?... Widać, jak się tam ludzie kręcą...

— To Malechów... — objaśnił Żakowski.

— Daj mi, Zbychu, lornetkę... — dopraszał się Stefek.

— Zaraz, poczekaj... Na przedpolu mamy dość głęboki wąwóz... Mogą nim podejść bezpiecznie..

— Już nieraz próbowali, — odparł Wiszniewski, — ale my ich zawsze rychło naszą maszynką wykurzymy... To trochę niebezpiecznie wpakować się gromadą w ten wąwóz, bo można ich tam skosić jak siano.

— Stanowisko mamy zupełnie dobre, — zdecydował Zbyszek z miną znawcy. — Tylko za wielkie dziury pomiędzy placówkami, no i wcale piechoty nie mamy dla osłony maszynki... Masz... — zwrócił się do Stefka, dając mu lornetkę.

— Placówki piechoty są pomiędzy placówkami naszymi... — wytłumaczył Żakowski. — A tych dziur zatkać się nie da, bo niema kim. Brak ludzi...

— A naogół, to odcinek spokojny?...

— Tu im trudniej podejść, więc się pchają więcej na Kościarnię. Łatwiejszy tam dla nich teren do zdobycia...

— Ta co tu jest za wojna!... — wtrącił spokojny dotąd frajter Tomaszewski. — Jak my byli na Wołyniu, to tam była wojna. Z rusami, to całkiem inaczej było...

Wiszniewski trącił Zbyszka łokciem, wskazując przymrużonem okiem Tomaszewskiego...

— No, — zauważył Zbyszek, — jakże tam było?... Lepiej niż tu?...

— Ta pewno!... — pysznił się Tomaszewski. — Jak tam była wojna, to my wiedzieli, że to wojna. Tam, to my zawsze robili angryf i rikcug...

— Powiedźcie, Tomaszewski, jak tam było z tym angryfem?... — uśmiechając się zachęcał go Żakowski.

— Ano, jak był befel na angryf, to my zawdy najprzód laufszyrt forrykowali... Jak pan kapral powiedział, że bydzie angryf, to zaroz był befel, coby bajonet na gwer. To my zaroz flancowali bajonet na gwer i nam jeszcze dali po dwa handgranaty ręczne, to my ich zaroz na pas uczepili. Kiej my się tak narychtowali, to kaprai dali befel na forwets i my zaroz zaczyni z tych dekungów forrykować naprzód na rusów. I jak my tak forrykujemy, to mochy, jak nie zaczną taki trommel-feuer, a kapral wołają „nieder“, — to my zaroz robili nieder i tyż rozpoczęli feuer z naszych gwerów, a potym to my wzini szpatle, by se sicherung wykopać. A tu zaroz kapral znowu krzyczą forwets, to my znowu laufszyrt forrykowali, aż my pod jeich moskiewskie szytzgrabys przyszli. To wtedy wzieni nasze handgranaty ręczne i eins, zwei, drei, lu do mochów, do dekungów i nieder. I tak my czekali, żeby do szytzgrabu na mochów wskoczyć i już kapral krzyczą „forwerts, hura“, i my już mieli wziąć na bajonety tych mochów, ale ci tu kozunie z lasu na nos wypadli... To ci kapral krzyczy „achtung, rikzug“ i my znów robili

„kert euch“ i zaczyni laufszyrt forrykować nazod do naszych dekungów...

— A niech cię jasna krew zaleje z twoim angryfem rikzugowym i z twoimi handgranatami ręcznymi!... — zaśmiewał się trzymając pod boki Wiszniewski.

Żakowski uśmiechał się dobrodusznie, a Stefek wydał mocno policzki, wstrzymując cisnący mu się z gardła śmiech.

— Toście mieli fajny angryf!... — zauważył Zbyszek, obeznany z czasów legionowych z tym specyficznym polsko-niemieckim żargonem okopowym.

— Ano, mielimy, pewnie... — odparł skonfudowany frajter, zerkając z podełba na Wiszniewskiego, zanoszącego się od śmiechu.

— A w którym żeście pułku służyli? — zapytał go Zbyszek.

— W einzig fircyg regiment... — wyrecytował Tomaszewski.

— To wy w Czerniowcach służyli?

— Aha... A pan plutonowy byli w Czerniowcach?...

— Byłem... Ładne miasto... A jak długo zostaniemy na odcinku? — zwrócił się Zbyszek do Żakowskiego.

— Zazwyczaj siedzimy tu 5—6 dni... Powinni nas zmienić około pierwszego lutego, jeżeli będzie spokojnie... No, trzymajcie się!... — zwrócił się do dyżurujących przy maszynce — za godzinę zmienia was Wirecki z Mazurkiewiczem... Bywajcie!...

— No to chodźmy też, — zaproponował Zbyszek — bo mamy zaledwie godzinę do zmiany.

Poszli wszyscy czterej rowem łącznikowym, który wyprowadził ich na szosę. Spokojnie tylnem wejściem przeszli do izby, gdzie rozlokowana była placówka.

## VI.

Nie mając narazie nic lepszego do roboty, Zbyszek zapragnął dla zabicia czasu wypróbować swój sztucer, no i oko, gdyż dawno już nie miał okazji do strzelania. Zwierzył się z tem zmartwieniem Mazurkiewiczowi.

— O, to będzie łatwo, panie plutonowy!... — pocieszał Tadzik, szczerząc w szerokim uśmiechu swe białe zęby. — My tu sobie bardzo często urządzamy konkursy strzeleckie...

— Gdzież tu macie strzelnicę?...

— A naco nam strzelnica?... Przecież jesteśmy na froncie... Tam na szosie, od tyłu, stoją słupy telegraficzne, to się wprawiamy, strzelając do lampek...

— Do jakich lampek?...

— Do tych białych, porcelanowych, co to są na słupach telegraficznych...

— Pewnie do izolatorów?...

— A ja nie wiem, jak to się nazywa fachowo... Może izolatory... Chodźmy, zobaczycie, jak tam się przyjemnie strzela...

Zabrali sztucery i poszli przed karczmę... Na szosie stał szereg nieuszkodzonych jeszcze słupów

telegraficznych, najeżonych białymi porcelanowymi izolatorami, z których druty były zerwane.

— Najpierw będziemy strzelać do tych bliższych, potem coraz dalej... — objaśniał Tadzik.

Naładowali sztucery i kolejno poczęli kropić do niewinnych, białych izolatorów, które za każdym prawie strzałem rozpryskiwały się w powietrzu.

Zabawa ta im widać przypadła do gustu, bo nawet nie zauważyli, jak grupka ich znacznie się powiększyła. Oryginalna ta strzelnica cieszyła się wielkiem uznaniem czwartaków, którzy niemiłosierdzie znęcali się nad białymi izolatorami.

— No wie pan, panie plutonowy, — zawyrokował w końcu Mazurkiewicz, — że mógłby pan wziąć pierwszą nagrodę bardzo łatwo!?...

— A jakaż to pierwsza nagroda?...

— Przepustka do miasta...

— To dostajecie stąd przepustki do miasta?...

— Jak jest spokojnie, to można dostać przepustkę. Pójdzie się przed południem i na godzinę 6—7 trzeba wracać...

Donośne wołania, odbijające się głośnie echem o wysokie sklepienie bramy karczemnej, przypomniały im obowiązek służbowy. Nie zaglądając nawet do izby, skoczyli do rowu i udali się na stanowisko, gdzie zmienili przemarzniętych Wiszniewskiego i Tomaszewskiego.

Zbyszek zaraz dobrał się do maszynki, którą wypróbował kilkoma krótkimi serjami... Tadzik przeglądał amunicję, wyrównując pociski w gurtach. Wkrótce zawitał do nich Żakowski, który miał



Zbyszka zorjentować w terenie i zapoznać z odcinkiem.

— No jakże się tu czujecie?...

— Wcale dobrze... — odparł Zbyszek. — Całkiem spokojny odcinek... Zupełnie, jak na ćwiczeniach polowych...

— No!... nie zawsze tu tak bywa... Zobaczycie, jak będzie w południe, kiedy poczują, że kuchnia nadjeżdża... Nie znoszą ukraińcy naszej kuchni... Zapoznaliście się już z terenem?...

— Mniejwięcej... Nie znam jeszcze rozkładu naszych placówek...

— Tam na lewo od nas, na tym pagórku, jest piąta placówka, „Piłsudczyk“ z drugą maszynką: naszą placówkę nazwano „Brysiową“: na prawo, za tą drogą do Malechowa, są dwie placówki piechoty, a potem dziura aż do Kościarni... Przez tę dziurę nie odważą się przejść, bo teren odkryty, płaski, no i dostaliby się w ogień krzyżowy. Patrole ukraińskie przeważnie pchają się na czwartą placówkę i na naszą, bo im się ten wąwóz podoba... Ale mamy wąwóz zabezpieczony doskonałym obstrzałem...

Podszedł do maszynki i otworzył pokrywę, by obejrzeć mechanizm... Nie mógł spokojnie ustać przy maszynce, żeby czegoś nie sprawdzić, nie prze-majstrować... Jego żyłka inżynierska zmuszała go bezwiednie do ciągłego manipulowania niezbyt skomplikowanym mechanizmem maszynki...

— Próbowaliście już strzelać?... — zainteresował Zbyszka.

— Niewiele... Sprawdziałem mechanizm...

— No to spróbujcie... Musicie poznać celownik do rozmaitych punktów w terenie... Do okopów ukraińskich jest 650 metrów, a do tej szosy za okopami, widzicie?... tam za wsią, ta ciemna wstęga na śniegu?... tam jest 1100 metrów..., — a gdy podchodzą bliżej, atakując nas, to wystarczy brać na muszkę...

Zbyszek podszedł do maszynki i oddał kilka krótkich seryj, podczas gdy Żakowski obserwował przez lornetkę wyniki strzałów...

— Wcale nieźle strzelacie... Poznać, że stary żołnierz... — pochwalił z pewnym respektem.

— Mam jeszcze dobre oko... — odparł Zbyszek.

— Zapoznajcie się tylko dokładnie z terenem... A przykryjcie maszynkę kocem i celtą, żeby wam woda nie zamarzała... Weźcie, Mazurkiewicz, koc i przykryjcie maszynkę.

Tadzik okutał maszynkę z taką pieczołowitością, jakby matka troskliwa, wysyłająca dziecko na spacer...

— No tak... — pochwalił Żakowski. — Teraz to wam woda nie zamarznie... To bywajcie!... — rzucił na odchodnym.

— Lubię go... — odezwał się Tadzik po odejściu Żakowskiego. — Ciągłe mruczy, stęka, maszynce spokoju nie daje, wszystkie wnętrzości jej przewraca, — a nikomu złego słowa nie powie... O wszystko sam się stara... A w ogniu!... Nie widziałem spokojniejszego człowieka!...

— W ogniu to jest dobre... — zauważył Zbyszek. — Spokój i zimna krew, to w boju najważniejsze...

— Zobaczycie go przy sposobności... Nigdy głosu nie podniesie... On to tak — jak koń, gdy mu włożą okulary: patrzy przed siebie... A strzela z maszynki!... koncertowo!... Takie stare maszynowcy, jak Harasymiec i Wiszniewski to go chwalą...

— Dobrze mieć takiego komendanta... A jak wyście się dostali do Lwowa?...

— Tak się jakoś samo zrobiło... Jechałem do ciotki z Wiednia do Jarosławia. Patrzę na dworcu w Jarosławiu: ładują jakieś wojsko... Mówią mi, że do Lwowa z odsieczą, na ukraińców... No i nie poszedłem do ciotki, przyłączyłem się do transportu i dostałem się do Lwowa... A tu przydzielili mnie do maszynki...

— A napisaliście do domu, żeście w wojsku są?...

— A poco? mają się martwić?... i wyzywać na mnie?...

— A tak, to przecież więcej się martwią, kiedy nie wiedzą co się z wami dzieje...

— A poco mają wiedzieć?... Pomartwią się i uspokoją... Zarazby tu matka przyjechała... Byłaby awantura i tyle...

— A jednak lepiej byłoby napisać do domu, albo może do ciotki.

— Eh... co tam będę pisał!... Ja mam tylko jedno życzenie: zostać frajtrek i zginać na polu chwały...

— A ileż macie lat?...

— Niewiele mi brakuje do siedemnastu... Jeszcze tylko 3 miesiące...

— No, no!... i już chcecie ginać na polu chwały?... — uśmiechnął się Zbyszek. — Skromne życzenie... Wiecie, jakby tak wszyscy chcieli ginać po

pierwszym awansie, to musieliby skasować tę pierwszą szarżę po Panu Bogu... Ale pocieszcie się tem, że nie giną ci, co tego pragną, ale ci, którym przeznaczony jest chwalebny koniec... Nie wystarczy chcieć umierać, trzeba też umieć żyć, kochasiu!... — filozofował Zbyszek, doświadczony już trzyletnią służbą legionową.

Na odcinku był względny spokój. Jedynie strzały armatnie i przelatujące ze świstem pociski, przerywały panującą ciszę... Słońce schowało się pod chmurną powłokę, która wnet rozsypała się gęstymi płatkami śniegu, zwolna i majestatycznie opadającymi na ziemię...

Jak z bicia trzaśł, zleciały Zbyszkowi dwie godziny służby przy maszynce. Zapatrzony wraz z Tadzkiem w przedpole, zajęty rozmaitemi spostrzeżeniami w terenie, nie zauważył nawet nadejścia zmiany.

— Serwus, Zbychu!... — zawołał Stefek, który z kolei miał objąć posterunek wraz z Zakrzewskim. — Przyszliśmy was zmienić...

— Już?... Któraż to godzina?...

— Ano dziesiąta... nawet pięć po...

— A to ci czas zleciał!... No to pójdziemy trochę zagrzać się...

— Możebyś chwilę został ze mną? — zaproponował nieśmiało Stefek.

— Przemarzłem... Może później zajdę... A ty postrzelaj trochę z maszynki... Musisz się wprawić... Pokażcie mu, Zakrzewski, celowniki i jak się oddaje pojedyncze strzały dla wstrzelania się. Nauczcie go

też regulować serje, by całego gurtu za jednym zamachem nie puszczał... No, serwus!... Trzymajcie się!...

W towarzystwie Tadzika opuścił stanowisko, na którym spędził pierwsze godziny służby w obronie ukochanego Lwowa...

## VII.

Była godzina druga po północy, gdy Zbyszek z Tadzikiem po raz trzeci tej doby objęli służbę przy maszynie... Noc była mroźna, ale chmurna. Na odcinku panował zupełny spokój.

Wkrótce, po objęciu służby, odwiedził ich dowódca plutonu, podchorąży Mizgalewicz.

— Jakże wam leci, chłopcy?...

— Przydałoby się trochę rumu na taki ziąb, panie podchorąży!... — zauważył Zbyszek.

— Zdaje się wam, że to za dobrych czasów legjonowych, co?... Kiedy rum fasowało się beczkami... Teraz trochę gorzej jest... Dobrze, że nas na kawę stać... A cóż ty, Tadziu, taki markotny?

— A bo to tak głupio stać i oczy wypinać... Takbym z przyjemnością przespacerował się do Malechowa...

— Nie bój nic, braciszku, przejdiesz się tam jeszcze, pies z tobą polkę tańczył... Tymczasem możesz zapytać ich o drogę...

— A bo co?...

— Z Kościarni poszedł patrol do Malechowa i będą wracać wawozem. Pogadaj sobie trochę z Iwanem dla odwrócenia uwagi, no i żeby ci markotno nie było... Ale nie ruszajcie maszynki, bo by-

ście mogli naszych postrzylać... Jak zobaczycie czerwoną rakietę, to znak, że wracają... Puśćcie wtenczas rakietę białą i kierujcie ją nad wawóz... Tylko, niech was ręka Boska broni, gdybyście maszynkę ruszyli!... Pies z wami polkę tańczył!... Ani jednego strzału, rozumiecie?... Uważajcie na niego, Wirecki, bo to warjat z mokrą głową... Gdy puścicie rakietę, przyjdę do was... Więc pamiętajcie, chłopcy, ani jednego strzału!... Przygotujcie sobie białą rakietę... No, pies z wami polkę tańczył, serwus!... A pogadajcie trochę z Malechowem...

— Takie coś to ja lubię... — zaczął Tadzik po odejściu podchorążego. — Będzie trochę uciechy, bo tak stać w ciemną, głuchą noc, to trochę markotno... I wogóle przy tej maszynce, to strasznie głupia służba... Przy piechocie to się czasem na patrol pójdzie, albo na wypad... A przy tym „piesku“ stój, jak głupi i pilnuj, żeby nie czekał... A umiecie panie plutonowy, po ukraińsku?...

— Umiem...

— Bo ja jeszcze nie zdążyłem się nauczyć... Ale gadamy z nimi i po polsku... Dranie doskonale mówią po polsku... A udają rusaków, potwory sakramencie!... Pogadamy sobie z nimi...

Stanął na stopniu strzeleckim rowu, wychylił się całym ciałem i krzyknął w dal:

— Hryciu!...

Nasłuchiwali... Za chwilę doszedł ich uszu stłumiony przestrzenią głos:

— Ehej!... Jóźku!...

— Aha!... — ucieszył się Tadzik. — Jak jest czyste powietrze, to można całkiem spokojnie roz-



mawiać, nie potrzeba tak się wydzierać... Niech pan spróbuje z nimi po ukraińsku...

Zbyszek, który tego rodzaju telefon bez drutu znał jeszcze z czasów legionowych, wychylił się z okopu i krzyknął:

— Hryciu!... Daj Boże zdrowia!...

Po krótkiej pauzie, doszła ich odpowiedź:

— Serwus, Jóźku Ciuchraj!...

Nawiązana w ten sposób rozmowa wartko potoczyła się po przestrzeni...

— Hryciu... Czujesz?...

— Taj czuju!... A tobi czaho?...

— Ta każi mene która hodyna wże bude?...

— Poczkaj, Jóźku... Zaraz tobi każu... A wże bude hodyna...

— Wże?... To za hodynu pridesz mene w nos pociłowaty...

— A naj tebe ditko pobere!... Ja tobi każu, jak fajny czyłowik, a ty do mene, jak batjar z Łyczakowa...

— Hryciu, ne serdyś!... ty fajny chłop... A koli prydesz do nas?...

— Taj prydemo, prydemo... Ne byjsia!... A jak prydemo, to wam pokażemo, szczo ne wmerła szcze Wikraina...

— Hryciu, czujesz?... Pod Malechowem je dolina, w niebie bude Wikraina...

— Ty sobi spiwaj, Jóźku!... taj spiwaj, a jak prydemo, to my zaspivajemo. A tabaku chcesz?...

— Majemo cygarety... Ne treba...

Nagle wybuchy granatów ręcznych po stronie ukraińskiej przerwały ten sielankowy dialog dwóch

„wrogich przyjaciół“. Za chwilę rozległo się głośne ujadanie ukraińskich karabinów maszynowych i ręcznych... Kilka rakiet, puszczonej w Malechowie, oświetliło całe przedpole.

— Pewnie patrol nasz za blisko podszedł... — zauważył Zbyszek.

Wzmagające się trajkotanie maszynek i broni ręcznej zaalarmowało widać artylerję ukraińską, która wysłała na przedpole kilka pocisków...

— Nie wysuwajcie się tak, — upominał Zbyszek Mazurkiewicza, — bo was może coś w ucho ugryźć...

— Taż muszę przecież zobaczyć, czy czerwonej rakiety nie widać...

— Rakietę i z okopu zobaczycie, bo przecież wysoko podlatuje...

Obydwaj wyteżyli wzrok, wypatrując w ciemnościach zapowiedzianego sygnału.

— Dajcie pistolet i rakietę... trzeba zawczasu przygotować odpowiedź...

Strzelanina tymczasem zaczęła powoli ustawać. Gdzieś tam tylko pojedyncze strzały karabinowe, lub pociski artyleryjskie, jakby ostatnie poszczekiwania ujarzmionego pieska, przerywały powracającą ciszę nocną...

Zbyszek z naładowanym rakieta pistoletem wpatrywał się w ciemną próżnię, oczekując sygnału...

— Może poszli na drugą placówkę?... — przypuszczał Tadzik.

— Wszystko jedno, rakietę puścić muszą... Zresztą, tedy mają najlepszy powrót, wawozem...

W napięciu oczekiwania wcale nie dosłyszeli zbliżających się kroków zmiany...

— Stój!... kto idzie?... — wrzasnął Tadzik.

— Nie drzyj tak pyska, Tadiusiu!... Zmiana idzie!...  
— odezwał się Zakrzewski, który nadszedł w towarzystwie Paluchowskiego.

— Co to za strzelanina tu była? — dopytywał się Stefek.

Wtem niewielkie, czerwone światełko skoczyło pod strop niebieski i rozpryskało się na kilkanaście czerwonych gwiazdeczek, spadających na ziemię...

Zbyszek pociągnął za cyngiel pistoletu... Z wielkim hukiem wystrzeliła z lufy rakietą, bładą poświatą rozjaśniając na kilka sekund ciemne przedpole...

— No!... — odetchnął Zbyszek — Wracają...

— Kto wraca?... — dopytywał Stefek.

— Patrol nasz... Poszli około północy do Malechowa... Musieli za blisko podejść, bo ukraińcy dość gwałtownie popukiwali... Teraz wracają wawozem na naszą placówkę... Zaczekam tu, aż przyjdą...

— Toście mieli rozrywkę!...

— Przynajmniej czas zleciał prędko...

Głośne stapania i przyciszony gwar rozmowy doszedł ich uszu...

— Idą!... — zauważył Zbyszek... — Na wszelki wypadek trzeba ich wylegitymować!... Stój!... Kto idzie?... — krzyknął w kierunku nadchodzących.

— Swój!... Porucznik Klimek z patrolem wraca...

— Hasło?...

— Przemyśl... Odzew?...

— Przyszłość...

Podczas wymiany hasła nadszedł podchorąży Mizgalewicz, który wyskoczył z okopu na przedpole na powitanie przybyłych...

— Serwus, Siasiu!... Jakże ci poszło?...

— Fajnie!... Lepiej, niż myślałem... Mam maszynkę i pięciu drabów...

— Masz jakie straty?...

— Żadnych... nawet rannego nie mam...

— Toś się klawo spisał!...

Skoczyli do okopu, a za nimi pięciu ukraińców rozbrojonych i pięciu czwartaków, niosących karabin maszynowy i po dwa karabiny ręczne na plecach, a w rękach skrzynki z amunicją do maszynki...

— Serwus, Rudek!... — rzucił porucznik Klimek — Śpieszę z trofeami do wodza...

— Serwus, Siasiu!... Daj Boże!...

Patrol wraz z jeńcami i zdobyczą odszedł rowem łącznikowym...

— Fajnie poszło, co chłopcy?... — zwrócił się podchorąży Mizgalewicz do swej gromadki.

— Ta pójść, poszło!... — odezwał się Tadzik. — Ale jabym wolał sam przespacerować się do Malechowa, niż tu sterczeć i czekać na ich powrót...

— Cóż ci się tak śpieszy do Malechowa?... Masz tam może jaką krasawicę?...

— Eee, tam!... Tylko, że głupio tak stać i czekać, aż inni wrócą ze zdobyczą, — a samemu trzeba tylko ślinkę połykać!...

— Isz go, jak mu się tu nudzi!... Nie bój nic!... Przyjdzie czas, to i my stąd ruszymy!... Aleś fajnie dzisiaj gadał z hajdamakami, pies z tobą polkę tańczył!... Słyszeliśmy!...

— To nie ja, panie podchorąży, — to plutonowy Wirecki...

— No?... to wy tak fajnie dziś bałakali? — zwrócił się Mizgalewicz do Zbyszka.

— Tak jest, panie podchorąży.

— A skąd wy tak umiecie po rusku?... Przecież wy kongresowiak?...

— Tak jest, ale w Legionach nauczyłem się, będąc na Bukowinie, w Bessarabji, na Wołyniu no i na Węgrzech, bo tam dużo huculów...

— No, no!... wcaleście dobrze z nimi gadali... Wszystko słyszeliśmy na czwartej placówce... Ale wy, — zwrócił się do Zakrzewskiego i Paluchowskiego — teraz dobrze uważajcie, bo oni lubią rewanżować się, pieskie syny, szczególnie nad ranem... No, serwus, trzymajcie się chłopcy!... A ty, mój aspirancie na frajtra, prześpij się, to ci dobrze na głowę zrobi... — poradził Tadzikowi, czyniąc aluzję do jego idée fixe.

— Cześć, panie podchorąży!... — pożegnała gromada odchodzącego dowódcę.

— No, Tadius!... Może tak naprawdę pójdziemy trochę się przespać?... — zaproponował Zbyszek.

— No to chodźmy, bo dziś chyba już będzie spokój... Serwus Stefek, trzymaj się ciepła!... Serwus, Zakrzewski!...

— Serwus!... daj Boże!...

## VIII.

Kilkudniowy pobyt na pozycji znacznie zacieśnił stosunki świeżo upieczonych maszynistów z towarzyszami broni... Zbyszek, jako stary czwartak od razu zdobył przyjaźń kolegów i względy przełożonych swą szybką orientacją, obyciem i doświadczeniem bojowem...

Stefek, pozostający pod opieką Zbyszka, wnet przystosował się do nowych warunków życiowych. Pozując na starego wiarusa, nadrabiał gęsto miną, gdy poświsty przelatujących nad głową pocisków i wybuchających w pobliżu granatów zbytnio go demerwowały...

Szczególnie zaprzyjaźnili się z Julkiem Żakowskim i Tadzikiem Mazurkiewiczem. Ten ostatni darzył specjalną sympatią Zbyszka, z którym często dyżurował przy maszynce. Stefek zaś starał się pozyskać względy Żakowskiego, jako komendanta maszynki. Z takim, to zawsze lepiej żyć w przyjaźni, zwłaszcza, gdy chodzi o dźwiganie niezbyt wygodnej podstawy karabinu maszynowego, ugniatającej swym ciężarem ramię każdorazowego celowniczego.

Była godzina czwarta nad ranem, gdy Zakrzewski i Paluchowski przyszli zmienić Zbyszka i Tadzika.

— No co?.. Jak idzie? — pytał Stefek przyjaciół.

— Jak krew z nosa!... — odparł Tadzik.

— Ostatni nasz dyżur dzisiaj... — odetchnął Zakrzewski. — Zmieni nas już nowa załoga...

— Ciekawym, kto nas zmieni?... — wtrącił Zbyszek.

— Albo 2-gi pluton, albo strzelcy lwowscy — przypuszczał Zakrzewski.

— Za parę godzin będziemy wiedzieli... — rozstrzygnął filozoficznie Tadek.

Nadszedł Żakowski.

— Serwus!... Jakże tu idzie?...

— Spokój na linii!... — meldował Zakrzewski.

— Narazie spokój... Ale uważajcie...

— Bo co?... Zanosi się na jaką awanturę?... — pytał Stefek.

— Aha... Podchorąży Okulicki poszedł na patrol... Będzie prawdopodobnie tędy wracał...

— Oho!... to i my będziemy mieli urozmaicenie... — ucieszył się Stefek.

— Phi... Też urozmaicenie... Czekać, aż tamci wrócą... a samemu tu stać z zapartym tchem i nastawionymi uszami!... — głądził Tadzik.

— Nie marudziłbyś tak, Tadziu!... — uspokajał go Żakowski. — A wy uważajcie!... Sygnałem powrotu patrolu są dwie czerwone rakiety... Puśćcie białą dla wskazania drogi... No i uważajcie na maszynkę, — ani jednego strzału... Gdyby podchodził patrol ukraiński, to walcie granatami, ale maszynki nie ruszać...

— Tak jest, rozkaz, panie plutonowy!...



— Przyjdzie tu podchorąży Mizgalewicz, możliwe, że i ja zajdę... Tymczasem trzymajcie się... Aha... Idzie pan podchorąży...

Zebrany w okopach ukazała się wysoka postać dowódcy plutonu.

— Serwus, chłopcy!... Będzie znów wesoły dyżur... Pouczył ich pan?... — zwrócił się do Żakowskiego.

— Tak jest, panie podchorąży...

— No to uważajcie... pies z wami polkę tańczył! Dwie czerwone rakiety dla odmiany... Podacie białą... Maszynki ani rusz, pamiętajcie!...

— Rozkaz, panie podchorąży!...

— Panie podchorąży, czy mogę tu zostać z Mazurkiewiczem do pomocy? — prosił Zbyszek.

— Zostańcie, jeśli macie ochotę... Uważajcie na nich... Ja tu do was wkrótce zajdę...

— A czy można „zatelefonować“ do Malechowa, panie podchorąży?...

— Taj telefonujcie, pies z wami polkę tańczył. Pogadajcie z nimi trochu... Łatwiej będzie Okulickiemu podejść... No serwus!... Trzymajcie się ciepła!...

— Cześć, panie podchorąży!...

Mizgalewicz w towarzystwie Żakowskiego udał się rowem łącznikowym do następnego stanowiska.

— No, Stefku!... — zwrócił się Zbyszek do przyjaciela. — Masz teraz odpowiedzialną funkcję. Musisz patrolowi wskazać powrotną drogę...

— Nie bój nic, damy sobie radę...

— Przygotuj, kochasiu, zawczasu rakietę, żebyś potem nie potrzebował szukać... A teraz zatelefonujemy do Malechowa...

Zbyszek stanął na stopniu strzeleckim i wychylił się z okopu, wołając w stronę Malechowa.

— Hej!... Iwane!...

Czekali w skupieniu odpowiedzi... Przez dłuższą jednak chwilę żaden głos nie doszedł z tamtej strony...

— Widocznie obraził się, że go Iwanem nazywał, bo to imię moskiewskie. Trzeba nieco inteligentniej go nazwać... Hej!... Hawryło!...

— Serwus, Jóźku Ciuchraj!... — nadeszła wkrótce odpowiedź.

Rozmowa została nawiązana...

— Jak se majesz, Hawryło?... Daj Boże zdrowia...

— Daj Boże... Pomateńku ide...

— Hawryło!... A hde ty buł, jak mene tu ne buło?...

Odpowiedź zagłuszyły gęste strzały karabinowe i wybuchy granatów ręcznych.

— Podeszli!... — zauważył Zbyszek.

— Musieli dawno pójść, skoro już tam są! — wtrącił Tadzik.

Gęste szczekanie ukraińskich karabinów maszynowych zwabiło podchorążego Mizgalewicza.

— No co?... Spokój?...

— Spokój... — raportował Zakrzewski.

— Przygotujcie rakietę...

— Już jest, panie podchorąży... — zameldował Stefek.

— No to uważać...

Strzelanina nie ustawała. Do trajkotania maszynek i suchych trzasków karabinów ręcznych przy-

łączyło się dudnienie armat ukraińskich... Gromadka zebrana przy maszynie nasłuchiwała... Nagle urwał jeden z ukraińskich karabinów maszynowych.

— Zaciął im się... — odgadywał Tadzik.

— Może przejdiesz się do nich, by usunąć zacięcie... — rzucił Zbyszek.

Odgłosy walki nie ustawały.

— Cóż to?... — dziwił się podchorąży Mizgalewicz... — Powinni się już wycofać... Musiało coś się stać, że hajdamaki tak ujadają... Drugiej maszyny już nie słyszeć...

Naraz ujrzeli dwie rozpryskujące się rakiety czerwone.

— Dawajcie rakietę!... — rozkazał Mizgalewicz.

Stefek strzelił, wypuszczając z lufy białą kulę świetlną, podczas gdy podchorąży Mizgalewicz przez lornetkę obserwował oświetlone przedpole, pragnąc dojrzeć powracający patrol...

— Coś tam nie w porządku... Kogoś taszcza... Mają rannego... — mruczał.

— Panie podchorąży, może byśmy poszli im na spotkanie?... — zaproponował nieśmiało Tadzik.

— Nie chyci, braciszku, już świta... dojrzą nas...

— Wąwozem...

— Zresztą, chodźmy, pies z tobą polkę tańczył...

Wyskoczył z okopu, a za nim wszyscy czterej.

— A wy dokąd?... maszynkę bez obsługi chcecie zostawić?... Zakrzewski i Paluchowski zostają... Mazurkiewicz i Wirecki idą, bo nie mają służby...

Stefek z Zakrzewskim powrócili do rowu; Mizgalewicz z Tadzikiem i Zbyszkim szybko przebiegli

przestrzeń, dzielącą okop od wąwozu, skoczyli w dół i pobiegli na spotkanie patrolu.

— Serwus, Poldek!... — zawołał Mizgalewicz, gdy się zbliżyli do powracającej grupy.

Żaden głos mu nie odpowiedział. Podeszli do patrolu...

— Gdzie pan podchorąży Okulicki? — zapytał Mizgalewicz, nie dostrzegając w grupie przyjaciela.

— Niesiemy go, panie podchorąży... — odparł podoficer, poznawszy Mizgalewicza.

— Co? ranny?...

— Zdaje się, że... gorzej...

— Co mówisz, chłopie?...

Schylił się nad rannym, który nie dawał żadnego znaku życia.

— Żyje!... oddycha, ale ledwo... ledwo... Zmieńcie ich, — zwrócił się do Tadzika i Zbyszka... — zmęczeni są... Weźcie i szybko do okopów... A wy, plutonowy, popędzicie naprzód uprzedzić dowódcę kompanji, żeby można było rannego jaknajprędzej odtransportować do szpitala... Zameldujcie, że ja tu zostałem.

Podoficer pobiegł naprzód... Po zmianie ludzi przy zaimprovizowanych z płaszcza noszach, grupka szybkim krokiem ruszyła w stronę własnych okopów. W drodze rozpoznał Mizgalewicz 4-ch jeńców, taszczących karabin maszynowy.

— Toście jednak maszynkę im zabrali?... — zainteresował idącego obok kaprała.

— Tak jest, panie podchorąży. Tylko, że za wcześniej nas spostrzegli. Otworzyli ogień z maszynki, a my na nią z granatami... dopiero ucichła,

ale nam pana podchorążego pocharatało, bo się wyrwał naprzód...

— To maszynką dostał?...

— Nie, granatem... Ma kilka dziur... jak rzeszoto... Dziw, że jeszcze zipie...

Wyszli z wąwozu, mając jeszcze do przebycia kawałek szczegoego pola. Ponieważ dniało już zupełnie, Mizgalewicz kazał naprzód pójść z rannym, osłaniając go przed ponownem postrzeleniem grupką jeńców. Za chwilę znaleźli się w okopie, gdzie oczekiwali ich Stefek z Zakrzewskim.

— Zabity?... — dopytywał się Stefek, ujrawszy bladą twarz i nieruchomą postać Okulickiego.

— Niebardzo... — odparł Zbyszek — ale gruntownie pocharatany.

— Gdzie dostał?...

— Spytaj się gdzie nie dostał?... Podziurawiony podobno, jak rzeszoto... granatem go tak fajnie poczęstowali...

Nadbiegł patrol sanitarny z noszami, na które złożyli rannego.

— Weźcie go, — rozkazał Mizgalewicz — i galopem do szpitala... Migiem, bo za dużo krwi stracił... Może wam w drodze kipnąć... w takim wypadku, wy będziecie odpowiedzialni za śmierć podchorążego...

Sanitarjusze szybko uwinęli się, unosząc ze sobą rannego...

— A wy, — zwrócił się Mizgalewicz do patrolu — zabierajcie tych magików i odprowadźcie do swego dowódcy razem ze zdobytą maszynką.

Patrol wraz z jeńcami ruszył rowem łącznikowym w stronę placówki piechoty, znajdującej się na prawo.

— Ładne dziś pożegnanie ze Zboiskami!... — mruknął Mizgalewicz. — Szkoda Okulickiego!... fajny chłop był!...

— Niewiadomo jeszcze jak z nim jest? Może się wylizać?! — wtrącił Zbyszek.

— Wylizać?... Taki trup?!... Jak on będzie żył z tyloma dziurami, to będzie prawdziwy cud Zmartwychwstania... A szkoda chłopca!... stary legun i dopiero ma 20 lat. Ano, wola Boska!... No, chłopcy!... Szósta dochodzi. Zmiana wnet nadejdzie. Trza się przygotować do odmarszu. Chodźmy...

Było już dobrze po szóstej, gdy nadeszła zmiana z pierwszego pułku strzelców lwowskich. Gromada czwartaków szybko uwijała się, zbierając swój skromny dobytek żołnierski. Stęskniła się wiara, nietyle do rozkoszy miejskich, ile do możliwości porządnego umycia się, rozebrania na noc i wielu innych rozkosznych wygod, zgoła dla sybarytów niezrozumiałych, a w które obfituje tak często pogardzany, ale czasem pożądanym „hinterland“. Byli na wet tacy, co marzyli o fryzjerze, aczkolwiek większość była jeszcze gołowąsa.

— Weź tornister Zakrzewskiego, a ja wezmę Stefka... — zaproponował Zbyszek Tadzikowi, pakując swój i przyjaciela dobytek.

Zabrali plecaki, zawiesili przez plecy karabinki i wyszli przed karczmę, gdzie stały przybyłe wcześniej wózki do maszynek...



Dzięki mglistemu porankowi mógł pluton spokojnie zebrać się na szosie, by ustawić się prawidłowym szykiem przed wózkami. Brakowało jeszcze dyżurujących przy maszynkach. Wnet zaczęły ściągać zmienione obsługi, niosąc na ramionach podstawy i lufy karabinów maszynowych. Po złożeniu maszynek, ustawiono je na wózkach, gdzie umieszczono też skrzynki z amunicją i częściami zapasowymi...

Ustawiony w kolumnie czwórkowej pluton oczekiwał przybycia dowódcy, który zajęty jeszcze był zdawaniem instrukcji swemu następcy. Wreszcie zjawił się podchorąży Mizgalewicz...

— Są wszyscy? — zapytał, obejmując wzrokiem swój niezbyt liczny oddział.

— Prawie... — odezwał się ktoś z kolumny.

— Co znaczy prawie?... Kogo brak?...

— Nikogo...

— O, batjary!... Wiców się wam zachciewa!... Pies z wami polkę tańczył!... Wozy gotowe?...

— Gotowe!... — zaraportował jeden z woźniców.

— No to ruszamy!... Maaaarsz!...

Mała kolumnienka miarowym krokiem skierowała się szosą ku miastu... Szli w milczeniu... Ranna ofiara, którą złożono w osobie 20-letniego podchorążego Okulickiego, ogólnie lubianego w całym pułku, przynębiła zawsze rozochoconą wiarę. Szczególniej deprymująco wypadek ten podziałał na Stefka, który zobaczył pierwszą krew przelaną w obronie Lwowa.

— Cóż masz taką minę, jakbyś z komina wyłazł?... — zagadnął Zbyszek przyjaciela.



— Tak mi jakoś głupio... Szkoda tego podchorążego!...

— A szkoda, ale cóż?... Gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą!... Nic się na to nie poradzi... Na wojnie bez ofiar się nie obejdzie... Nie przejmuj się!... Przyjdzie kolejka i na ciebie... Co będziemy robić w mieście? — zapytał Zbyszek kroczącego obok Tadzika.

— Jak nam dadzą spokój, to możemy, pójść do teatru, albo do gospody...

— A może do kina?... — wtrącił Stefek.

— Kina nie grają!...

— A w gospodzie co?... Wesoło?... — informował się Zbyszek.

— Jak czasem... Kiedy jest spokój, to się tam cała wiara ze Lwowa złązi... Ligawki urządzają koncerty... Można w szachy zagrać, gazety przeczytać... Coś w rodzaju takiego klubu towarzyskiego... Czasem to tam całkiem przyjemnie jest...

— Możemy się tam wybrać?... — projektował Stefek.

— Zobaczymy... Może do teatru pójdziemy, jeśli coś dobrego będzie...

— Może i pan plutonowy się wybierze z nami do teatru? — zaproponował Stefek kroczącemu w milczeniu Żakowskiemu.

— Dziś nie będę mógł, bo muszę zajść na Politechnikę i do szpitala. Ale jutro, tobym się wybrał.

Kolumienka skrzyła w prawo, osiągając peryferje miasta.

— Cóż wy tak nosy na kwinty pospuszczali?, — odezwał się podchorąży Mizgalewicz do gro-

mady. — Na pogrzeb idziecie?... Kluski macie w gębie?... Nosi do góry i zaśpiwać!... Niech wiedzą, że to czwartacy wracają.

Tak miła zachęta nie mogła pozostać bez skutku...

Za chwilę pierwsze szeregi zaintonowały pieśń, podchwyconą przez całą kolumnkę:

Górá czwartacy!

Oto bracia szczere nasze hasło!

Wszakże nie z pychy my to hasłem zwiem.

Lecz niechby tego zaraz

Sto piorunów jasnych trzasło,

Ktoby zapomnieć chciał o hasle tem!

Wszak czwartakami pułk ten nazywano,

Co pił za czterech, za ośmiu się bił.

Nam się w połowie dzisiaj, bracia,

To należy miano,

Choć się nie bijem,

Pijem czasem, by się bój choć śnił!

Naprzód, czwartacy!

Oto odzew jest na nasze hasło.

Nas, co podjęlim walk o wolność znój.

I by wróg wiedział,

Że męstwo polskie jeszcze nie zagasło,

Idziemy śmiało na najkrwawszy bój.

Bo duch „walecznych tysiąca“ w nas żyje!

Ideał dla nas im równymi być.

Aby świat mówił,  
Że się Polak dziś tak samo bije,  
Tak, jak w przeszłości  
Zwykł był tego wroga bić!

— Tak, to fajnie!... — pochwalił Mizgalewicz.  
— Zupełnie inaczej się maszeruje, co?!... No, a teraz  
naszą maszynową...

I znów gruchnęła z młodych piersi beztroska  
pieśń kompozycji podchorążego Mizgalewicza:

Karabin maszynowy  
Dalibóg cudna broń,  
A każdy chłop morowy  
Chętnie się garnie doń.

Na tej maszynce gram, jak artysta;  
Kuleczki sypią się, jak grad...  
I na minutę wysyłam trzysta,  
Co mi potwierdzi hajdamak.

Nad Nidą, czy w Karpatach,  
Przez cały wojny czas  
Był moskal w tarapatach,  
Przez kogo? ach przez nas!...

Na tej maszynce i t. d.

Spodziewasz się ataku,  
Dopiero dla ciebie bal!...  
Ustawiaj go, chłopaku,  
I czekaj hasła „pal!...

Na tej maszynce i t. d.

Podejdzie wróg pod druty,  
Mój karabinek gra  
Oj! takie skoczne nuty,  
Aż w człeku serce drga.  
Na tej maszynie i t. d.

To prędej, to powoli  
Tra-ta-ta słyhać wciąż...  
Gdy karabinek wali,  
Przy mężu pada mąż.  
Na tej maszynie i t. d.

A więc mam honor byczy,  
Wszędzie się pysznić tem,  
Że jestem celowniczy  
Czwartej K. K. M.  
Na tej maszynie i t. d.

Przechodnie przystawali na chodnikach, z życzliwym uśmiechem spoglądając na maszerującą w takt piosenki kolumnienkę młodych obrońców. Głowące twarze i dziarskie miny chłopców przyciągały spojrzenia najbardziej obojętnych, obytych z wojną, mieszkańców znękanego miasta. Te roześmiane twarze, bez troskie spojrzenia młodych żołnierzy były dla nich najlepszą rękojmią obrony i bezpieczeństwa...

— Uwaga, chłopcy!... na prawo czarne portki!...  
— zaanonsował kolumnie podchorąży Mizgalewicz.

Po prawej stronie ulicy szedł chodnikiem ku maszerującemu oddziałowi młody porucznik w stroju

„salonowym“, t. j. w długich, czarnych z czerwoną wypustką spodniach, uwydatniających się bardziej przy krótkim kożusku kawaleryjskim, w który odziany był oficer...

Wiara spostrzegłszy ten żywy symbol „hinterlandu“, zaśpiewała całą pełnią swoich młodych, zdrowych gardziołków:

Znam ja łazika,  
Co z frontu zmyka, —  
Nosi czarne spodnie, —

Bo mu na placówce,  
Tam na Persenkówce  
Jest niewygodnie!...

Bums tradi radi, bums tradi radi  
Bums tradi radi. oj ra.

Bo mu na placówce,  
Tam na Persenkówce  
Jest niewygodnie!...

Przechodzący porucznik, posłyszawszy tylko początek popularnej piosenki, przyśpieszył kroku i z wymuszonym uśmiechem, mocno nadrabiając miną, śpiesznie minął rozśpiewaną kolumnę, podczas, gdy przechodnie zaśmiewali się nagłos...

— Widziałeś, jaką miał głupią minę? — śmiał się Tadzik.

— Pewnie zawodowy łazik!... — wtrącił Hara-symiec.

— Ale też dęba dał!... — dziwił się Stefek.

— Te łaziki, jak nas spotykają, to zaraz do bramy uciekają... — wyjaśniał Tadzik.

Kolumienka skręciła na Zamarstynowską i za chwilę stanęła na podworcu koszarowym.

— No, chłopcy! — przemówił Mizgalewicz. — Porządnie maszynki wypucować, fajnie naoliwić... Rrrroozejść się!...

## IX.

Już szary zmierzch ogarniał miasto, gdy czwórka nowoczesnych muszkietarów opuściła koszary.

— Więc co robimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem? — pytał Stefek.

— Ja muszę na Politechnikę i do szpitala. Do-  
wiem się jak z Okulickim... — odparł Żakowski.

— Pójdziemy najpierw pod teatr obejrzeć reper-  
tuar... — zaproponował Tadzik.

— Fajno... Chodźmy pod teatr... — podchwycił  
Zbyszek.

Wyszli na plac Krakowski.

— No to serwus!... — odezwał się Żakowski, że-  
gnając trójkę przyjaciół. — A gdybyście dziś do  
teatru nie poszli, a kupowaliście bilety na jutro, to  
weźcie i dla mnie...

— Jak się da — to się zrobi...

Przeszli przed fronton teatru, gdzie wisiały  
afisze.

— Dziś idzie „Toska“... — odczytywał Tadzik  
repertuar.

— Znam tę operę, — zauważył Zbyszek, —  
zbyt tragiczna... Wolałbym cosik do śniacia.

— Do śniacia będziesz miał jutro, bo dają „Cy-  
rulika Sewilskiego“.



— No to wolę jutro pójść... — zdecydował Zbyszek. — Nie lubię tragedji... Chodźmy kupić bilety na „Cyrulika“...

Weszli do hall'u, w którym wił się dość pokaźny ogonek publiczności, cierpliwie oczekującej swojej kolejki podejścia do okienka kasowego.

— Stań sobie, Tadziu, w ogonku... — zaproponował Zbyszek, — My sobie obejrzymy tymczasem obrazki.

Tadzik zajął miejsce, podczas gdy przyjaciele rozpoczęli spacer po foyer, oglądając porozwieszane na ścianach fotografie artystów.

Gdy wreszcie Tadzik dopchał się do okienka kasy, zapytał Zbyszka, jakie ma wziąć miejsca.

— A na jakie zawsze chodzicie?...

— Przeważnie urzędujemy w łóżach.

— No to weź łóżę, ale blisko sceny...

Tadzik kupił cztery bilety prosceniowej łoży.

— Mamy szczęście... najlepsze miejsca... — cieszył się.

— A co zrobimy z resztą tak pięknie rozpoczętego wieczora?... — martwił się Stefek.

— Przejdziemy się po deptaku, obejrzymy wystawy, a potem zajdziemy na podwieczorek do Ligawki... — wyłożył swój program Tadzik.

— No i wieczór mamy zajęty... — zdecydował Zbyszek.

Przeszli na corso i wmieszali się w rzeszę spacerujących, wśród których przeważała naturalnie płeć piękna. Deptak był wyjątkowo rojny, gdyż od paru dni ukraińcy zaprzestali bombardowania miasta z braku widocznie odpowiedniej ilości cięższej amunicji.

Przeszedłszy się kilkakrotnie tam i z powrotem, oglądawszy wszystkie wystawy, zacna trójka przyjaciół skreśliła na plac Marjacki.

— No to możebyśmy poszli troszkę pofrygać?  
— zaproponował Tadzik.

— Taj mogliemy... — przytaknął po lwowsku Zbyszek.

Obeszli plac wokoło i ulicą Batorego skierowali się do gospody żołnierskiej, ufundowanej przez Ligę Kobiet, popularnie zwanej Ligawką.

O tej porze w gospodzie było rojno, gwarno i... mglisto. Ze wszystkich zakątków Lwowa, schodzili się tu dla wypoczynku i rozrywki obrońcy miasta.

W pierwszej sali gospody, znajdował się bufet, obficie, jak na ciężkie czasy oblężenia, zaopatrzony w kromki chleba posmarowane marmeladą. Za bufetem uwijało się kilka nadobnych lwowianek, z uprzejmym, zachęcającym uśmiechem usługując braci żołnierskiej...

Dziwnem wydawało się na pierwszy rzut oka, że w tej licznej gromadzie bynajmniej nie raziło specyficzne, szorstkie zachowanie się gości, rekrutujących się z najrozmaitszych stanów, zrównanych szarym, żołnierskim mundurem.

Przeciwnie, tu, w tej atmosferze wzajemnej życzliwości i zaufania, kontrasty te jakby dziwnie ze sobą harmonizowały.

Druga sala była mniej ludna: odbywały się w niej zebrania towarzyskie, koncerty przygodne; można było tam gazety przeczytać, zagrać w szachy itp., oddawać się rozrywkom.

Gdy trójka czwartaków weszła do gospody,

ledwie precyzyjnie się mogła przez tłum, oblegający bufet i stoły, przy których bardziej zgłodniałym konsumowali swoje porcje, składające się z kromki chleba z marmeladą i szklanki herbaty lub kawy.

— Wiecie co?... — zaproponował Tadzik. — Przejdziemy do drugiej sali... Przeczytacie sobie gazety, a ja tymczasem postaram się o „fasunek“.

— No to prowadź nas... — zaakceptował Zbyszek.

Przeszli do obszernej sali, gdzie zajęli miejsce przy stole z gazetami. Zbyszek ze Stefkiem oddali się lekturze czasopism, a Tadzik poszedł zdobywać „fasunek“.

Po dłuższej nieobecności wrócił w towarzystwie 2-ch czwartaków z kompanji strzeleckiej. Byli to Franek Kulka i Maniek Ipochoński z 13-tej kompanji, których Zbyszek już był poznał podczas pobytu w Zboiskach.

Tadzik niósł na talerzu piramidę z kromek chleba z marmeladą, a Franek z Mańkiem nieśli filiżanki z kawą.

— Mamy co wsuwać!... — cieszył się Tadzik.

— Serwus, Marjanku!... Serwus, Franiu!... — przywitał Zbyszek przybyłych. — Siadajcie!... A to mój przyjaciel Paluchowski...

Stefek wymienił uścisk dłoni z przybyłymi.

— No! no! A to ci się wcale fajnie udało!... — pochwalił Zbyszek Tadzika. — Możemy sobie teraz przynajmniej z gracją poprygać. Śpieszyć się nie ma co, czasu mamy dość!...

— A wiesz, — podchwycił Tadzik — że to też swego rodzaju przyjemność, tak sobie zjeść spokojnie, kiedy nikt cię nie pogania, nie boisz się, żeby

wystygło na mrozie, albo że ci granat menażkę z łapy wytrąci...

— Dużo jeszcze przyjemności znajdziesz w życiu... — odparł Zbyszek filozoficznie. — Dawno tu jesteście? — zapytał Marjanka.

— Dopierośmy przyszli... Złapał nas Tadzik przy bufecie... Co robicie potem?...

— Czy ja wiem?... Posiedzimy tu sobie trochę... Może w szachy zagramy?... Mieliliśmy pójść do teatru, ale dają tragiczną „Toskę“, więc kupiliśmy bilety na jutro na „Cyrulika Sewilskiego.“

— A my chcieli pójść na Toskę, taj już biletów nie dostali... — wtrącił Franek.

— Widziałeś coś podobnego?... — dziwił się Stefek. — Żeby aż biletów zabrakło do teatru?...

— To wiesz co, Franek? — zwrócił się Maniek do przyjaciela. — Możebyśmy też kupili bilety na jutro?...

— Taj mogiemy...

— No to skocz, Franiu, po bilety, bo może jutro znów zabraknąć... My tu na ciebie poczekamy... Pójdziemy więc jutro całą gromadą. A wy, jakie macie bilety?...

— Łożę wzięliśmy... — odparł Zbyszek. — Pierwszą lożę dostaliśmy.

— No to weź też lożę, ale zaraz obok, albo pierwsze fotele pod lożą... — zalecał Maniek przyjacielowi.

— Jak si da, to si zrobi!... — rzucił Franek, wychodząc po bilety.

— To będzie jutro wesoło, jak tak całą grandą wybierzemy się!... — cieszył się Tadzik. — Ale wiecie co?... Wartoby jakiś kawał zrobić.

— Możebyśmy kwiaty posłali primadonnie?.. — zaproponował Zbyszek.

— Dobra myśl, dalibóg!... — podchwycił Marjanek. — Ale skąd tu kwiaty zdobyć?

— Ee, tam kwiaty!... — wzruszył Tadzik ramionami. — Co im po kwiatkach?... Tego przecież jeść nie można?... Już ja to sobie wykombinuję... Poczekajcie do jutra... zobaczycie!...

Sala powoli się wypełniała... „Głodomory“, nasytzeni przy bufecie, zaczęli przechodzić do „bawialni“, by odetchnąć po sutym posiłku. We wzmagający się gwar wcisnęły się próbne dźwięki fortepianu i skrzypiec.

— Będzie koncert... — objaśnił Tadzik, stały bywalec gospody.

Cała czwórka odwróciła się, spoglądając w stronę fortepianu, przy którym siedziała młoda, o ujmującej powierzchowności, pianistka. Obok niej stroiło skrzypce niemniej przystojne dziewczę.

W miarę uzgadniania instrumentów, gwar począł samorzutnie przycichać, aż wreszcie salę zajęła zupełna cisza, przerywana tłumionym oddechem.

Koncertantki spojrzały na siebie porozumiewawczo. Za chwilę popłynęła rzewna melodia „Rapsodji Węgierskiej“ Liszta.

Już pierwsze tony zwabiły pozostałych przy bufecie głodomorów. Wiara chodziła cicho, „na paluszkach“, by głośniejszem stąpnięciem podkutych „pedałów“ nie rozprószyć uwagi skupionych słuchaczy i nie przeszkodzić koncertantkom.

W miarę przejścia melodji na skoczną, ochoczą nutę węgierską, ustawały wszelkie szepty i chrząkania. Słyszać było tylko tamowany oddech zdrowych, młodych piersi, pragnących jakby wchłonąć w siebie te błyskotliwe tony.

Zabrzmiały wreszcie ostatnie tony... Przez dłuższą chwilę panowała jeszcze na sali zupełna cisza... Słyszać jeno było ulatujące w powietrzu dźwięki końcowych akordów...

Naraz huknęła sala grzmotem oklasków... Wiara nie żałowała swych szorstkich dłoni, stwardniałych od stałego ściskania drzewca karabinu...

Skromne koncertantki, komicznie zażenowane, w ponsach po czubek nosa, kłaniały się rozbawionym żołnierzom na wsze strony... Wiara jednak rozochocona nie ustawała w klaskaniu.

Gdziekolwiek odezwały się głosy:

— My chcemy jeszcze!... My chcemy jeszcze!...

Dziewczęta musiały kontynuować grę. Bractwo poczęło powoli uspokajać się, aż znów zapanowała cisza, przerywana w kątach szeptami uznania.

Znów popłynęły nastrojowe tony. Tym razem grały „Legende“ Wieniawskiego.

Wiara słuchała w skupieniu, jakby tem pragnęła grającym dziewczętom dać dowód uznania i wdzięczności za tak piękne urozmaicenie szarej doli żołnierskiej. Taka zachęta ze strony nieskoordynowanego audytorjum wpłynęła też dodatnio na skupienie dziewcząt, które z całą pełnią uczucia wykonały przemily utwór Wieniawskiego.

Burza długo niemilkących, szczerych oklasków, była wyrazem podzięk i gorącego uznania



dla młodych dziewcząt, bezinteresownie oddających swe umiejętności gwoli urozmaicenia doli swych obrońców.

— No co?... Podobало się?... — zapytał Zbyszek swych kolegów.

— Ta fajnie graja... — pochwalił Tadzik.

— Jak z nut!... — wtrącił Marjanek.

— A ja pierwszy raz widziałem kobietę, grającą na skrzypcach... — szczerze wyznał Stefek.

— Coprawda, to skrzypce są bardziej męskim instrumentem i jakoś głupio wygląda, gdy gra na nich kobieta... — przyznał Zbyszek. — Ale poczekajcie!... Zrobię kawał!... — rzucił, uśmiechając się pod nosem i wstając.

— Cóż ty zamierzasz? — spytał Marjanek.

— Zobaczycie...

Podszedł do skrzypaczki, która chusteczką wycierała spocone od grania dłonie.

— Czy pozwoli mi pani zagrać na swoich skrzypcach? — zwrócił się Zbyszek do zdziwionej koncertantki. — Już tak dawno instrumentu w ręku nie miałem... Chciałbym przekonać się, czy potrafię jeszcze przebierać palcami po strunach.

— Ależ z przyjemnością... Niech pan próbuje...

— Dziękuję pani z całego serca. Pozwoli pani, że się przedstawię?... Wirecki jestem, z czwartego pułku...

— To pan czwartak?... Bardzo lubię czwartaków... Bąkowska jestem. Bardzo mi miło pana poznać... A to moja koleżanka, Bobecka... — zarekomendowała siedzącą obok pianistkę.



— Wirecki jestem... — powtórzył Zbyszek. — Miło mi jest panie poznać, choćby ze względu na wspólne umiejętności. Ogromnie lubię muzykę... A panie są pierwszemi lwowiankami, które poznałem...

— Ooo!... — zarumieniły się obie.

— Czy pani akompanjuje tylko z nut, czy też „od ucha“? — zapytał Zbyszek pianistki.

— Zależy co? — odparła. — Wszystkiego oczywiście na pamięć nie umiem...

— Grały panie przedtem „Legendę“ Wieniawskiego... Czy może zna pani coś jeszcze Wieniawskiego na pamięć?...

— Owszem, niektóre utwory znam...

— A może pani zna „Kujawiak“?...

— Oooo!... „Kujawiaka“ gram...

— To może mi pani zaakompanjuje?...

— Z przyjemnością... Bardzo lubię ten mazurek.

— No to zagramy... — zdecydował Zbyszek.

Nastroił skrzypce, wziął kilka akordów, pociągnął smyczkiem kilka gam i pasażów dla wypróbowania elastyczności swoich palców i wreszcie spojrział porozumiewawczo na akompanjatorkę, dając znak, że zaczyna... Panna Bobecka skinęła potakująco głową...

Skoczyły wdzięczne akordy mazurka Wieniawskiego. Zebrana w sali wiara, zdziwiona zmianą wykonawców koncertu, poczęła żywo gestykulować i szeptać, obrzucając ironicznymi spojrzeniami grającego Zbyszka, pewnie i z fantazyjnym rozmachem posługującego się smyczkiem.

W miarę powtarzania się poszczególnych części utworu, wiara coraz głośniejszemu szemrała, dając tem

wyraz swemu niezadowoleniu z powodu zastąpienia skrzypaczki przez Zbyszka.

Gdy przebrzmiały ostatnie akordy, a Zbyszek oczekiwał burzy oklasków, szukając w pamięci jakiegoś utworu do bisowania, rozległy się gwizdy i wołania:

— Smyku, oddaj skrzypce!... Smyku, oddaj skrzypce!...

Zbyszek stanął cały w ponsach. Myślał, że go krew zaleje. Corychlej oddał instrument skrzypaczce, pragnąc jaknajprędzej uciec do swojej paczki.

— Ale pan wcale dobrze gra... — uśmiechnęła się panna Bąkowska, pragnąc wynagrodzić mu nieoczekiwany afront, jakiego doznał ze strony towarzyszyów broni.

— O tak!... — odparł, opanowując szybko przykre wrażenie. — Słyszała pani, jak głośnem i serdecznem uznaniem obdarzyli mnie...

— Ach! oni się znają tylko na melodji, ale nie na wykonaniu i technice... — pocieszała go skrzypaczka. — Nie trzeba się przejmować... Pan naprawdę dobrze gra... Już sam fakt, że pan gra Wieniawskiego i to z pamięci, świadczy o tem...

— Dziękuję pani za komplement... Jest pani bardzo pobłażliwą... Jeszcze raz dziękuję... A i pani też, — zwrócił się do akompanjatorki, — dziękuję za akompanjament.

— Ooo!... Nima za co... — zapłoniła się panna Bobecka.

— Jeszcze raz paniom dziękuję i całuję rączki...

Zbyszek wrócił do kolegów. Zastał już i Franka, który zdążył był kupić bilety do teatru.

— Aleś się wpakował!... — śmiał się Tadzik. — Chciał kawał zrobić, a sam wdepnął... Cha... cha... cha!... jak śliwka w kompot!... cha, cha, cha!...

— Cóż te kabany znają się na muzyce!... — odparł Zbyszek pogardliwie.

— Pewnie, że się nie znają, skoro wygwizdali takiego, jak ty, mistrza... — podrwiwał Tadzik.

— Nie rób z siebie większego osła, niż jesteś...

— No, no, moi drodzy!... — wtrącił ugodowo Marjanek. — Nie nazywajcie się po imieniu i nie rozstawiajcie sobie familji po kątach... Chodźmy lepiej odetchnąć świeżym powietrzem i pokimać.

— Masz rację, Marjanku... — zgodził się Zbyszek. — Zrobimy angryf na nasze prycze... Warto nieco przespać się po ostatniej nocy...

Ruszyli ku wyjściu... Przechodząc do sali bufetowej, Zbyszek przesłał koncertantkom pożegnalny ukłon, na który odpowiedziały miłym uśmiechem i skinieniem głowy...

Po wyjściu z gospody, gromadka czwartaków ruszyła w kierunku Zamarstynowskiej, komentując po drodze Zbyszkowe zdolności muzyczne. Na Hetmańskiej spotkali wracającego do koszar Żakowskiego.

— Skądże to nasz wódz samotny wraca o tak późnej godzinie?... — zainteresowali go żartobliwie.

— Nie pytajcie nigdy, skąd przychodzisz, lecz dokąd dążysz... — odparł filozoficznie Julek. — A dążę w jednym z wami kierunku, do chałupy...

— Mamy dla ciebie na jutro bilet na „Cyrulika“... — zakomunikował Zbyszek.

— To dobrze... Chętnie wybiorę się jutro do teatru... A za wasze starania oznajmie wam dobra nowinę...

— No co takiego?... Ofensywa się rozpoczyna?...

— Pójdziemy na Malechów?...

— Pewnie poznaniaki już przybyli z odsieczą... — posypały się domysły i przypuszczenia.

— Nikt z was nie zgadł... Byłem w szpitalu... Otóż Okulicki żyje i napewno wyliże się... Dostał kilka odłamków granatu ręcznego... Ma coś 12 czy 14 dziur... Niby pocharatało go na amen, ale się wy-skrobie...

— Co ty mówisz!?!... — dziwił się Zbyszek. — No, no!... Za taką nowinę to ci się coś należy... Do-staniesz swój bilet do teatru gratis... Zgoda, Tadeusz?...

— Zgoda!... Za taką nowinę wart jest... A wi-dzicie, że Pan Bóg jest sprawiedliwy?... Szkodaby przecież było takiego morusa, za jedną głupią ma-szynkę i kilku hajdamaków...

— Aż mi ulżyło!... — westchnął Stefek — tak mi go żal było!... Chwała Bogu że żyje...

— No to możemy jutro całkiem spokojnie i z czystym sumieniem pójść do teatru... — wtrącił Marjanek. — Bo mi tak jakoś cały dzień markotno było przez tego Okulickiego...

— Zato teraz będziesz spokojnie chrapał... — za-uważyl Zbyszek, gdy stanęli w bramie koszar, by po-żegnać się z kolegami z 13-ki.

— Serwus, Franek!... Serwus, Marjanku!...

— Serwus wiara!... Więc jutro gromadą na „Cyrulika“...

— Fajno!... Wstąpcie po nas... — zaproponował Zbyszek.

— Zrobi się... A ty, Tadziku, nie zapomnij o kwiatach!... — przypomniał Marjanek.

— Nie bój nic!... Jakoś to be!... — zapewniał Tadzik.

Po wymianie uścisków przyjaciele się rozeszli, udając się do swoich „salonów sypialnych“...

## X.

Nazajutrz, po zajęciach służbowych, Marjanek z Frankiem wstąpili po „maszynistów“ by, według umowy, razem wybrać się do teatru. Wszyscy trzej byli już gotowi. Brakowało tylko Tadzia.

— Gdzież się Tadzik podział?... — spytał Marjanek.

— Poszedł starać się o kwiaty. Ma przyjść wprost do teatru... — wyjaśnił Zbyszek.

— Ciekawym, jaki ten drażał kawał wykombinuje? — wtrącił Julek.

— Ano, zobaczymy!... — zakonkludował Zbyszek. — Tymczasem zróbmy kolumnę towarzyską... Druh za druha lekko skocz!... Kierunek teatr... maaarsz!...

Ruszyli całą gromadą, roztrzásając po drodze wczorajszą kompromitację Zbyszka w gospodzie, o czem opowiedzieli Julkowi.

Gdy przybyli do teatru, było tam już rojno i gwarno. Wśród publiczności przeważało wojsko najrozmaitszych szarż i broni. Nie brakowało też i płci „słabej“, a nadobnej, w szerokich, kloszowych spódniczkach i szarych kurtkach żołnierskich... Były również panie i w „prawdziwych“ wieczorowych toaletach...

Po złożeniu w garderobie płaszczy i maciejówek, przyjaciele rozpoczęli spacer po korytarzu, kłaniając się po drodze starszyźnie wojskowej i witając znajomych towarzyszków broni z innych kompanij.

Sygnal dzwonka począł wreszcie wzywać spacerujących na widownię. Marjanek z Frankiem zajęli miejsca w fotelach, a Zbyszek z Julkiem i Stefkiem udali się do swojej łoży, gdzie jednak nie zastali jeszcze Tadzika.

— Gdzie się ten Tadek zawieruszył? — irytował się Stefek.

— Czegóż się martwisz? — uspokajał go Zbyszek. — Nie bój nic, nie zgubi się... Dopiero pierwszy dzwonek był.

Rozejrzeli się po widowni. Prawie wszystkie miejsca były zajęte. Snać przybytek Melpomeny cieszył się wielkiem uznaniem, tak obrońców, jak i nie tracących humoru mieszkańców miasta.

Rozległ się drugi dzwonek...

— A ta małpa nie przychodzi!... — rzucił znowu Stefek.

— Nie bój nic!... — pocieszał go Zbyszek, — trafi do nas... ma przecież bilet.

Po trzecim dzwonku przysunęli się do parapetu łoży, by lepiej móc obserwować, co się będzie działo na scenie.

Gdy jaskrawe światła kinkietów poczęły przygasać, drzwi łoży cichutko otworzyły się. Ukazała się długa sylweta Tadzika. Cicho „na paluszkach“ prześlizgnął się do oczekujących go przyjaciół, zajmując miejsce na fotelu za Zbyszkiem, gdyż szczupła



szerokość łoży nie pozwalała na uszeregowanie czterech krzeseł.

— Gdzieżeś tak długo marudził? — szeptem zapytał Zbyszek.

Tadzik wskazał na leżącą u jego stóp, owiniętą w papier paczkę.

— Kwiaty?...

Tadzik skinął potakująco głową.

Pierwsze dźwięki uwertury przerwały szeptany dialog. Na sali zapanała cisza. Publiczność wchłaniała w siebie dźwięki wesołej melodji Rossini'ego.

Nareszcie kurtyna poszła w górę, ukazując widowni piękny plac w Sewilli, na którym hrabia Almaviva i Figaro knują spisek przeciwko doktorowi Bartolo, zazdrośnie ukrywającemu przed światem swą pupilkę Rozyne, do której smali cholewki zakochany hrabia.

Pierwszy akt tej opery, będący wstępem do całej arcykomicznej akcji, niebardzo zachwycał naszych czwartaków, znanych z niefrasobliwego humoru, będącego troskliwie przestrzeganą tradycją „tysiąca walecznych“.

Gdy zapadła kurtyna po pierwszym akcie, a światło kinkietów olśniło widownię, Stefek odwrócił się do Tadzika.

— Jakże z bukietem?...

— Jest...

Tadzik wskazał zawiniątko.

— Czegoż nie odwijasz?... Przecież się zgniotą...

Stefek sięgnął ręką po paczkę.

— Nie ruszaj... — wstrzymał go Tadzik. — Dopiero na końcu drugiego aktu.

Do łoży wpadli Marjanek z Frankiem.

— No co, Tadius?... Masz kwiaty?...

— Mam koszyk...

— Pokaż...

Tadzik wskazał na koszyk papierem owinięty. Wszyscy poczęli przyglądać się oryginalnemu zawiniątku, które bynajmniej nie wyglądało na kosz z kwiatami...

— Przyznaj, Tadius, co tam masz w tym koszyku? — wmieszał się spokojny dotąd Julek. — Przecież to nie mogą być kwiaty...

Wtem jakieś podejrzone ruchy pod papierem, którym owinięty był koszyk, przykuły uwagę przyjaciół...

— Powiedzże już, koniu boży, coś ty za kawał wymyślił? — przemówił mu Zbyszek do sumienia.

— Poczekajcie... zaraz wam pokażę... — wyszczerzył Tadzik swoje białe zęby w szerokim uśmiechu.

Przykleknął i rozwinął papier. W zgrabnie uplecionym koszyku siedział kogut, przywiązany sznurkami tak, że nie mógł ani łapką, ani skrzydłem ruszyć...

Wiara, zobaczywszy ten cudaczny „bukiet“, zatrzęsa się od śmiechu... Pozostała na widowni publiczność ciekawie spoglądała ku łoży prosceniowej, skąd dochodziły te wybuchy spazmatycznej wesołości...

Po dłuższej chwili zdołała wiara opanować paroksyzm śmiechu.

— No wiesz, Tadziu. ty jesteś genialny!... — odezwał się wreszcie Zbyszek. — Chyba żaden aktor na świecie nie otrzymał jeszcze takiego bukietu.

— Ale przecież nie macie zamiaru tego posłać na scenę? — wtrącił Stefek nieśmiało.

— A to dlaczego? — pytał Tadzik, zadowolony z kawału. — Co im po kwiatach, kiedy jeść nie mają co?... Myślisz, że każdy cywil fasuje codziennie taki gulasz. jak my?... Nie bój nic... Po takim kogutku, to pewnie z miesiąc będą paluszki oblizywać...

— Ty masz pomysły!... — wmieszał się Marjanek. — Niech cię uściskam!... Masz rację... Takiego kogutka będą dłużej pamiętali, jak dziesięć bukietów najświeższych kwiatów...

— A teraz trzeba mu przylepić bilet wizytowy, żeby wiedzieli od kogo taki fajny bukiet... Ja myślę, żeby to posłać Argasińskiej i Folańskiemu, co?...

— Niech będzie... — zgodzili się przyjaciele.

Tadzik wyrwał kartkę z notesu i ołówkiem nakreślił:

„Uroczej Rozynie (Pani Argasińskiej)  
i urwisowi Figaro (Panu Folańskiemu) w szcze-  
rem uznaniu ten skromny dar przesyłają

wdzięczni Czwartacy.“

— No co?... Fajnie będzie?... — pytał przyjaciel po odczytaniu kartki.

— Fajnie... — odrzekli chórem.

— Najgorzej, jak „skromny dar“!... — dorzucił Julek.

— A teraz — ciągnął Tadzik — puście mnie do przodu, żeby mi było wygodniej przesłać ten piękny „bukiet“ na scenę.

Sygnal dzwonka obwieścił rozpoczęcie drugiego aktu...

Marjanek z Frankiem opuścili łóżę, udając się do swoich miejsc w fotelach. Czwórka maszynowców usadowiła się w łóży, przyczem Zbyszek odstąpił swoje miejsce przy parapecie Tadzikowi.

Za chwilę zmrok ogarnął widownię, a podniesiona kurtyna ukazała publiczności jasno oświetlony pokój doktora Bartola.

Akcja drugiego aktu, podczas którego Figaro rozwija całą swą przebiegłość dla ułatwienia Almavivie porozumienia się z ukochaną Rozyną, wywołuje na widowni huragany śmiechu. Piosenkę „Figaro tu, Figaro tam“ publiczność oklaskuje przy podniesionej kurtynie, zmuszając Figara do bisowania. Arja Rozyny wywołuje szczery entuzjazm. Wesołe tarapaty doktora Bartola rozśmieszają widownię do łez. Obcy, aniby przypuszczał, że ta śmiejąca się tak beztrósko i szczerze publiczność przeżywa smutny okres oblężenia i walki o wolność umiłowanego lwiego grodu...

Wreszcie opada kurtyna, akt drugi skończony... Publiczność gorąco oklaskuje wykonawców, zmuszając kulisy do podniesienia kurtyny... Artyści kłaniają się widowni za gorące i szczerze wyrazy uznania.

Wtem od lewej łoży prosceniowej leci coś za rampę... Coś, co w locie rozwija skrzydła i pospiesznie osiada na scenie... Widownia na moment przycichła w oczekiwaniu rozpoznania dziwnego daru... Publiczność wstaje, by lepiej dojrzeć, co się to porusza na scenie... Aż tu donośne, tak dobrze znane, ale nieoczekiwane „ku-ku-ry-ku” wystraszonego koguta oznajmia, co to za gość wylądował w przybytku Melpomeny.

Zrywa się istny huragan oklasków... Rozentuzjasmowana publiczność wyje z uciechy... Aktorzy, rozpoznawszy ten dziwny dar, wybuchają też głośnym śmiechem. Na scenie zaczyna się gonitwa. Usiłują przylapać wystraszonego koguta... Ten jednak, okręciwszy się kilkakrotnie, z donośnem „ku-ku-ry-ku” znika za kulisami.

Z pod sklepienia rampy zsunęła się wreszcie kurtyna, zasłaniając przed rozbawioną publicznością dalszy ciąg tarapatów Bogu ducha winnego koguta. Światło zapalonych kinkietów ukazało widowni bohaterów nadprogramowej sceny. Powstała z miejsc publiczność poczęła gorąco oklaskiwać pomysłowych czwartaków. Żażenowana nieoczekiwanem uznaniem i tak szczerym aplauzem widowni, czwórka przyjaciół cofnęła się wгłęb łoży, by uniknąć ciekawych spojrzeń kilkuset oczu, zwróconych w ich stronę. Za chwilę wpadli do łoży Franek z Marjankiem.

— Tadziu!... Dej pyska!... Niech cię uściskam!...  
— wołał od drzwi Marjanek. — To ci się udało!...  
Niech cię gęś kopnie!... Ty masz pomysły!... Cha!...  
cha!...

— Taj szkoda koguta!... — wtrącił Franek. —  
Lepiej było kurę dać... Przynajmniej by im kilka  
jaj zniosła...

— Podobało się wam?... — cieszył się Tadzik.  
— Fajny bukiet był, co?...

— A gdzieżeś ty go wytrzasnął? — zapytał  
Julek.

— Aż na Zniesienie musiałem po tego draba  
przespacerować się...

— No! no!... — podziwiali go wszyscy.

— Ale ci się udało! — pochwalił Zbyszek. —  
Teraz przynajmniej będziemy mieli fory w teatrze...  
Już nas wszyscy będą znali... Zawsze będziemy  
w tej tu łoży urzędować...

Dzwonek, oznajmiający rozpoczęcie ostatniego  
aktu, wypłoszył z łoży „piechurów“ z 13-ki.

— Będziemy czekać przy wyjściu... — rzucił  
Marjanek na odchodnem.

Gdy światła pogasły, zacna czwórka „maszyni-  
stów“ zajęła znów swoje miejsca przy parapecie łoży,  
wystawiając się mimowoli na obserwację widowni...

Rozbawiona „kogucią awanturą“ publiczność  
mniej już zwracała uwagi na komiczne tarapaty dra  
Bartola, kiwanego na wszystkie strony przez sprytną  
Rozynę i rozkochanego Almavivę za pośrednictwem  
dzielnego figlarza Figara. Nawet pocieszna figura  
don Basilja i rejenta już tak nie rozśmieszały publi-  
czności, która kulminacyjny punkt wesołości osią-  
gnęła w nadprogramowej scenie drugiego aktu.

Gdy po skończonem przedstawieniu czwartacy  
opuszczali teatr, mogli skonstatować, że publiczność  
pozostawała pod dobrem wrażeniem Tadzikowego



koguta... Głośne i życzliwe komentarze o pomysłowości czwartaków, utwierdziły naszych przyjaciół w przekonaniu, że wybryk Tadzika nie był wcale nietaktownym, ani też bynajmniej nie ubliżał powadze przybytku Melpomeny...

Przy wyjściu natknęli się przyjaciele na oczekujących Marjanka z Frankiem.

— No co? Zadowoleni jesteście? — zagadnął ich Tadzik.

— Niech cię kule biją!... — odparł Marjanek. — Ale chyba żaden aktor na świecie nie dostał tak wspaniałego „bukietu“... Ty masz pomysły!...

— Przynajmniej będą jutro mieli co pofrygać... — wtrącił Franek. — Trzeba im było jeszcze dodać paczkę kawy konserwowej, żeby mieli czem popić...

— W przyszłości złożymy się wspólnie na taki „bukiet“... — odezwał się Julek, rozbrojony nieco z powagi efektem pomysłowości Tadzika. — Każdy z nas będzie musiał złożyć coś ze swego fasunku...

— Fajna myśl, dalibóg!... — podchwycił Zbyszek. — Oni pewnie teraz w dostatki nie opływają... Trzeba będzie tak kombinować, żeby za każdym razem, jak będziemy w teatrze, posłać im coś pofrygantus...

— Pewnie... — potwierdził Tadzik. — Przez żołądek najłatwiej trafić do serca, powiada przysłowie, — a my to trochę zmodyfikujemy i przez nasze serca przynajmniej dostanie im się trochę do żołądka... Zgoda, co?...

— Zgoda... — potwierdzili przyjaciele.



I kombinując tak na temat sposobu złożenia najrealniejszych dowodów wdzięczności i uznania ofiarnej i niestrudzonej braci aktorskiej, gromadka czwartaków dostała się wreszcie do koszar.

— A jutro co robimy? — pytał Marjanek, rozstając się z maszynowcami.

— Jak będzie spokój, możemy wybrać się do Ligawki... — zaproponował Zbyszek.

— A będziesz znowu grał? — uśmiechnął się Tadzik filuternie.

— Idjotman!...

— A może pójdziemy odwiedzić Okulickiego? — wtrącił Julek.

— Też mogiemy... — zgodził się Marjanek.

— No to zobaczymy jutro kiedy i dokąd się wybierzemy? — zdecydował Zbyszek. — Wdepnijcie po nas przed wyjściem do miasta.

— Dobra... — odparł Marjanek. — Przyjdziemy po was... Serwus!...

Uściskawszy sobie dłonie na dobranoc, gromadka rozeszła się do swoich kwater, by w objęciach Morfeusza przetrwać tak mile spędzony wieczór w przybytku Melpomeny...

## XI.

Stefek zaaklimatyzował się na dobre we Lwowie w czasie pierwszego miesiąca swej służby. Jakkolwiek nie mógł jeszcze odróżnić tłoka gazowego od odrzutnika, niemniej stał się w praktyce niezłym „maszynistą“, poznawszy dobrze umiejętność usuwania zacięć. Mając wprawne oko, okazał się wkrótce pierwszorzędnym strzelcem, zyskując uznanie kolegów. Przyzwyczał się też do najrozmaitszych wybryków bujnej fantazji czwartackiej, nabierając własnego rozmachu w rozmaitych konceptach podczas wspólnych wycieczek gromady. Przejął się nawet miłym akcentem lwowskim i zaczął przeciągać i „spiwać“.

Zbyszek, przyzwyczajony już służbą w Legionach do częstej zmiany otoczenia i warunków bytu, czuł się w gromadzie czwartackiej znakomicie...

Miesięczny pobyt w kompanji częściowo na placówkach, częściowo na Zamarstynowie, zbliżył przybyszów do starej wiary czwartackiej. Wspólne chwile, spędzane na odcinku frontowym, wycieczki do „Ligawki“, wspólnie przygotowywane „bukiety“ dla ulubieńców teatralnych, sprawiły, że wzajemna sympatja i poprawne stosunki koleżeńskie zamieniły się wkrótce w szczerą przyjaźń, jaka zaistnieć może

tylko pomiędzy istotami, nieskalanemi jeszcze doświadczeniem życiowem...

Cała pierwsza połowa lutego upłynęła spokojnie dla mieszkańców Lwowa i jego obrońców, o ile spokojem nazwać można ten najgłupszy na froncie stan wyczekiwania tak z jednej, jak i z drugiej strony. Jedynie działalność patroli i wzajemna wymiana pojedynczych strzałów świadczyły, że wojna jednak trwa... Mimo tego pozornego spokoju ludność miasta była stale narażona na niebezpieczeństwo kalectwa lub utraty życia, gdyż ukraińcy, mimo widocznego wyczerpania bezskutecznem obleganiem, nie mogli sobie odmówić przyjemności codziennego wysyłania kilku pocisków armatnich w sam środek miasta. Pociski te jednak bynajmniej nie przestrażały przyzwyczajonych do tego mieszkańców i nie miały żadnego wpływu na normalny tryb życia oblężonego miasta...

Już trzy dni odpoczywał trzeci pluton karabinów maszynowych w koszarach Zamarstynowskich po ostatniej służbie w Zboiskach... W nocy z 16 na 17 lutego wiara twardym snem spoczywała na swych drewnianych, piętowych pryczach. Dyżurny kapral siedział przy stoliku i spokojnie czytał książkę przy skąpem świetle lampy naftowej. Od czasu do czasu, posłyszawszy szmer przewracających się na twarde łożu z boku na bok towarzyszków, podnosił głowę, spoglądając badawczo na szeregi uśpionych najmłodszych rycerzy zmartwychwstałej Polski...

Około godziny drugiej po północy doszły uszu dyżurnego odgłosy nagłej, gwałtownej strzelaniny...

— Pewnie patrol podszedł pod nasze placówki...  
— pomyślał nasłuchując.

Wkrótce jednak do strzałów karabinowych przyłączyły się maszynki i wybuchy pocisków artyleryjskich.

Zaniepokojony tak ostrą o tej porze strzelaniną na odcinku, dyżurny kaprał wyszedł do sieni i przez okno klatki schodowej spojrzął w dal. Jasna, gwieździsta noc bynajmniej nie podzielała niepokoju młodego podoficera... Od czasu do czasu odbijały się na nieboskłonie refleksy ogniowe strzałów armatnich. Odczekawszy chwilę, wrócił na miejsce i ponownie oddał się swojej widać zajmującej lekturze... Wiara spokojnie spała, przyzwyczajona do tego rodzaju kołysanek...

Strzelanina jednak bynajmniej nie ustawała i nie traciła na sile. Przeciwnie, wzmagала się coraz bardziej... Około godziny 3-ej odgłosy walki zaczęły przybliżać się. Gwałtowne ujadanie maszynek, coraz częstsze wybuchy pocisków armatnich i nieprzerwana wymiana strzałów karabinowych kazały domyślać się sytuacji całkiem poważnej. Wkrótce uszu dyżurnego dobiegło słabe echo znanego okrzyku szturmowego: „Hurra!... Hurrrra!... Hurrrra!“...

— Pewnie zaatakowali Kościarnię... — mruczał kaprał, spoglądając przez okno.

Odgłosy walki zbliżały się coraz bardziej, nabierając z każdą chwilą na sile... Do nieustającej kanonady najrozmaitszej broni dołączyły się częste wybuchy granatów ręcznych, co świadczyło o walce

z bardzo bliska... Co chwila powtarzały się okrzyki szturmowe: Hurra!... Hurrra!... Hurraaaaa!...

— Czyżby cofnęli się ze Zboisk? — powątpiewał kapral. — Coś za blisko się tłuka... Na wszelki wypadek trzeba sobie przygotować manatki, żeby być gotowym do alarmu...

Zaczął pakować swój skromny dobytek, poczem zrolował koc i zgiąwszy go w kabłąk, przytroczył rzemykami do plecaka, który ułożył na swej pryczy wraz z płaszczem i manlicherem. Następnie powrócił na swoje miejsce przy stoliku i, wpatrzony w płomień lampy, przysłuchiwał się odgłosom trwającej nieustannie walki... Za chwilę wpadł na salę oficer inspekcyjny. Dyżurny zerwał się na baczność i rozpoczął służbowy meldunek:

— Panie poruczniku, kapral...

Oficer inspekcyjny ruchem ręki przerwał.

— Zarządzić natychmiast alarm... zbiórka w pełnem uzbrojeniu, bez rynsztunku... — rozkazał porucznik. — Ordynansów natychmiast wysłać po panów oficerów, mieszkających poza koszarami...

— Rozkaz, panie poruczniku!... — wyprężył się kapral, salutując odchodzącego pospiesznie oficera, poczem głosem, na jaki stać było jego młode piersi, począł wrzeszczeć: — Alarm!... Alarm!... Alaarrmm!... Wstawać!... Alaaarrmm!... Szybko wstawać!... Alaarrmm!... Zbiórka w pełnem uzbrojeniu!...

Zbudzona nagle wiara poczęła zrywać się z legowisk... Zewsząd posypały się pytania:

— Co się stało?... Dlaczego alarm?...

— Alaaarm!... Alaarm!... wstawać!... Zbiórka w pełnem uzbrojeniu!... bez rynsztunku!... Wstawać szybko!... — wrzeszczał dyżurny, przebiegając salę wzdłuż i wszerz, ściągając po drodze koce z niektórych sybarytów, przewracających się z boczku na bok.

Wiara, zrozumiałwszy, że to nie żarty, pospiesznie zaczęła zeskakiwać z prycz, szybko wdzierając części garderoby.

Stefek, który pierwszy raz w życiu przeżywał podobną awanturę, wybałuszył oczy i zaczął się leniwie przeciągać, nie rozumiejąc jeszcze, że chodzi tu o pośpiech.

— Wstawajże, trąbo jerychońska!... Słyszysz, że alarm!... — wrzasnął mu w ucho Zbyszek, ściągając z niego ciepły koc.

— Co?! Co się stało?!... — wytrzeszczał Stefek zaspane oczy.

— Skądże mam wiedzieć?... Spałem przecież... Ruszajże się, małpo, bo nie będziemy czekać na ciebie!... Słyszysz, że alarm?!...

Odgłosy wystrzałów armatnich pozwoliły wreszcie zaspanemu Stefkowi domyślić się, że coś się święci...

— A nie wiesz, Zbychu, co się stało?... — pytał, wciągając swe kawaleryjskie buty z cholewami.

— Taż mówię ci, że nie wiem!... Dowiemy się zaraz na zbiórce... Zbieraj się szybko.

Pospiesznie kompletując garderobę, skakała wiara z drewnianych prycz i biegła po sprzęt, zapi-



nając po drodze pasy i przerzucając sztucery na plecy.

Tadzik z Wojtkiem dopadli maszynki, podczas, gdy Zbyszek i Stefek wraz z innymi obładowali się skrzynkami z amunicją i innymi rekwizytami, kompletującymi uposażenie maszynki. Z tym złowrogim dobytkiem pospieszyli na dziedziniec. Po drodze natknęli się na Marjanka, biegnącego na zbiórkę zaalarmowanej też 13-tej kompanji.

— Serwus, Maniek!... — zawołał Zbyszek — Nie wiesz, co się święci?...

— Podobno hajdamaki zajęli Zboiska i atakują Żółkiewską Rogatkę... — rzucił w pośpiechu Marjanek.

— Nie może być!... Już pod Żółkiewską są?...

— Taki był meldunek... Serwus!...

Pobiegli do swoich oddziałów...

Zbyszek dopadł wózka, na który załadował skrzynki z amunicją i wraz z przyjaciółmi stanął w szeregu...

Za chwilę cała brać czwartacka stała już we wzorowym ordynku. Obok 13-tej kompanji ustawił się pluton karabinów maszynowych.

Nieustająca kanonada artylerji własnej, wybuchające gdzieś bardzo blisko pociski ukraińskie, gęsty ogień karabinów ręcznych i nieprzerywane trajkotanie maszynek zagłuszały słowa komend... Nie zważając na bliski rozgwar bitewny, oddziały spokojnie odliczyły stan i czwórki, poczem stanęły na baczność, gdy oficerowie zdawali raport dowódcy bataljonu, kapitanowi Smykalowi.



Już po raporcie nadbiegł spóźniony nieco dowódca 13-ej kompanji, porucznik Kasza.

Strój jego, jak na poważną sytuację bojową, pozostawiał jednak bardzo wiele do życzenia. Porucznik Kasza, jeden z najbardziej lubianych przez czwartaków oficerów, przybiegł na alarm ponoć wprost z jakiegoś konwentyklu w stroju stuprocentowo „łazikowskim”: czarne, długie spodnie, z amarantową wypustką, lakierowane, lśniące trzewiki z ostrogami, a z lewej kieszeni płaszcz z aksamitnym kołnierzem wyglądała garda salonowej szabelki ze srebrnym temblakiem...

Gdy wiara spostrzegła popularnego dowódcę 13-ki w tak „kompromitującym” stroju, wybuchła swą ulubioną piosenką:

Znam ja łazika,  
Co z frontu zmyka, —  
Nosi czarne spodnie,  
Bo w strzeleckim rowie  
Lub w Zamarstynowie  
Już mu niewygodnie.

Bums tradi radi, bums tradi radi,  
Bums tradi radi, ojra!...

Bo w strzeleckim rowie  
Lub Zamarstynowie  
Już mu niewygodnie...

Porucznik Kasza z filuternym uśmiechem pogroził palcem rozśpiewanym szeregom i zameldował się dowódcy bataljonu.

Po otrzymaniu rozkazów oficerowie powrócili do swoich oddziałów.

— No, chłopcy. zagrzejemy się dzisiaj... — zwrócił się podchorąży Mizgalewicz do swego plutonu. — Maszynki z wozów i zbiórka z bronią na lewym skrzydle 13-ej kompanji. Maszynki sprawdzić... Kapral Wiszniewski i Zakrzewski zafasują zapasową amunicję i zostaną przy wózkach, które pójdą za nami w odległości pół kilometra... Plutonowy Żakowski dowodzi pierwszą maszynką, plutonowy Hercog, drugą... Do dwóch zapasowych maszynek dać obsługę po czterech: nad jedną obejmie komendę plutonowy Wirecki, nad drugą kapral Wojtaszewski... Do... broni!..

Obsługa szybko zdjęła maszynki i amunicję z wozów, ustawiając się na lewym skrzydle 13-ki... Cztery boleśnie kłusujące pieski Schwarz-Losè'go stanęły obok siebie, gotowe rozpocząć swe groźne ujadanie...

— A teraz słuchajcie... — ciągnął dalej podchorąży Mizgalewicz po ustawieniu się plutonu, — Hajdamaki zdobyli Zboiska i są już pod Żółkiewską Rogatką... Pchają się na Zamarstynów... Będziemy kontratakować, aż do odzyskania naszych pierwotnych stanowisk w Zboiskach i w Kościarni... Zrozumiano?... A niech mi się tylko maszynka zaśnie!... Niech was Bóg ma w swojej opiece!... Pamiętajcie, chłopcy!... Pies z wami polkę tańczył!... Plutonowy Żakowski, jako komendant pierwszej maszynki, dowodzi pierwszym półplutonem i pozostaje z maszynkami pod rozkazami, porucznika Lena z 13-ej kompanji do końca walki. Będziecie wspierać ogniem maszynek lewe skrzydło naszego ataku... Reszta pozostaje pod rozkazami plutonowego Herco-

ga... Moje stanowisko przy dowódcy 13-ej kompanji, poruczniku Kaszy... Tylko niech mi się który zatnie! Pies z wami polkę tańczył!...

Przed frontem oddziałów stanął kapitan Smykał i donośnym głosem, przytłumionym rozgwarem toczącej się niemal tuż za bramą walki, przemówił:

— Chłopczy!... Hajdamaki zajęli Zboiska i idą na Zamarstynów... Musimy im pokazać, żeśmy czwartakami!... Opuszczając ten dziedziniec, możemy stanąć dopiero w Zboiskach... Zrozumiano?...

— Zrozumiano!... — odkrzyknęła chórem wiara.

— Kolumna sekcyjna od prawego... kierunek Zboiska... Maaarrsz!...

Załamala się równa linja szeregów, przekształcając w długiego, wijącego się węża... Wraz z pierwszym krokiem kolumny popłynęły tony harmonji, wygrywającej popularną piosenkę, podchwyconą natychmiast przez cały oddział:

Kto czwartaka nie szanuje,

Naj go w oko pocałuje!...

Oj diri, diri, ojra ra

ojra, ojra ra!

Kto się z naszej wiary śmieje,

Naj go nagła krew zaleje!...

Oj diri, diri i t. d.

Stoi knajpa tam Pod Dębem,

Tańczy Mańka z złotym zębem!...

Oj diri, diri i t. d.

Popatrz Maniu na mą bidę,  
Jak na wojnę głodny idę!...

Oj diri, diri i t. d.

Jak się bawić, to się bawić,  
Portki sprzedąć, płaszcz zastawić!...

Oj diri, diri i t. d.

Tam w Zboiskach jest dolina,  
W niebie będzie Ukraina!...

Oj diri, diri i t. d.

Rozśpiewana kolumna przy akompaniamencie harmonji, skręciła wkrótce na Żółkiewską, maszerując forsownie w kierunku Zboisk... Odgłosy trwającej bez przerwy bitwy stawały się coraz wyraźniejsze, a w miarę zbliżania się do Rogatki Żółkiewskiej, dały się słyszeć coraz częstsze poświsty i bzykania pocisków karabinowych...

— Uważasz jak tu przyjemnie? — trącił Tadzik kroczącego obok Stefka. — Zupełnie, jak w ulu, tylko, że zamiast miodu, będzie czerwone wino, które do picia się nie nadaje.

— Ale Wojtek zato będzie miał używanie, bo będzie mógł forrykować z bajonetem na gwerze i z „handgranatami ręcznymi“... — podrwiwał Hara-symiec, naciągając biednego frajtra.

— Ta cóż? — odparł dobroduszny Wojtek, — Jak bydzie befel na angryf, to byde forrykował z bajonetem!... a handgranaty ręczne tyż mom...

— Tylko, żebyś skrzynek z amunicją nie pogubił...

— Cobym miał zgubić...

— Uważaj, Wojtek, bo befel dają...

Wobec zwiększającej się coraz bardziej natarczywości przelatujących pocisków, nakazano marsz półplutonami w niewielkiej od siebie odległości. Por. Kasza, prowadzący 13-tą kompanię, podzielił swój oddział na dwie grupy, które miały rozpocząć przeciwnatarcie: jedna pod dowództwem ppor. Lena, drugą dowodził osobiście. Maszynki rozdzielono po dwie przy każdej grupie...

Za Rogatką Żółkiewską napotkano kilku żołnierzy z cofającej się ze Zboisk i Kościarni kompanji...

— Kajs ta wloz?... — wyśmiewali ich chłopcy z 13-ki. — Wróć, braciszku!... Kaj się tak śpieszysz?... Do Ligawki na marmeladę?... Do mamusi?!... Wróć, dziadu sakramencki!... I to czwartak, pieska twoja niebieska!... Wróć, synku, pójdziesz z nami!... z 13-ką nie jest tak strasznie!...

Zawstydzeni maruderzy zawrócili, śpiesząc do swej kompanji, resztkami sił wstrzymującej napór ukraińców...

Doszedłszy do linii ogniowej, por. Kasza rozkazał oddziałowi rozwinać się sekcjami i zająć stanowisko wyjściowe w przydrożnym rowie, poczem sam z ppor. Lenem i kilkoma podoficerami wysunął się naprzód, poza szosę, dla zbadania sytuacji i zorientowania się w terenie... Za chwilę powrócił do oddziału i nie zważając na grad pocisków, wysyłanych przez ukraińców, spokojnie wydawał rozkazy do kontrataku...

Maszynki, ustawione na skarpach przydrożnych, zostały przygotowane do ciężkiej misji wstrzymania naporu upojonych początkowym sukcesem ukraińców... Przy jednej z maszynek operowali Zbyszek, Harasymiec i Stefek, podczas gdy Tadzik i Wojtek ulokowali się opodal wraz z resztą sprzętu i amunicją...

— Słuchajcie, Harasymiec, — zwrócił się Zbyszek do kaprała — jako komendant maszynyki niby powinienem obserwować, ale wolę być celowniczym, przynajmniej sobie postrzelam, a wy będziecie obserwować, jako karabinowy, zgoda?...

— Ta czemu ni... Tylko Panu Bogu w okno nie strzylajcie...

— Ale!... Któżby śmiał tak Pana Boga obrażać!... Wy zresztą uważajcie: jakbym pudłował, to korygujcie zaraz celownik...

— To si zrobi... Ali musicie też i podstawę taszczyć, jak będziemy się posuwać...

— Sie wi... No, Stefku!... dawaj teraz gurt... trzeba napchać tego pieska, żeby miał czem spluwać... A niech tu Tadek da rekwizyty, żeby były pod ręką w razie zacięcia...

Naładowali maszynkę, podczas gdy Tadzik zgromadził przy niej wszystką amunicję, oraz skrzynkę z częściami zapasowymi. Czekali tylko rozkazu do rozpoczęcia ognia...

Wkrótce odwiedził ich podchr. Mizgalewicz, który, jak oparzony, biegał od maszynyki do maszynyki, by osobiście dopilnować sprawności bojowej powierzonego sobie plutonu.

— No, plutonowy!... — zwrócił się do Zbyszka.  
— Musicie dziś zdać egzamin, jako maszynowiec...  
W ataku, to nie to, co na placówce stałej... Maszynka  
w porządku?...

— W porządku, panie podchorąży... Sam ją  
sprawdzałem...

— No to uważajcie... Bijcie tylko krótkimi  
serjami... Niech podejdą, pieskie syny, jak najbliżej...  
Na muszkę ich brać... Rozumiecie?...

— Tak jest, panie podchorąży...

— Podczas ataku posuwać się razem z piechotą...  
nie zostawać mi w tyle... Zgóry upatrzeć sobie nowe  
stanowisko i rozpoczynać ogień na nowo... Żeby nie  
było przerwy w ogniu.

— Tak jest, panie podchorąży...

— No to trzymajcie się i nie dajcie się... Będę  
do was zaglądał... Stanowisko moje przy por. Kaszy...  
— przypomniał odchodząc do następnej maszynki.

Szary świt rozjaśnił tymczasem wschodnią część  
horyzontu, ukazując czwartakom w niewielkiej od-  
ległości ciemne plamy leżących w śniegu ukraińców...  
Znajdująca się pomiędzy nimi a 13-ką tyraljera wy-  
rzuconej ze Zboisk kompanji pojedynczo wycofywała  
się na szosę, zasilając przygotowany do kontrataku  
oddział...

Zbyszek wpatrzył się w przestrzeń, by lepiej roz-  
poznać teren, na którym miał operować... Obliczył  
sobie odległość do upatrzonego następnego stanowi-  
ska na wysokości linii ukraińskiej, dochodząc do  
przekonania, że te kilkadziesiąt metrów pokona  
jednym skokiem, mimo ciężaru podstawy, którą  
przyjdzie mu taszczyć na ramionach...



W miarę rozjaśniania się horyzontu 13-ka prawie bez szmeru rozwinęła się w tyraljerę, układając się na skarpie oraz nasypie kolejowym, przecinającym drogę...

Nie spodziewając się widocznie świeżego przeciwnika i zachęceni wycofaniem się załogi Zboisk, ukraińcy rozpoczęli silny ogień, przygotowując się do szturm, w nadziei wtargnięcia do miasta przed wschodem słońca...

Czwartacy na strzelaninę nie odpowiedzieli, oczekując bardziej agresywnego natarcia... Niebawem, zachęceni widzieć milczeniem przeciwnika, ukraińcy poderwali się ze swych legowisk i z głośnym „urraa“, „urrraaa“ ruszyli na szosę i tor kolejowy...

Tego właśnie oczekiwali czwartacy... Dopuszczając nieprzyjaciela jak najbliżej, otworzyli silny ogień karabinowy, a maszynki rozpoczęły swoje groźne tra-ta-ta--ta-ta-ta..

Zdziesiątkowane potężnym ogniem szeregi ukraińskie, nie spodziewające się tak silnej odpowiedzi ogniowej, osłupiały... Po chwili wahania, nie zważając na rozkazy i wezwania oficerów, zostawiając rannych i zabitych tuż przed linią czwartaków, szeregi ukraińskie załamały się i pędem zawróciły do swych poprzednich stanowisk... Tej właśnie chwili oczekiwał por. Kasza...

— Bagnet na broń!... Za mną, chłopcy, na przód!... biegiem maaarrsz!... Hurra!...

Wiara jednym skokiem wyprzedziła swego dowódcę, jakby własnymi pierściami pragnąc osłonić go przed niebezpieczeństwem.

— Hurrraaa!... Hurrrraaaa!.... — krzyczała wiara.

Ktoś zaintonował pieśń czwartacką:

Górá czwartacy,

Oto bracia szczere nasze hasło!...

Za chwilę cała biegnąca do ataku linja podchwyciła piosenkę spadkobiorców „Tysiąca walecznych“...

Zbyszek z podstawą maszynki na ramieniu, a Stefek z lufą ledwie nadążyć mogli biegnącym piechurom... Harasymiec, Tadzik i Wojtek, obładowani skrzynkami z amunicją i rekwizytami, aczkolwiek wyprzedzili nieco Zbyszka ze Stefkiem, jednak też zostawali w tyle za szturmującą linją...

Wreszcie czwartacy dopadli stanowisk ukraińskich, w których nie było już ani jednego zdolnego do walki nieprzyjaciela... Bohaterscy zdobywcy Zboisk poznali snać po popularnej piosence z kim mają do czynienia i woleli trzymać się jak najdalej od takiego przeciwnika...

## XII.

Zajęcie prowizorycznych stanowisk ukraińskich dało czwartakom możliwość chwilowego wychnienia...

Usadowiwszy się na nowem stanowisku, Zbyszek przy pomocy Stefka zmontował maszynkę i otworzył ogień za uciekającymi hajdamakami...

Ale wyrzucenie nieprzyjaciela ze zdobytego oddziałka nie oznaczało jeszcze bynajmniej zwycięstwa... Zboiska pozostawały nadal w rękach ukraińców, jak również i sąsiednia Frenelówka... A według zeznań rannych i jeńców odebrane czwartakom pozycje były mocno obsadzone świeżo przybyłymi oddziałami „siczowników“... W Zboiskach pono cały bataljon siedzi, a Frenelówka obsadzona dwiema kompanjami... Przytem mają okopy, które znacznie zmniejszają skuteczność ognia atakujących...

Czyż mogli się cofnąć czwartacy w połowie drogi przed liczebną przewagą wroga?... Nigdy!...

Wszak czwartakami pułk ten nazywano,

Co pił za czterech, za ośmiu się bił!...

Stwierdziwszy, że ukraińcy cofnęli się i obsadzili zdobyte w nocy stanowiska w Zboiskach i Frenelówce, kpt. Smykał wydał rozkaz do kontynuowania natarcia... Pierwsza grupa pod ppor. Lenem miała

nacierać wprost na Zboiska, podczas gdy por. Kasza prowadził atak na Frenelówkę, by po jej zdobyciu skrzydłowym manewrem wesprzeć ppor. Lena.

Zbyszek wraz z przyjaciółmi ogniem maszynowym osłaniali podsuwanie się atakującej linii piechoty pod Frenelówkę... Nie zważając na wzmagający się ogień ukraińskiej artylerji, lawirując szczęśliwie po gęsto ostrzeliwanym terenie, wiara pojedynczymi skokami zdobywała przestrzeń...

Po wyrównaniu linii Zbyszek podciągnął maszynkę na wysokość tyraljery, otwierając silny ogień na okopy, obsadzone przez ukraińców...

Zasypani gradem pocisków nieprzyjacielskich najrozmaitszych broni i kalibrów, czwartacy, wtuleni w powłokę śnieżną, oczekiwali spokojnie rozkazu do decydującego natarcia... Oczekiwano wiadomości o wyrównaniu linii przez grupę ppor. Lena. Za chwilę upragniony meldunek nadszedł... Wykorzystując moment ogniowej przerwy u przeciwnika, por. Kasza poderwał swoich chłopców do szturm...

— Za mną naprzód biegiem maarrsz!... Huuurr-raaa!... Huurraa!...

Jak jeden mąż poderwała się cała linja najeżona bagnetami, biegnąc na wyścigi ze swym ukochanym dowódcą...

— Huurraaa!... Huuurraaa!... Huuurraaa! — darła się wiara w niebogłosy.

Kto czwartaka nie szanuje  
Naj go w oko pocałuje:  
Oj diri, diri itd.

Pode Lwowem jest dolina,  
W niebie będzie Ukraina...  
Oj diri, diri itd.

śpiewała gromada czwartacka, z impetem wpadając na kryjącego się w okopach wroga...

Zaskoczeni tą beztroską brawurą ukraińcy natarcia nie wytrzymali... Zostawiając skierowane na atakujących maszynki, rzucając karabiny, z podniesionemi do góry rękoma, zdawali się na łaskę czwartaków...

— Zdajus!... zdajus!... — słychać było zewsząd błagalne okrzyki.

Część najbardziej zajadłych wrogów, przeważnie „siczownicy“, wyskakiwała z okopów, pozostawiając je zwycięskim czwartakom, jako prawym właścicielom...

— Iwane!... Trymaj byki, bo procesja ide!... — wołała wiara za uciekającymi hajdamakami.

Lecz ci wcale nie reagowali na wesołe zaczepki, wystawiając na pastwę braci czwartackiej najnieprzyzwoitszą część ciała, zwanej popularnie „objektywem“...

Oddawszy dla postrachu kilka strzałów za uciekającymi, czwartacy zajęli się jeńcami i zdobytymi maszynkami...

Niewiele na to pozostawało czasu, gdyż należało jeszcze wesprzeć grupę ppor. Lena w ataku na Zboiska... Zdobyta Frenelówka częściowo dopiero ratowała honor czwartaków...

Zbyszek, nie chcąc zostawać w tyle za atakującymi, poderwał ze Stefkiem maszynkę, nie rozbiera-

jąc jej i razem pobiegli za szturmującą linią... Tuż przy zdobywaniu już okopów ukraińskich, Stefek przykucnął, puścił maszynkę i wykrzywił twarz...

— Czego maszynkę puszczasz?... Cóż ci się stało, że tak gębę krzywisz?... — łajał go Zbyszek.

— Coś mnie tak ukłuło!... — odparł Stefek, chwytając się za nogę.

— Pewnie dostałeś!... Położno się!... Padnij!... Nie stójże, jak na weselu!...

Stefek ostrożnie wyciągnął się na śniegu, który wnet zafarbował się na czerwono. Zbyszek tymczasem zawołał Harasymca, który ich znacznie już był wyprzedził... Z tyłu nadbiegał zziąjany Tadzik, obciążony skrzynkami...

— Weźcie maszynkę... — zwrócił się Zbyszek do nich. — Stefek dostał w nogę... Zastąpcie mnie chwilkę, Harasymiec, a ja tymczasem ściągnę go do okopów...

— Co?... Stefek ranny?... — dziwił się Tadzik, jakby to było niemożliwością w tych okolicznościach.

— Myślałem, żeś sobie tylko nogę zwichnął... — tłumaczył się Stefek... — Ale krew idzie i boli mnie teraz...

— Łapiduch!... Łapiduch!... Łapiduch!... — począł wydzierać się Tadzik, oglądając się za sanitariuszem.

— Czego się drzesz, mało?... — ofuknął go Zbyszek. — Akurat go teraz znajdziesz!... Lepiej weź maszynkę z Harasymcem i wal do okopów!...

Harasymiec z Tadzikiem poderwali maszynkę i skoczyli do zdobytych przed chwilą rowów, podczas

gdy Zbyszek, ujawszy rannego przyjaciela pod ramiona, zaciągnął go do stanowiska maszynki.

W okopie przystąpił do zbadania postrzału, pragnąc udzielić przyjacielowi pierwszej, najważniejszej w takich okolicznościach, pomocy.

— Ściągaj but!... — doradzał Stefkowi, wyciągając z kieszeni owinięty w papier bandaż, który stale nosił przy sobie. — Tadzium, pomóż mu ściągnąć but!... — zwrócił się do przyjaciela, który pomagał Harysymcowi ładować maszynkę. — Przy karabinie zastąpi cię Wojtek...

Przy pomocy Tadzika Stefek ściągnął but, poczem Zbyszek rozpruł mu nogawicę, obnażając postrzeloną nogę, po której cienkimi strugami spływała krew...

— Wyprostuj nogę!... — rozkazał Zbyszek rannemu.

— Oj!... Booliiii!... — skarżył się Stefek, próbując stanąć na „równej“ nodze.

— Ale stać możesz?... A to grunt... — uspokajał go Zbyszek... — To znak, że ci kości nie pogruchołało...

— Jak kość nienaruszona, to nic nie szkodzi... — wtrącił Tadzik pocieszająco. — Będzie sobie kuśtykał o lasce do Ligawki, udając inwalidę... A upust krwi to ci nie zaszkodzi... Będziesz się lepiej czuł... Nie będziesz narażony na apopleksję...

Zbyszek rozerwał papier, w który opakowany był bandaż i przystąpił do nakładania prowizorycznego opatrunku...

— Ale też masz nóżkę... — podrwiwał, okręcając bandaż wokół i powyżej rany. — Ani



jednego włoska na niej... Czy ty golisz sobie nogi?... Jaka rasowa w kostce!... A co za łydka!... Phi!... Phi!... Gdyby nie te ułańskie wykretasy, niejednaby ci pozazdrościła... A masz szczęście, fujaro!... Tanim kosztem dostąpiłeś zaszczytu prawdziwego chrztu żołnierskiego... No!... gotowe!... — odetchnął, kończąc opatrunek... — Podaj mi, Tadiusz, kawałek szmaty!... Trzeba mu tę farbę zetrzeć...

Zamarznięta jednak na mrozie krew przylepiła się do ciała, wobec czego operacje te pozostawił Zbyszek lekarzowi.

— A teraz trzeba go odesłać do łapiduchów... — zalecał Tadzik, po zakończeniu przez Zbyszka czynności charytatywnych.

— Możesz sobie teraz pójść do lekarza... — potwierdził Zbyszek. — Niech ci wyczyści te dziure...

— Kiedy ja się teraz zupełnie dobrze czuję!... — próbował Stefek oponować. — Wcale mnie nie boli... Mogę zostać... tylko but włożyć...

— Terefere kuku... Tylko but włóż... A włóż, jak potrafisz!... A cóż ty tu będziesz robił z dziurawym pedałem?... Tu takich łazików nie potrzeba!...

Podczas tego certowania się przybył na stanowisko podchorąży Mizgalewicz.

— Cóż tak sobie familję po kątach rozstawiacie, batjary?...

— A bo się ten tu płacze między nogami. — meldował Zbyszek, wskazując na Stefka — i nie chce iść do lekarza...

— A cóż z nim jest?...

— Dostał w nogę... zawiązałem mu dziurę i wypędzam go do łapiduchów...

— Ale mnie teraz wcale nie boli, panie podchorąży!... — wtrącił Stefek. — Mógłbym pozostać przy maszynie...

— Pozostać mógłbyś, synku, tylko, że my tu nie zostaniemy!... Zaraz ruszymy na Zboiska!... A z jedną nogą na nic się nie przydasz... Będiesz im tylko przeszkadzał... I tak, widzę, ledwo się trzymasz...

— Słabo mi trochę... bo... bo... no, bo głodny jestem!... — usprawiedliwiał się Stefek.

— A widzisz!... Głodny jest!... A tu, synku, nic jeść nie dostaniesz... Więc zabieraj się i dymaj do koszar, bo tu łapiduchy są zaharowani... Mamy dużo rannych... Nawet porucznik Kasza dostał...

— No?... — dziwiła się wiara, jakby dowódca 13-ki nieosiągalnym był dla pocisków ukraińskich... — A przecież jest w linii?!... Widzieliśmy go!...

— A jest w linii, bo tylko lekki postrzał w rękę dostał... Można z tem wytrzymać... Ale ty, synku, — zwrócił się do Stefka, — nie wytrzymasz, boś głodny, więc dymaj na Zamarstynów...

— Tylko niech ci się nie chce czasem do szpitala!... — upominał Zbyszek.

— No wiesz!... — żachnął się Stefek... — Jeszcze co!... Może bym jednak, panie podchorąży, tu został, póki nie ruszą naprzód?...

— Nie marudź, synku, i dymaj do koszar!... A idź rowami i nie wyłaż na szosę, żeby cię drugi raz nie pocharatali na amen...

— Rozkaz, panie podchorąży!... — zaszalutował Stefek, widząc, że nic nie wskóra. — Cześć!... Serwus Zbychu!...

— Serwus!... A nie daj się wyekspedjować do szpitala!... Zobaczymy się za parę dni w koszarach!...

— Serwus, Tadziu!...

— Serwus!... Trzymaj się i nie daj się!... Pójdziemy wkrótce do teatru!...

Z ciężkiem sercem i ze łzami w oczach zawrócił Stefek, zostawiając przyjaciół przy maszynce...

— Prędko stąd ruszymy?... — spytał Zbyszek podch. Mizgalewicza.

— Niedługo... Czekamy na meldunek od porucznika Lena... Pójdziecie razem z piechotą na Zboiska... Tu zostanie drugi pluton... A ile macie jeszcze amunicji?...

— Jeszcze dwie skrzynki pełne i ten gurt przy maszynce... — meldował Harasymiec.

— To wam jeszcze starczy na Zboiska... Na wszelki wypadek poślijcie po zapasową amunicję...

— Rozkaz, panie podchorąży!...

— No to trzymajcie się, chłopcy!... A uważajcie na rozkazy i nie zostawać mi wtyle!... Serwus!...

— Cześć, panie podchorąży!...

— Podaj mi oliwę... — zwrócił się Zbyszek do Tadzika po odejściu Mizgalewicza. — Trzeba trochę nakarmić naszego buldoga!... Dosyć się naszczeakał, a ma jeszcze kawałek roboty przed sobą!... A ty, Wojtek, pójdziesz po dwie skrzynki amunicji...

— Tak jest, panie plutonowy, rozkaz!... — wyprężył się frajter służbiście.

Tadzik podał Zbyszkowi oliwiarę, pomagając w doraźnym remoncie maszynki. Harasymiec, jak przystało na dobrego, starego żołnierza, spokojnie

przyglądał się pracy towarzyszków, odpoczywając po trudach forsownego kontrataku.

Gdy wiara nieco odetchnęła, por. Kasza rozkazał wesprzeć lewe skrzydło, które pod rozkazami ppor. Lena podsuwało się pod Zboiska...

Zbyszek rozpoczął serjowy ogień ze swej maszynki, zasypując stanowiska nieprzyjacielskie gradem pocisków...

Podniecona raną swego dowódcy, który pozostał jednak w linii, 13-ka ochotczo zdobywała przestrzeń pomiędzy Kościarnią, a Zboiskami.. Nie zważając na huraganowy ogień ukraińców, którzy za wszelką cenę chcieli utrzymać zdobyte pozycje, czwartacy całymi sekcjami posuwali się naprzód... Wkrótce zrównały się nacierające linje, nawiązując bezpośredni kontakt z grupą ppor. Lena.

Z niecierpliwością oczekiwała wiara rozkazu do decydującego szturmu...

Por. Kasza umiał jednak wstrzymywać zapal swoich młodych żołnierzy i wykorzystać go w odpowiednim momencie...

Grupa ppor. Lena miała znacznie większą przestrzeń do zdobycia, niż prawe skrzydło, atakujące od strony Kościarni. Z tego też powodu należało przeczekać, aż lewe skrzydło wyrówna linję, by móc atak rozpocząć jednocześnie.

Stwierdziwszy wreszcie, że lewe skrzydło gotowe jest do decydującego natarcia, por. Kasza po raz trzeci w tym dniu poderwał swoich chłopców do ataku.

— Hurrra!... Huurrraaa!... Hurrrraaa! — upajała się wiara tym sugestjonującym okrzykiem szturmowym.

Nie zważając na chmarę pocisków, jakimi poczęstowali atakujących ukryci w rowach ukraińcy, nie oglądając się za ubywającymi z szeregu i pozostającymi w tyle rannymi i zabitymi, przy wtórze dziarskiej piosenki czwartackiej, wiara z nastawionymi bagnetami pędziła naprzód... Każdy chciał pierwszy przybyć do mety, pomimo, że za ten bieg z dość niebezpiecznymi przeszkodami nie wyznaczono żadnych nagród...

Zbliżywszy się do nieprzyjaciela na odległość rzutu, wiara na chwilę zaryła się w śnieg, by nagłym, niespodziewanym ruchem przesłać ukraińcom solidną porcję granatów ręcznych, niby zapowiedź swej bliskiej wizyty... Wrzaski, krzyki i jęki, dochodzące z okopów, przekonały brać czwartacka o skuteczności tych oryginalnych „wizytówek“...

Przeczekawszy jeszcze chwilę, czwartacy poderwali się i jednym skokiem znaleźli się w okopach, oszałamiając do reszty nieprzyjacielską załogę... Zaniechawszy wszelkiej obrony, zdumieni brawurą zdobywców, ubraińcy rzucali broń, poddając się zwycięzcom, którzy wreszcie osiągnęli swój cel... Utracone w nocy stanowiska, zostały odzyskane... Zboiska wróciły do swych prawych właścicieli... Zmordowana kilkugodzinnym, forsownym kontratakami wiara mogła nareszcie odetchnąć spokojnie, pełną piersią, gdyż honor czwartaków został uratowany.

### XIII.

Po odzyskaniu Zboisk, Zbyszek ustawił maszynkę na jednej z licznych placówek, na której poprzednio już był służbę pełnił. Oddawszy kilka krótkich seryj za uciekającymi grupkami ukraińców, postawił przy maszynie Tadzika z Wojtkiem, by samemu nieco swobodniej odetchnąć i wyprostować ramiona, ugniecione ciężarem dźwiganej podczas całego prawie natarcia podstawy maszynki.

Na odcinku tymczasem powoli przycichał rozgwar bitewny. Jedynie artylerja ukraińska jeszcze wściekle porykiwała, nie mogąc widocznie spokojnie przetrwać sromotnej klęski po niedawnym zwycięstwie swych „siczowych strilcow“... Ale to bezowocne naszczekiwanie wkrótce zmęczyło pokonanych zdobywców... Na linii zapanował wreszcie zupełny spokój... Jakby nic wogóle tego dnia tu nie zaśzło... Tylko brak towarzysza, którego jeszcze przed pół godziną, przed kwadransem, „czuło się“ koło siebie w szeregu po prawej lub lewej ręce przywodził na pamięć poszczególne fragmenty przebytej walki...

W odzyskanych okopach poczęto zaprowadzać ład i porządek. Pod eskortą kilku żołnierzy odprawiono do miasta gromadę wziętych jeńców. Także lżej ranni zabrali się na Zamarstynów, gdyż „łapi-



duchy“ ledwo uporać się mogli z ciężej rannymi.. A trzeba było też pomoc nieść i rannym jeńcom, pozostawionym przez wroga...

Mocno przerzedzone szeregi czwartackie obsadziły odzyskane stanowiska pełną załogą w ostrem pogotowiu, przygotowując się do ewentualnej obrony na wypadek ponownego natarcia ukraińców... Mimo przemęczenia kilkugodzinnym bojem, wiara z humorem rozprawiała o rozmaitych szczegółach kontrataku, spokojnie oczekując dalszej walki...

Zbyszek ze swoją gromadką sterczał przy maszynie, obserwując opustoszałe przedpole... Odwiedził ich pchr. Mizgalewicz.

— Serwus, chłopcy... Jak wam tu leci?...

— Pomaleńku!... — odparł Zbyszek z ukraińska.

— Jak po maśle... — dorzucił Tadzik.

— Wszyscy jesteście?...

— Prócz Paluchowskiego...

— No, to można wytrzymać!... Ściągniecie stąd maszynkę i zajmiecie stanowisko na czwartej placówce...

— Rozkaz, panie podchorąży!... Ściągać, wiara, maszynkę!... — zwrócił się Zbyszek do swych „podwładnych“. — Zabierać graty!... Tylko mi skrzynek nie zostawiajcie!... — upominał ich.

Tadzik z Wojtkiem podzielili się tym razem maszynką, podczas gdy reszta zabrała po kilka skrzynek z amunicją. Tak obładowani skierowali się gęsiego za pchr. Mizgalewiczem na nowe stanowisko.

— Duże mamy straty, panie podchorąży? — pytał Zbyszek kroczącego przed nim Mizgalewicza.



— Ta dokładnie jeszcze nie wiadomo... 3-cia kompanja jest porządnie przetrzebiona... Ma dwóch oficerów zabitych: por. Lemka i pchr. Kropczyńskiego... Z naszej kompanji ranni są porucznicy Obrzut i Żytkowski. Użyli sobie dzisiaj hajdamaki!... Nima co...

— Ali Wojtek też sobie dzisiaj użył fajnie!... — wtrącił idący z tyłu Harasymiec. — Forrykował, aż mu si kurzyło pod kopytami... Bajonet sobie na gwer naflancował i robił angryf... Miał ochotę „hand-granaty“ ręczne puścić w ruch, ali zanim si namyślił, 13-ka już siedziała w okopach...

Wojtek, obarczony lufą maszynki, nie zwracał uwagi na skierowane pod swoim adresem docinki, przyzwyczajony do tego rodzaju naciągania ze strony niektórych kolegów.

— Czy my zostaniemy w Zboiskach? — zapytał Zbyszek pchr. Mizgalewicza, pragnąc zaoszczędzić Wojtkowi dalszych drwin.

— Pewnie parę dni zostaniemy, bo obsada musi być wzmocniona... Hajdamaki rozpoczęli podobno ofensywę na całym froncie... Gdyby im gdzieindziej poszło lepiej, niż z nami, — to napewno jeszcze będą tu próbować szczęścia.

Mała kolumnienka zatrzymała się, osiągnąwszy wyznaczoną placówkę, na której zastali kilku ludzi z karabinem maszynowym.

— To tu dwie maszynki zostaną? — pytał Zbyszek pchr. Mizgalewicza, widząc zajęte stanowisko.

— Ta gdzie?... Musimy ich zmienić, bo te batjary konają ze zmęczenia. Przez cały czas ataku trzymali placówkę...

— Jakto przez cały czas?...

— Sprawili hajdamakom takie lanie, że nie mogli podejść pod placówkę. Okrążyli ich więc i poszli dalej... A te batjary siedzieli tu sobie cały czas i z tyłu prali z maszynki do hajdamaków... Dopiero, jak zaczęliśmy pędzić hajdamaków z pod rogatki, poczułi pietra, bo mogli oberwać od rodzonych czwartaków... Gdyby nie powiali zawczasu białą szmatą, byłaby ich 13-ka wykurzyła stąd granatami, bo ich wzięli za siczowników...

— A to się gracko spisali!... — dziwił się Zbyszek, z szacunkiem spoglądając na dzielną załogę placówki, zajętą zbieraniem swego sprzętu.

Dowódca tej dzielnej garstki, pchr. Culic, ciężko ranny w twarz, ledwo na nogach się trzymał, trwając jednak do ostatniej chwili na powierzonym sobie stanowisku.

— Zbierajcie się, chłopcy, szybciej!... — słabym głosem rozkazywał swym żołnierzom. — Zabierajcie maszynkę.

Ściągnęli swój karabin maszynowy, ustępując miejsca nadeszłej zmianie. Nie czekając na rozkaz, Tadzik z Wojtkiem ustawili na opróżnionym stanowisku przytaszczoną na plecach maszynkę, podczas gdy Zbyszek przyglądał się opartemu o stopień strzelecki rannemu żołnierzowi... Jakiś dziwny niepokój ogarniał Zbyszka, gdy wpatrywał się w zakrwawioną twarz rannego, nie dającego żadnego znaku życia...

— Bartoszewski, — zwrócił się pchr. Culic do jednego z żołnierzy. — Ściągnijcie swój płaszcz i ulóżcie na nim Głowackiego. Poniesiecie go z Próchnickim.

Wymienione nazwisko rannego zastanowiło Zbyszka... Począł więc badawczo mu się przyglądać... Nie mógł jednak rozpoznać rysów tej twarzy, oblepionej zamarzniętą krwią...

— Jak się ten ranny nazywa? — spytał wreszcie stojącego obok żołnierza, chcąc się widocznie przekonać, czy się przedtem nie przesłyszał.

— Głowacki.

— A na imię?...

— Lucek...

— Lucek?... Lucek Głowacki?... — zastanawiał się, szukając w pamięci. — Nie!... To niemożliwe!... — wyszeptał po chwili namysłu.

Schylił się nad rannym i począł mu się znowu badawczo przyglądać...

— Nie!... To niemożliwe!... — powtórzył, śnać nie dowierzając swym przypuszczeniom, które wydawały mu się zbyt niedorzeczne.

Nagle wyciągnął rękę i począł obmacywać rannego. Gdy dotknął piersi, raptownie cofnął rękę...

— Czyżby to było możliwe?... — uprzytomnił sobie nagle.

Jeszcze raz dokładnie się przyjrzał tej zakrwawionej twarzy, wreszcie powstał i podbiegł do pchr. Culica.

— Panie podchorąży!... Ten ranny... to dziewczyna!... — meldował, nie mogąc tchu złapać.

— Jaka dziewczyna?...

— Ten ranny!... — wskazał Zbyszek na „Głowackiego“.

— Czyś ty świrka dostał? — obruszył się na niego, stojący obok pchr. Mizgalewicz.

— Dalibóg, panie podchorąży, że to dziewczyna!... — zaklinał się Zbyszek. — Znam ją: nazywa się Lucyna Głowacka... Znam ją dobrze!...

Mizgalewicz spojrzał niedowierzająco na Zbyszka, pokiwał głową i podszedł wreszcie do rannego, dookoła którego skupiła się gromadka żołnierzy, zaintrygowanych sensacyjnym oświadczeniem Zbyszka. Podchorąży przyjrzał się dokładnie rannemu, poczem wsunął rękę pod płaszcz na wysokości piersi...

— Ma rację!... — odezwał się wreszcie do Culica. — Baba!... Struprocentowa baba!... A wyście nic o tem nie wiedzieli?... — pytał cisnących się obok żołnierzy.

— Taj nic, panie podchorąży!... Taki morowy chłop z niego był!... — odpowiadali, zdumieni dziwną metamorfozą swego towarzysza broni.

— Ta szkoda czasu!... — zdecydował pchr. Culic. — Przenieście ją zaraz do karczmy!... Muszą tam być sanitariusze!...

Pchr. Mizgalewicz szepnął mu coś na ucho... Pchr. Culic spojrzał na Zbyszka i skinieniem głowy wyraził zgodę na propozycję kolegi.

— A może chcecie się nią zaopiekować tymczasem?... — zwrócił się Mizgalewicz do Zbyszka, wpatzonego w zakrwawioną twarz rannej. — Może was zwolnić na parę godzin?...

— Jeśli można, panie podchorąży?...

— W takich okolicznościach można... — potwierdził. — Do piątej mogę was zwolnić... Harasymiec was zastąpi... Zabierzcie ją do karczmy i postarajcie się odtransportować jaknajrychlej do szpitala...

— Dziękuję, panie podchorąży... — wyszeptał Zbyszek, z trudem opanowując ogarniające go wzruszenie.

Podszedł do rannej.. Zgrupowani wokoło niej żołnierze z pewnym respektem rozstąpili się przed nim... Podniósł ją ostrożnie i tuląc do swej piersi bezwładne ciało, skierował się rowem łącznikowym do karczmy, odprowadzany życzliwymi spojrzeniami i szeptami towarzyszków broni.

— Jak ona mogła?!... — szeptał w drodze. — Jak ona mogła?!...

W pamięci jego odżyły cudne chwile, spędzone z tą dziewczyną... Było to niespełna rok temu, gdy wczesną wiosną uciekł z obozu internowanych na Węgrzech legionistów II-iej Brygady. Po kilkudniowej wędrówce dotarł do Nadwórnej, gdzie zaopiekował się nim urzędnik kolejowy. W małym domku państwa Głowackich, tuż za stacją, spędził przeszło dwa tygodnie, czekając na papiery, któreby go zabezpieczyły w dalszej drodze przed żandarmami... Jedyna córka zacnych gospodarzy, panna Lucyna, przygotowywała się do matury. Nie przeszkadzało jej to jednak serdecznie zająć się młodziutkim tułaczem — legionistą, który w ich domu ukrywał się przed czujnem okiem srogiej c. i. k. władzy. Imponowała jej poniekąd ta opieka nad „żołnierzykiem“... Ofiarowała mu się na „chrzestną mateczkę“, nazy-

wając go „synkiem“... A właściwie „sinkiem“... Tak zdrobniale, pieszczotliwie: „sinek“... Aczkolwiek nie dorosła jeszcze do jego „dzieciństwa“, jednak bardzo jej do twarzy było z tym „sinkiem“... Wymawiała to tak tkliwie, z taką czułością...

— Sinek...

— Co, mamusinko?...

— Sinek!... — powtarzała, rozkoszując się dźwiękiem tego słowa i ciepłymi miękkimi dłońmi muskała jego gładkie policzki...

Zazwyczaj niewiele ze sobą rozmawiali... Gdy słońce ciepłymi promieniami roztopiało pozostałe jeszcze na szczytach śniegi, gdy powietrze wypełniało się wonią nadchodzącej wiosny, uciekali z domu... Połą drożyną, zdala od ludzi, trzymając się za ręce, jak małe dzieci, szli przed siebie, rozkoszując się wspaniałymi widokami dojrzewającej wiosny... Gdy słońce zbliżało się ku zachodowi, szli na niewielkie wzgórze, pokryte jodłami... Siedała na szczycie, a Zbyszek wyciągał się obok na młodej trawce, opierając swą głowę o jej kolana... Uśmiechał się do nich srebrny sierp księżycy... Przygrywał im wesoły rechot żab z pobliskiego stawu...

Głaskała jego zaniedbaną nieco czuprynę, wpatrując się w sklepienie niebieskie, na którym zapalały się pierwsze gwiazdy...

— Sinek!...

— Co, mamusinko?...

— Gwiazdeczka!... taka śliczna!... moja!...

— Twoja, mamusinko!... I ta twoja! I tamta twoja!... Wszystkie twoje, mamusinko!... Ty sama jesteś, jak gwiazdeczka!...



— Sinek, nie bluźnij!...  
— Jakto, mamusinko?...  
— Bo gwiazdeczki są Boże, a ja jestem...  
— A ty przecież jesteś też Boża...  
— Ach, ty, sinek!... — groziła mu paluszkciem.  
Dobrze im było ze sobą...

W dnie słotne, gdy niebo ze złości czy rozpaczy strumienie łez wylewało na skołataną ziemię, gdy ciężkie krople dżdżu w szyby dzwoniły, a smugi wodne z szumem po szkle spływały, siedzieli w małym przytulnym saloniku; on w fotelu biegunowym z głową odrzuconą w tył, z oczami wlepionymi w płomień lampy naftowej, a ona na poręczy, przytulona do jego ramienia... I tak kołysali się w takt uderzeń kropli deszczowych o szyby...

— Mamusinko... Czemu deszcz tak długo pada?...

— Potrzebny, sinku... Potrzebny... Niech się napije spragniona ziemia... Zato zboża będą obfite i kłosa pełne...

— A ja tak kocham słońce, mamusinko... Tak smutno bez słońka... Zaśpiewaj mamusinko...

Jeszcze mocniej przytulała się do niego i, lekko kołysząc fotelem wprzód i wtył, nuciła mu:

Gdyby rannym słońkiem  
Wzlecieć mi skowronkiem,  
Gdyby jaskółeczką  
Bujać mi po niebie...

Dobrze im było ze sobą... Tak dobrze, tak jakoś lekko, radośnie czuł się Zbyszek w małym domku kolejarza przy „mamusince“...



Aż przyszła chwila rozstania... Zbyszek otrzymał wreszcie potrzebne dokumenty i musiał udać się w dalszą drogę... Wzywał go obowiązek...

— Sinek!... pamiętaj o mamusince!... — rzekła mu na pożegnanie, całując go w czoło.

— Nie zapomnę, mamusinko!... nigdy!...

Wyjechał... Korespondowali ze sobą.. Zdała maturę i zamierzała przenieść się do Lwowa na studia uniwersyteckie... Konspiracyjna służba w P. O. W., ciągle przenoszenie się z miejsca na miejsce, zmusiły Zbyszka do przerywania korespondencji... A w wartkim wirze dziejowych wypadków zapomniał o swych sprawach osobistych... Chociaż domyślał się, że musiała być we Lwowie, jednak po przyjeździe nie poszukiwał jej... Sam nie wiedział dlaczego?... Tak jakoś schodziło... Aż oto znalazł ją tu na placówce z postrzeloną głową...

— Mamusinka!... — wyszeptał, czule spoglądając na bezwładne ciało dziewczyny.

#### XIV.

W karczmie, do której dotarł Zbyszek ze znalezionej dziewczyną, uwijało się kilku sanitariuszy, niosący pierwszą pomoc nagromadzonym rannym żołnierzom. Wśród tych, zwykle wykpiwanych „łapiduchów“, spostrzegł sanitariuszkę, opatrującą rannego... Podeszedł do niej i szepnął na ucho o swem odkryciu.

— Niech ją pan zamiesie do tamtej izby... Zaraz tam przyjdę... — wskazała oczami drzwi, prowadzące do następnego pokoju.

Zbyszek przeszedł z ranną do przyległej pustej izby, w której urządzona była polowa apteka. Spostrzegłszy pod jedną ze ścian dość obszerną ławkę, ostrożnie złożył na niej ranną dziewczynę, ręką podtrzymując jej bezwładną głowę...

Wkrótce ukazała się sanitariuszka, która natychmiast przystąpiła do zbadania rannej.

— Niech mi pan pomoże ściągnąć jej płaszcz i bluzę... — zwróciła się do Zbyszka, klęczącego u wezgłowia dziewczyny.

Rozpiął płaszcz i mundur, poczem ostrożnie ściągnął rękawy z zakrwawionego ramienia... Pod brudną, żołnierską koszulą zarysowały się lekkie kontury dziewczęcych piersi...

Sanitarjuszka przystąpiła do zmywania skrzepłej krwi z ran i twarzy.

— Z głową nie jest tak źle... — skonstatowała po chwili, — ma tylko t. zw. „Streißschuss“.. Gorzej jest z ramieniem... Zdaje się, że ma obojczyk pogruchotany... Ale naogół rany nie są tak niebezpieczne... — pośpieszyła uspokoić Zbyszka, nakładając bandażę na oczyszczone rany.

Spojrzeniem dziękował sanitariuszce za słowa otuchy... Stojąc bezradnie, głęboko wzruszony wpatrywał się w twarz rannej. Teraz dopiero, po zmyciu krwi, począł rozpoznawać w bladej twarzyczce, dobrze znane rysy swej „mamusinki“, oszpeconej nieco brakiem obramowania z prześlicznych, kasztanowatych kędziorów... Poznawał tę ostro zarysowaną, wąską linię ust, ten zadarty, kościuszkowski nosek, prawidłowo zarysowane ciemne łuki brwi, te rzęsy długie, kryjące teraz jej oczy... Jej „przezroczyste“, jak mawiał, oczy... Oczy niezapominajki...

Z trudem powstrzymywał cisnące mu się do oczu łzy, gdy tak wpatrywał się w bladą, wymizowaną twarz dziewczyny... Nagle drgnął... Ranna poruszyła się... Oddech jej stawał się coraz wyraźniejszy...

— Powinna już przyjść do siebie... — zauważyła sanitariuszka, kończąc bandażowanie.

Podawała jej do powąchania flaszeczkę z amoniakiem i natarła skronie eterem... Ranna westchnęła głęboko i na chwilę otworzyła oczy... Próbowwała poruszyć się, lecz dotkliwy ból skrzywił jej bladą

twarzyczkę... Spojrzała nieprzytomnie przed siebie...

Sanitarjuszka podała jej manierkę z rumem... Połknęła kilka kropel i znów zamknęła oczy... Lekki rumieniec zabarwił jej policzki...

— Zostawiam ją teraz pod pańską opieką... — zwróciła się sanitariuszka do Zbyszka, domyślając się jakiegoś specjalnego związku pomiędzy tą „parą żołnierzy“. — Niech jej pan poda jeszcze trochę rumu, gdy zupełnie oprzytomnieje... — zaleciła, wychodząc.

— Dziękuje pani bardzo... — wyszeptał, biorąc od niej manierkę.

Zostawszy sam na sam z ranną, podszedł do niej i przyklęknął u jej wezgłowia. Usadowił się jednak w takiej pozycji, by nie mogła odrazu dojrzeć jego twarzy. Bał się, by nagłe wzruszenie nie zaszkodziło jej...

Po dłuższej chwili ranna znów otworzyła oczy... Wzrok jej zdawał się być już bardziej przytomny, tylko źrenice niespokojnie szukały czegoś w przestrzeni... Starła się widocznie rozpoznać sytuację...

— Gdzie ja jestem?... Kto tu jest?... — wyszeptała wreszcie, nie mogąc rozpoznać klęczącego z boku Zbyszka.

— Napij się... To ci dobrze zrobi... — ledwie wykrztusił z siebie, podając jej manierkę z rumem.

Pociągnęła kilka łyków...

— Jezus!... Marja!... — przeraziła się uprzytomniwszy sobie, że jest nawpół rozebraną. — Kto tu jest?...

Zbyszek zdecydował się wreszcie wyjaśnić sytuację.

— To ja, twój sinek, mamusinko... Pamiętasz?... Znalazłem cię ranną na placówce... — przemawiał czule, odwracając się do niej twarzą i unosząc nieco jej obandażowaną głowę.

— Zbyszek?... — wyszeptwała, poznawszy go. — Ty?...

— Tak, mamusinko... To ja...

Chciała coś odpowiedzieć, lecz nie mogła wydobyć głosu z krtani, mocno ściśniętej doznaniem głębokiem wzruszeniem... Wlepiała w jego twarz szeroko rozwarte oczy... Nagle dwa strumienie łez spłynęły po jej zarumienionych policzkach... Słabe nerwy dziewczęce nie wytrzymały zbyt wielkiego naporu wrażeń tego dnia...

— Mamusinko moja biedna... — szeptał Zbyszek, głaszcząc jej zdrowe ramię. — Uspokój się, mamusinko... Nie płacz... Jakżeż to można? Taki dzielny czwartak i beczy, jak baba... No, mamusinko, uspokój się...

Przytuliła się do niego i oparła obandażowaną głowę o jego ramię.

— To przejdzie... to zaraz przejdzie... — uśmiechnęła się przez łzy, usiłując zapanować nad swymi nerwami. — To takie dziwne... to spotkanie... Takie dziwne...

— To przeznaczenie, mamusinko... Gdyby nie ten atak ukraińców, kto wie, czybyśmy się byli spotkali... Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło...

— A jakże ze Zboiskami?... — odezwał się w niej żołnierz.

— Nasze, mamusinko!... A jakże!... Jesteśmy tu przecież w naszej karczmie... Takieśmy lanie hajdamakom sprawili, że nieprędko zechcą nas znowu odwiedzić!... Przepędziliśmy ich na łeb, na szyję...

— Ach, to dobrze!... Tak się bałam, żeby do niewoli się nie dostać...

Uspokoila się powoli... Kawałkiem bandaża wytarł Zbyszek jej mokrą od łez twarzyczkę... Usiłowała podnieść się z ławki... Podpierając ręką jej plecy, uniósł ją ostrożnie i posadził na ławce, po czem zapiał jej płaszcz, chowając pod nim obandażowane ramię.

— Jakże się czuje mamusinka? — spytał, siadając przy niej.

— Sama nie wiem... Głowa mnie boli i ramię... Słaby jestem, to jest. słaba, chciałam powiedzieć... — poprawiła się rumieniąc. — I zdaje się... że głodna jestem...

— No! jak już głód czujesz, to całkiem dobrze... — ucieszył się Zbyszek. — I mnie się już jeść chce, ale nic niestety nie mam... Nawet kawałka chleba... Zaalarmowali nas o czwartej rano i poszliśmy bez rynsztunku... Zostawiliśmy wszystko w koszarach... Ale!... — przypomniał sobie. — Przecież kuchnie musiały chyba przyjechać... Wiesz co, mamusinko?... Posiedź sobie tu spokojnie, a ja pójde poszukać czegoś do zjedzenia... Może obiad przywieźli? Dobrze, mamusinko?...

— Dobrze... Tylko wracaj wnet...

— Galopem, na jednej nodze...

Ostrożnie oparł jej obandażowaną głowę o ścianę i wyszedł. Za chwilę ukazała się sanitariuszka,

poinformowana widocznie przez Zbyszka o stanie rannej.

— Jakże się pani czuje?...

— O, dziękuję... już dobrze... — odparła, rumieniąc się lekko.

— Głodna pani, co?...

— Zdaje się... bo taki, to jest taka jestem jakaś słaba... — zapłoniła się dziewczyna.

— Nic dziwnego... — uśmiechnęła się życzliwie sanitariuszka. — Jest pani wcale porządnie potłuczona... Zaraz pani towarzysz przyniesie obiad, bo przed chwilą kuchni nadjechały... Posili się pani i odwieziemy do szpitala.

— A czy rany są niebezpieczne?...

— No! bywają znacznie gorsze... Z głową jest prawie że całkiem dobrze... A z ramieniem o tyle gorzej, że obojczyk, zdaje się, jest potłuczony... Ale to nic strasznego!... Za miesiąc, najdalej za sześć tygodni, będzie pani mogła nawet pływać!...

— A ręka cała zostanie?... — zatrwożyła się dziewczyna.

— Ach!... o to niema najmniejszej obawy!... — uspokajała ją sanitariuszka. — Skądże takie niedorzeczne przypuszczenia?... O rękę może pani być zupełnie spokojną...

— Bardzo pani dziękuję... — uśmiechnęła się dziewczyna, wyciągając zdrową rękę. — Głowacka jestem...

— Grodzińska... — odwzajemniła się sanitariuszka ściskając podaną dłoń. — Zapytywał o panią podchorąży Culic... Uspokoiliam go...



— Dobry z niego był dowódca... Ale przecież on też był ranny?

— Dostał postrzał w głowę, ale nic niebezpiecznego... Czy pani jest lwowianką?...

— Nie... Z Nadwórnej pochodzę... Studjowałam tu na uniwerku...

— Jakże pani potrafiła tak zamaskować się w kompanji?...

— Jakoś mi tak uchodziło... Ostrzygłam sobie włosy, przebrałam się, no i trochę miną nadrabiałam...

— I nikt panią nie poznał?... A przecież głos, rysy twarzy, obejście...

— Z twarzy najmniej można było poznać... Tak rzadko się człowiek mył... A głos?... Mój głos nie jest znowu tak bardzo kobiecy...

— Podziwiam panią...

— Nic takiego nadzwyczajnego... Nie ja jedna przecież jestem...

Powrót Zbyszka przeszkodził dalszym zwierzeniom...

— No, mamy pyszny obiad!... — uśmiechnął się, stawiając na ławce przyniesione menażki. — Jest krupnik, gulasz konserwowy z pęczakiem no i kawa, która niby ma być na jutro, na śniadanie, ale z równem powodzeniem może nam służyć, jako deser...

— A co pan będzie jadł jutro na śniadanie?... — wtrąciła sanitariuszka.

— Znajdzie się zawsze czem popić... A jak nie, to będę gwizdał... Przyniosłem twój rysz tunek... — zwrócił się do rannej, rzucając na podłogę przyniesiony plecak. — Dali mi twoi przyjaciele, dopytywali się

o ciebie i kazali pozdrowić... Całe szczęście, żem twój plecak dostał, bo bym musiał cały obiad do kieszeni zabrać, a to trochę niewygodnie... Nie miałem menażki — przydała się twoja w sam raz... Możemy więc zasiąść do uczty...

— Smacznego.. — uśmiechnęła się do nich sanitariuszka, usuwając się dyskretnie.

— Dziękujemy... Nawzajem...

— No to zabieraj się, mamusinko, do zupy, póki jeszcze ciepła... — zapraszał Zbyszek. — Mamy tylko jedną łyżkę, więc najpierw ty zjedz, a potem ja...

Podsunał jej menażkę z krupnikiem... W milczeniu spożyła kilka łyżek zupy, odstępując resztę Zbyszkowi. W ten sam sposób podzielili się i drugim daniem, jedząc w zupełnem milczeniu...

Po spożyciu obiadu zdecydował się wreszcie Zbyszek przerwać kłopotliwe milczenie... Delikatnie ujął jej zdrową rękę pomiędzy swoje dłonie.

— Mamusinko... — odezwał się drżącym głosem. — Dlaczegoś to zrobiła?

Spojrzała mu w oczy, poczem wzrok swój przeniosła w przestrzeń... Głębokie wzruszenie chwyciło ją za gardło... Zaszklily się jej „przezroczyste“ oczy na wspomnienie przeżytych dni... Wkrótce jednak zapanowała nad swojemi nerwami...

— Czyś ty dawno we Lwowie?... — spytała patrząc mu znów w oczy.

— Dopiero miesiąc.

— Ach tak?... Nic więc dziwnego, że pytasz dlaczego to zrobiłam?... A czy ty wiesz, co się tu działo w listopadzie?...

— W gazetach czytałem, koledzy mi opowiadali...

— Ach!... opowiadali!... czytałeś!... Gdybyś tu był i widział!... Gdybyś to z nami przeżywał, nie pytałbyś, dlaczego to zrobiła... Sambyś mi kazał... Czy ty możesz sobie wyobrazić, co się tu działo, gdy garstka dzieciaków z gołymi rękami szła przeciwko chmarom hajdamaków?!... Jakżem mogła nie pójść, kiedy małe dzieci, które karabinu udźwignąć nie były w stanie, chwytaly za broń?! Jakże mogłam pozostać poza szeregiem, gdy ważyły się losy naszego Lwowa?!... Zresztą nie ja jedna przecież poszłam!... Dużo moich koleżanek było ze mną... Z początku pomagałyśmy przy donoszeniu amunicji, potem same chwyciłyśmy za broń.. Nie mogłyśmy przecież pozostać biernymi pomocnicami!... Najpierw broniłyśmy Cytadeli... Potem walczyłyśmy w samym mieście... Ciężkie to były dni, Zbyszku!... O każdą uliczkę, o każdy dom niemal toczyliśmy krwawe boje... Ale mimo to, jakoś nam radośnie było, że to przecież swej ojcowizny bronimy... Trwało to całe trzy tygodnie!... Przetrzymaliśmy to wszystko! Przyszły potem pierwsze posiłki.. Przyszli też czwartacy.. Przypomniałam sobie, żeś i ty w Legjonach był czwartakiem... Spodziewałam się więc, że przyjdiesz z nimi... Szukałam cię... nie było jednak ciebie pomiędzy nimi.

— Nie mogłem odrazu wyrwać się... Nie chcieli mnie puścić z intendentury... — tłumaczył Zbyszek.

— Sformawali Legję Kobiecą... — ciągnęła dalej dziewczyna. — Wstałam. Ale trzymali nas

przeważnie poza linją... Nie podobało mi się to... Postanowiłam przebrać się za chłopca i wstąpić do prawdziwego wojska... Ostrzygłam sobie włosy po męsku, przebrałam się w mundur i zgłosiłam się... do czwartaków... Nie poznali się na maskaradzie i przyjęli mnie... Dzisiaj dopiero wydało się wszystko... — skończyła z żalem.

Zapanowało głucho milczenie... Głęboko wzruszony treściwą opowieścią dziewczyny, Zbyszek nie mógł znaleźć słów dla wyrażenia jej swego podziwu i uznania... W głębokiej zadumie przeżywał opowiadanie rannej... Obudziły go słowa dziewczyny:

— A jakżeś ty się tu dostał?...

— Zwyczajnie... — odparł, — uciekłem z hinterlandu...

— Jakto uciekłeś?...

W krótkich słowach opowiedział jej Zbyszek dzieje swojej dezercji.

— Ale przecież mogą cię za to oddać pod sąd polowy?... — zatrwożyła się.

— No to co?... Rozstrzelać mnie, nie rozstrzela ją chyba... Za dezercję na front tak srodcie nie karają... Przecież nawet skazanym za jakieś przestępstwa podczas wojny darują karę, jeśli zgłaszają ochotę udania się na front... — uspokajał ją Zbyszek. — Nie bój nic, mamusinko!... Nic mi nie będzie...

— Daj Boże, żeby się dobrze skończyło!... — westchnęła. — Ale... Zbyszku... nie nazywaj mnie już mamusinką... — zaproponowała okrywając powiekami swe „przezroczyście“ oczy.

Zaskoczyło to Zbyszka... Podniósł na nią zdziwione spojrzenie... Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że ani razu jeszcze nie nazwała go „sinkiem“...

— Jakże to?... dlaczego?...

— Tak to teraz jakoś dziwnie brzmi... Nazywaj mnie po imieniu...

— Po imieniu?... To znowu jakoś tak... głupio... Tyle czasu nazywałem cię mamusinką... Ale skoro sobie tego życzysz...

— Tak, Zbyszku... — rzekła miękko. — Te nasze czasy sielskie już tak dawno minęły...

— Jak uważasz... Będę cię więc nazywał po imieniu... Ale... po koleżeńsku, dobrze?... Twojem czwartackiem imieniem... Będę cię nazywał Luckiem... Dobrze?...

— Hm... — uśmiechnęła się. — Niechaj tak pozostanie...

Wejście sanitariuszki wybawiło ich z tej nowo-wytworzonej, nieco kłopotliwej sytuacji...

— Komu w drogę temu czas... — zwróciła się do nich. — Nadeszły już wozy. Przetransportujemy panią do szpitala...

Podeszła do rannej, pomagając jej podnieść się z ławki. Oparta o ramię sanitariuszki, dziewczyna udała się z nią przed karczmę, gdzie czekały wozy i sanie, do których ładowano rannych.

Zbyszek, zabierając plecak, przypomniał sobie o nieumytej menażce. Skoczył więc rychło do studni i wyszorował naczynie, poczem wpakował je do plecaka i wrócił przed karczmę... Ranna była już w saniach w towarzystwie kilku obandażowanych żołnierzy.

— Masz twój plecak... — rzekł do niej, układając w saniach skromny dobytek żołnierski dziewczyny. — Trzymaj się... Jak będzie spokój, — to jutro wpadnę do szpitala...

Wozy ruszyły stępa...

— Dziękuję ci, Zbyszku... Bądź zdrow!... — żegnała kroczącego obok sań towarzysza, ściskając jego dłoń.

— Serwus!... pa... do zobaczenia... Lucku!...

Przystanął, odprowadzając spojrzeniem oddalającą się dziewczynę... Mijały go wozy i sanie przeładowane rannymi... Smutne to było żniwo przeżytego dnia...

Gdy ten korowód zasłonił mu zupełnie widok dziewczyny, zawrócił... Wolnym krokiem powłókł się do placówki...

Pogrążony w myślach o dziwnym spotkaniu, nie zauważył nawet, jak szary zmierzch otulił pokrytą śnieżnym całunem ziemię... Na odcinku panował zupełny spokój... Doszedł do rowu łącznikowego, przystanął na chwilę, jakby namyślając się nad wyborem dalszej drogi... Wzgardził jednak niewygodnym wąskim rowem i udał się naprzelaj, brnąc po skrzypiącym śniegu... Ciemno już było, gdy dotarł do stanowiska maszynki... Z głębokiej zadumy wyrwał go okrzyk wedety...

— Stój!... Kto idzie?...

— Swój... Plutonowy Wirecki...

— Hasło?...

— Zboiska... Odzew?...

— Zamarstynów...



Po tem wylegitymowaniu się, Zbyszek skoczył do rowu. Obstąpili go natychmiast koledzy, dopytując się o ranę... Poinformował ich, że rany nie są niebezpieczne, że się już dobrze czuje, zbywając półgębkiem bardziej niedyskretne pytania, dotyczące jego znajomości z dziewczyną...

— Ale wiecie co?... — odezwał się spokojny dotąd Tadzik. — Proponuję uczcić znajdującą, nazywając jej imieniem naszą placówkę... Co wy na to?...

— Fajno!... Dobrze gada... Dać mu rumu!... — podtrzymała go wiara.

— A więc, w imieniu naszej gromady czwartackiej, — ciągnął Tadzik z pompą, — nadaję tej placówce imię Luśka... Niech żyje Luśka!...

— Niech żyje Luśka!... — podchwyciła wiara. — Hip, hip, hurra!... hip, hip, hurra!... hip, hip, hurra!... Hura, hura, hura!...

Zbyszek głęboko wzruszony stał nieruchomo, łowiąc echa radosnych okrzyków, wznoszonych ku uczczeniu jego „mamusinki“...



## XV.

Po niefortunnym ataku na Zboiska ukraińcy zostawili na pewien czas wszelkich prób wtargnięcia do miasta od strony Żółkiewskiej Rogatki, dzielnie bronionej przez czwartaków. Życie na odcinku powróciło do normalnego trybu... Załogi placówek czujnie strzegły powierzonej sobie bramy obleżonego miasta... Względny spokój, jaki panował w Zboiskach, umożliwiał garstce czwartaków taki taki wypoczynek po kilkudniowej służbie na placówkach...

Druga połowa lutego minęła bez żadnych większych wrażeń... Na odcinku było o tyle spokojnie, że ani razu nie zaszła potrzeba alarmowania odpoczywających na Zamarstynowskiej rezerw... Ale kontakt z ukraińcami utrzymywano bez przerwy przez regularną wymianę strażów na „dzieńdobry“ i „dobranoc“... Od czasu do czasu wysyłano do Malechowa patrole dla utrzymania ściślejszej z wrogiem łączności... Artylerja ukraińska wściekała się szczególnie codziennie w południe, gdy czwartakom przywożono z Zamarstynowa całodzienny posiłek... Ale pobożne życzenia hajdamaków wymacania życiowego „trójkotła“ spełzały zazwyczaj na niczem, gdyż dowcipny furażer stale zmieniał miejsce postoju i punkt fasunkowy.

W końcu lutego na skutek interwencji bawiącej we Lwowie misji koalicyjnej nastąpiło kilkudniowe zawieszenie broni... Nastąpiły dni dziwnej, denerwującej ciszy... Spodziewano się rozstrzygnięcia sprawy przez aliantów... Zaistniała nawet obawa, czy wszechpotężna koalicja nie weźmie strony ukraińców i nie rozkaże oddać im miasta... Niedorzeczne te pogłoski, rozsiewane przez małodusznych i wrogów, bynajmniej nie wpływały na humor odpoczywających obrońców, którzy pokpiwali sobie z podobnych plotek... Wiedzieli dobrze, że miasta tego nie oddadzą na niczyj rozkaz... Takiego rozkazu nawet własnej, rodzonej władzy nie usłuchanoby...

Tymczasem wiara, korzystając z odpoczynku, tłumnie uczęszczała do gospód żołnierskich na kawę z marmeladą, serdecznie podejmowana przez gościnne i usługowe „ligawki”... Bardzo często też, zależnie od zasobów kieszonkowych, zaglądali obrońcy do teatru, który niezmordowanie trwał na stanowisku wraz z całą załogą...

Każdą swą bytność w przybytku Melpomeny czwartacy musieli upamiętnić jakimś serdecznym figlem, który zacieśniał węzły sympatji pomiędzy bracią aktorską a obrońcami miasta...

Zbyszek rzadko brał teraz udział w eskapadach kolegów... Zaraz po obiedzie wymykał się do szpitala, gdzie bywał codziennym gościem... Lucek vel Lucyna po operacji wyjęcia kuli z ramienia, zaczęła gorączkować... Przez parę dni była nieprzytomna... Mógł więc tylko przez „siostrę” dowiadywać się o jej zdrowie... Dopiero pod koniec pobytu w mieście mógł z nią zamienić kilka słów... Była jednak bar-

dzo osłabiona i „siostra“ nie pozwalała mu zbyt długo przebywać przy niej...

Odwiedzał też Stefka, którego jednak wpakowano do szpitala... Czasami zaglądał do niego z kolegami... W takich wypadkach Zbyszek ułatwiał się po angielsku, by choć na chwilę zajrzeć do Luśki...

Kilkudniowa cisza, jaka nastąpiła wskutek zawieszenia broni, była przysłowiową ciszą przed burzą... Już 2-go marca, bez uprzedniego wypowiedzenia, zerwali ukraińcy układ, obsypując miasto i linie placówek gradem pocisków... Zaalarmowane oddziały przerwały swoje „dolce far niente“ przy ul. Zamarstynowskiej i ściągnęły na zagrożone przez wroga stanowiska...

Także i 3-ci pluton K. K. M., przebywający na odpoczynku, odmaszerował na Zniesienie, jako rezerwa załogi Zboisk... Alarm jednak był przedwczesny, gdyż ukraińcy upajali się tymczasem rykiem własnych armat, nie śmiąc jeszcze na tym odcinku ruszyć się z miejsca... Prawdopodobnie przygotowywali poważniejszą akcję w innym kierunku, wiążąc ogniem załogę Zboisk i Kościarni...

Wobec normalnej sytuacji bojowej maszynki pod wieczór rozkwaterowały się na Zniesieniu... Zbyszek z Tadzikiem ulokowali się u miejscowego pachciarza... Dostali wcale schludny pokój, zwany saloniem z tej prostej przyczyny, że poza starą otomaną, oszkloną szafą i innymi salonowymi gratami, znajdował się tam i rozklekotany „machonjowy“ fortepian... Ten wyjątkowy mebel bardzo ucieszył muzycznego Zbyszka...

— Jakże ci się tu podoba?... — spytał przyjaciela, rozkładając manatki po krzesłach.

— Fajnie... — wyszczerzył Tadzik swoje białe zęby. — Możemy sobie tu i tańcówkę urządzić...

— Szkoda, że Stefka niema... Mógłby sobie fircyk pohasać... Chyba jeszcze ze dwa tygodnie sobie połazikuje...

— Ta niech sobie odpocznie. I tak niema tu nic do roboty... Krzątać się tylko koło maszynki i pilnować by sobie gardła nie przeiębiła... Też mi wojna!... — utyskiwał Tadzik. — Przez dwa miesiące glinę deptać przed Malechowem!... Już mi się to sprzykrzyło!... Strasznie głupia ta nasza wojna!...

— Głupia, bo głupia, ale kiedy inaczej nie idzie, to nie da rady... — uspokajał go Zbyszek. — Na wojnie różnie bywa... Czasem miesiącami siedzisz w jednym rowie, a kiedyindziej pędzisz na łeb na szyję 50—60 kilometrów dziennie... Nie bój nic, mój dragi!... Już tam nasi wodzowie dobrze wiedzą, jak się wojnę prowadzi... Przedewszystkiem musisz wiedzieć, że, aby ruszyć z miejsca, trzeba mieć przygotowane rezerwy, zapasy amunicji, żywności i wiele innych rzeczy, o które filozofowie wcale się nie martwią...

Tadzik machnął ręką na tę lekcję strategii i z wyrazem rezygnacji usiadł na taborecie przed fortepianem... Spojrzawszy z podełba na krzątającego się Zbyszka, otworzył wieko, ochraniające klawisze i machinalnie przebiegł po nich palcami... Ze starego pudła uleciało kilka przeraźliwych tonów poprawnego jednak akordu...

Zbyszek przystanął i zdumiony spojrzał na przyjaciela...

— O, ty sakramencka potworo!... To ty grasz?...

— Ee... tak sobie tylko brzdąkam...

— O, ty typku smętny!... Widzisz, jaki kombinator!... — ciągnął Zbyszek, przypominawszy sobie zachowanie się Tadzika podczas niefortunnego koncertu u Ligawki. — To z ciebie taka małpa?!... No to zagrajże co?... Może Rapsodję Liszta?... Tę drugą... węgierską...

— Na tym klawicymbale?...

— Cóż takiego?... Dobry mistrz na każdym instrumencie zagra... A nie wiesz, że Paganini cały koncert odegrał na jednej strunie?... Z akordami nawet... dalibóg!...

Tadzik spróbował jeszcze kilku akordów... Wydobyte tony były jednak tak przeraźliwe, że z wściekłością zatrzęsnał wieko.

— Chciałbym usłyszeć koncert twojego Paganiniego na tem starem pudle... Ale wiesz co?... Pójdziemy kiedy do cerkwi na chór... Jest tam fisharmonia, to sobie zagramy... Strasznie lubię fisharmonję!...

— Mogiemy pójść do cerkwi na koncert... A tymczasem warto troszkę pokimać, bo niewiadomo co nam się w nocy przytrafi...

— Masz rację... Czy się rozbieramy?...

— A jakże... Może się wykapiemy i włożymy pijamy?...

— A przydałoby się, wiesz?... Tylko, że ja strasznie nie lubię rozbierać się i ubierać!... Szkoda, że człowiek nie rodzi się w ubraniu!...

— Doskonały pomysł, dalibóg!... Warto pracować nad takim wynalazkiem... Spróbuj, może co wykombinujesz?...

— Trzeba będzie zastanowić się nad tem... — odparł Tadzik, odpinając koc od plecaka.

— Ale trzewiki możesz zdjąć... — zaproponował Zbyszek, ściągając swoje buty z cholewami.

— Ach, nie... — wykreślał się Tadzik. — Dopiero owijacze skręcać i sznurowadła rozplatać... Nie lubię tego!... Tobie wygodnie, bo masz z cholewami... Raz dwa je ściągniesz...

— No, no!... Nie oberwiesz się, a nogom nieco ulżysz!... Trzeba im też troszkę powietrza dać... A i kanapy przecież szkoda... No, nie marudź, a ściągać swoje „czoboty“!... — zachęcał go Zbyszek, wyciągając się na otomanie.

Tadzik z wielką niechęcią przystąpił do zawilej operacji zdejmowania trzewików... Wkrótce uporał się z owijaczami i sznurówkami...

— A zgaś świecę... — upomniał go Zbyszek.

Zdmuchnął płomień znajdującej się na stole świecy i wyciągnął się obok Zbyszka...

— Dobranoc...

— Dobranoc... A nie przewracaj się z boczku na bok, bo zlecisz... Dobranoc...

Ledwo ułożyli się wygodnie i przymknęli oczy, rozległo się energiczne pukanie do drzwi...

— Czego tam?... — spytał Zbyszek.

— To ja, Tomaszewski... Cy je tam Mazurkiewicz?... Mam do niego befeł...



— A... to Wojtek... Czegóż on do diabła chce ode mnie?... — dziwił się Tadzik.

— Zaświeć no... Zaraz się dowiemy z czem przychodzi... Wlazł!... — krzyknął Zbyszek w stronę drzwi, podczas gdy Tadek zapalał świecę.

— Cześć!... — przywitał ich Wojtek, przestępując próg. — Melduję posłusznie, panie plutonowy, co na rozkaz pana podchorążego Mazurkiewicz ma iść na łącznika do 13-tej kompanji...

— Czy jego szlag trafił!... — obruszył się Tadzik. — Toś nie mógł z tem o dziesięć minut wcześniej przyjść, potworo sakramencka!?...

— Ta ja was długo szukał... — tłumaczył się Wojtek.

— Szukał, szukał!... — przedrzeźniał go wściekły Tadzik. — Kiedy już buty ściągnąłem, to przylazł!... Sakramencka potwora!... A takie miałem przeczucie, żeby butów nie ściągać!... Teraz znów będę miał z temi owijaczami i sznurówkami... A niech to gęś kopnie!... Poco ja te buty ściągałem?!... — biadał zabierając się do wciągania trzewików i okręcania owijaczy.

— To może wciągniesz moje buty z cholewami?... — zaproponował Zbyszek.

— A jakże!... Tylko, że musiałbym przedtem obciąć sobie pół stopy... Sakramencka!... — stękał Tadzik, okręcając wokoło łydki owijacze. — A już mnie, bracie, nie nabierzesz na ściąganie butów!...

Skończywszy wreszcie z owijaczami, włożył pas z bagnetem i ładownicami i przerzucił sobie sztucer przez plecy...



— Możesz teraz spać spokojnie... — zwrócił się do Zbyszka. — Gdyby coś zaszło, to wpadnę, żeby cię zawczasu obudzić... Serwus!...

— Cześć, panie plutonowy!... — zasalutował Wojtek, wychodząc za Tadzikiem.

— Serwus!... Cześć!... Wesołej zabawy!... — życzył im Zbyszek.

Zamknawszy drzwi za odchodzącymi, rozebrał się uczciwie, poczem ułożył się wygodnie na kanapie, owijając się w dwa koce. Za chwilę zasnął snem młodych i sprawiedliwych...

Mimo przewidywań noc minęła zupełnie spokojnie, pomijając naturalnie perypetie i wybuchy ukraińskich pocisków i tradycyjną wymianę strzałów karabinowych, mających na celu spędzenie snu z powiek czuwających, ale skłonnych do drzemki, wedet...

Tadzik powrócił ze służby dopiero około południa, gdy nadjechała kuchnia z całodziennym fasunkiem i... nowinami. Tym razem wiadomości były o tyle ciekawe, że miano z pułku wydzielić starszych podoficerów i lepszych żołnierzy, znających dobrze polską musztrę, przedewszystkiem zaś b. legionistów i peowiaków... Wybrana gromada miała odjechać do Jabłonnej, gdzie uzupełniał się pierwszym rekrutem i reorganizował 4-ty p. p. Leg.

— Chyba mnie do Jabłonnej nie wyślą?... — pytał Tadzik, gdy po spożytym obiedzie znaleźli się na kwaterze.

— Skądże ja ci o tem mogę wiedzieć?... — odparł Zbyszek. — Ale myślę, że jeszcze nie nadajesz

się na instruktora... Stoisz na baczność, jak Mickiewicz na placu Marjackim...

— Pewnie, pewnie... — zgodził się Tadzik. — Wcale mi się, zresztą, nie chce do jakiejś tam Jabłonnej... Wolę już tu zostać frajtrek i zginąć na polu chwały... — zaczął swą ulubioną piosenkę.

— Głupiś, mój drogi...

— Dlaczego głupi?... Czy ja nie mogę zostać frajtrek?...

— Ta możesz... Czemu nie?... Ale nie odrazu ginie się na polu chwały... To nie takie łatwe, jak się wydaje!... Trzeba troszeczkę pomęczyć się!... A zazwyczaj giną tylko ci, którym się wcale nie chce...

— Jabym się o to nie gniewał...

— Nicby ci już nie pomogło, gdybyś się nawet gniewał... A poza tem jesteś skończony osioł...

— Jakiś ty uprzejmy, Zbyszek... Niech cię uściskam!... — uśmiechał się Tadzik, podchodząc do przyjaciela z otwartymi ramionami.

— Schowaj swoje graby, typku smętny!... — ofuknął go Zbyszek. — Prześpij się troszkę, bo cię widocznie zamroczyło w tej 13-ce...

Dyskretnie pukanie w drzwi przerwało te serdeczne wynurzenia przyjaciół...

— Wlazł!... — rzucił Zbyszek stereotypowe żołnierskie zaproszenie.

Za chwilę ukazał się Julek Żakowski...

— Serwus!... Jakże się macie?... Przyszedłem zobaczyć wasz salon...

— Nie szkodzi... Prosimy... Gość w dom, pilnuj chleba... — zapraszał go Zbyszek uprzejmie.

— Niema obawy... — zapewniał Julek. — Dziśjsza porcja gulaszu z peczękiem była całkiem wystarczająca... Ale też salon macie!... Phi, phi!... Nawet fortepian!...

— To Tadzik na nim koncertuje... Nie wiesz nawet, jaki z niego artysta?!...

— No?... Nic nie wiedziałem, że Tadzik gra...

— Ta gdzie... On tylko tak naciąga... — tłumaczył się Tadzik.

— Jakże tam z Jabłonną?... — spytał Zbyszek. — Pójdiesz chyba na instruktora?...

— Chyba nie... — odparł Julek. — Ja przecież jestem „powstaniec“ listopadowy... Ale ciebie pewnie wyekspedjują, boś weteran... stary legun... znasz komendy... musztrę...

— Co?... Mnie?... — zachnął się Zbyszek. — Nie chyci, kochasiu!... Przed kilku tygodniami załedwie zwałem z hinterlandu chyba nie poto, żeby tam wracać teraz?!...

— Jakto zwałeś?... — podchwycił Julek.

— No... No... bo przecież mogłem zostać, a tak długo prosiłem o przeniesienie na front, aż się im to znudziło i puścili mnie... — poprawił się Zbyszek. — Teraz miałbym znów wracać na hinterland?... To tak gładko nie chyci, kochasiu!...

— Dobreby to było wojsko, jakby tak każdy żołnierz chciał powiedzieć „nie chyci“... — rzucił Julek.

— Ta pewnie... Ale bo widzisz... żołnierz i żołnierz to też różnica... Nie zaprzeczysz chyba, że Legiony były dobrem wojskiem?...

— Któż w to wątpi?...

— A widzisz!... Ale my nieraz rozkazów nie wykonywali... Jak nam kazali braterstwo broni szwabom przysięgać, tośmy sobie właśnie powiedzieli: nie chyci!... I nie pomogły ani Szczypiorno, ani Benjaminów... A pod Rarańczą jak było?... Niby to musieliśmy słuchać rozkazów ś. p. c. i k. armeékomando... A jak powiedzieliśmy sobie: stop!... nie chyci!... — tośmy się zabrali i poszli na drugą stronę... Nabiliśmy w butelkę całą c. i k. armeékomando i pokazaliśmy sakramenckim dziadom... pięty... Widzisz więc, kochasiu, że żołnierz i żołnierz — to różnica... Jeden się nadaje na zupaka, a drugi na wojaka... Ja należę do tej drugiej kategorii... Nigdy nie kandydowałem na zupaka!... — zaperzył się Zbyszek, podniecony wspomnieniami.

— Nie masz jeszcze czem się przejmować!... — uspokajał go Julek. — Niewiadomo jeszcze, czy cię wyznaczą do Jabłonnej?...

— Kiedy się dowiem, że mnie wyznaczono, będzie już za późno... Muszę zawczasu postarać się, żeby mnie tu zostawili w spokoju... Pójdę zaraz do podchorążego Mizgalewicza...

— To i ja z tobą pójdę... — zaofiarował się Tadzik.

— A ty poco?...

— Żeby się też zaasekurować przed Jabłonną... Przecież może się zdarzyć, że i mnie wyznaczą...

— Ta pewnie... Takiego weterana lwowskiego!... Jeszcze gotowi zamianować cię frajtrek i wysłać na instruktora... I nie mógłbyś zginąć na polu chwały, co?... To chodźmy...

Poszli wraz z Julkiem, który ich w drodze pożegnał... Wkrótce stanęli przed domkiem organisty, gdzie kwaterował pchr. Mizgalewicz. Weszli do sieni i zapukali.

— Wlazł!... — odpowiedział im dobrze znany głos.

Weszli do pokoju, w którym zastali dowódcę, zajętego czyszczeniem swego „Steyera“, z którym nigdy się nie rozstawał...

— No cóż tam, batjary?... — przywitał ich.

— Panie podchorąży, melduję posłusznie, że mam prośbę... — wyrecytował Zbyszek.

— No?... Przepustkę do miasta?...

— Nie, panie podchorąży... Całkiem inna para kaloszy... Dowiedziałem się, że mają wybierać instruktorów do kadry...

— I chciałbyś sobie już zwać do Jabłonnej?...

— Całkiem na odwyrtkę panie podchorąży... Chciałem prosić żeby mnie czasem nie wybrano...

— A jakżeście to przewachali?...

— To tak... pocztą pantoflową, panie podchorąży...

— Sprawną macie pocztę... Więc nie chcecie iść na instruktora?...

— Nie, panie podchorąży... Taż ja tu dopiero parę tygodni na froncie... I wogóle nie nadaję się na instruktora... Przecież pan podchorąży doskonale rozumie, że jak się człowiek do czegoś nie nadaje i nie ma ochoty, to z takiej maki chleba nie będzie...

— Isz, jaki filozof!... No a ty, Tadziu?... Też nie chcesz zostać instruktorem?...

— Ta gdzie mnie na instruktora, panie podchorąży... Wirecki powiada, że stoję na baczność, jak Mickiewicz na placu Marjackim... Byłby ze mnie instruktor, jak z raka wyścigowiec... No i ja przecież żadna szarża...

— Isz go, jak się przymawia... Koniecznie chciałby tym frajtrek zostać... No, pies z tobą polkę tańczył!... Będiesz frajtrek... Nie bój nic!...

— Ale do Jabłonnej nie pojedę, panie podchorąży?...

— To już potem, jak zostaniesz frajtrek...

— Wtenczas chyba wszyscy już pojedziemy do kadry... — wyszczerzył Tadzik swe białe zęby w uśmiechu od ucha do ucha.

— A to niby dlaczego?... Sądziś, że się tak rychło wojna skończy?...

— Chyba nie prędko, jeśli tak będziemy stale urzędować na Zniesieniu albo w Zboiskach...

— Nie bój nic, braciszku!... Przyjdzie kryska i na Matyska... Wiecznie tu sterczeć nie będziemy... Więc chodzi wam o to, żeby was do Jabłonnej nie wysłali?...

— Tak jest, panie podchorąży... — odparli jednocześnie.

— Niema zmartwienia... Z naszej kompanji nikt nie pojedzie... To tylko pierwszy bataljon odchodzi...

— Tylko pierwszy bataljon?... To fajnie!... — cieszyli się. — Dziękujemy, panie podchorąży...

— Nie szkodzi... Serwus!...

— Cześć, panie podchorąży!...

Zasalutowali i, zrobiwszy przepisowe „wtył zwrot“, opuścili kwaterę dowódcy...



— I poco my się tyle martwili?... — uśmiechnął się Tadzik, gdy wracali na kwaterę.

— Przynajmniej wiemy, jak sprawy stoją... No, i będziesz frajtre...

— Eee tam... zaraz frajtre!... Tak mnie tylko naciągał...

— Poczoby miał naciągać?... Przekonamy się wkrótce, bo mają wyjść nominacje za kontratak 17-go lutego... Tymczasem wiesz co?... Poszukamy Marjanka z Frankiem... Muszą gdzieś tu urzędować, bo to ich pluton jest na Zniesieniu...

Po zasięgnięciu informacji u napotkanych towarzyszy broni z 13-tej kompanji, znaleźli wkrótce przyjaciół, którzy serdecznie ucieszyli się wizytą maszynowców.

— Jakże się macie, chłopcy?... Serwus!... Gdzież wy urzędujecie?... — ścisnął ich Marjanek.

— Mamy się, owszem... Siedzimy sobie u pachciarza, u którego ani kropli mleka niema...

— Aha!... To u Salci... — wtrącił Franek, szczególnie obeznany z okolicą i jej mieszkańcami.

— U jakiej Salci?... — dziwił się Zbyszek.

— A to córka waszego pachciarza... Przepada za czwartakami... — wyjaśnił Marjanek, który też często obijał się po Zniesieniu.

— Ach tak?... Tegom jeszcze nie skonstatował... — odparł Zbyszek, który nie zauważył, by córka jego gospodarza wyróżniała się czemś specjalnem. — Ale mamy za to piękny salon z otomaną i fortepianem, na którym Tadzik wyczynia cuda...

— Co?... Tadzik gra na fortepianie?... — dziwili się przyjaciele.



— A jakże!... Rywalizuje z Paderewskim... Musicie kiedy przyjść do nas na koncert... Mówię wam!...

— Ta nie rób z tata warjata!... — bronił się Tadzik.

— A kiedyś ty zostałeś tatą?... — podchwycił Marjanek.

— Że warjat z mokrą głową jesteś, to wim... Ale żebyś tatą był?... Dalibóg, że pierwszy raz o tem słyszę... — naciągał Franek. — A co masz?... Syna czy córkę?...

— O, wy sakramenckie potwory!... Potom do was przyszedł, żeby waszego durnego gadania słuchać?... Chodźmy, Zbyszku!... Niema co zadawać się z takimi batjarami... Trza ich wysłać na Łyczaków na instruktorów... — odcinał się Tadzik.

— Całe twoje szczęście, że jesteś naszym gościem, bobym cię kazał przez najgorszego wyrzucić... no nie, Franiu?...

— Sie wi!... Zarazbym go na pysk wylał!...

— Ale, a propos instruktorów... Podobno mają wysłać do Jabłonnej cały bataljon?...

— Pierwszy odchodzi...

Wejście sierżanta przerwało gawędę przyjaciół...

— Na patrol pójdziecie?... — spytał od proga.

— Sie wi... — odparli Franek z Marjankiem. — Dużo luda?...

— Siedmiu... Tylko zbirajcie się galopem!... Za dziesięć minut zbiórka przy cerkwi... — informował sierżant, wychodząc.

— Już się robi... — zapewniał Marjanek, wdiewając pośpiesznie płaszcz. — Przynajmniej się człowiek troszkę rozerwie...

Zbyszek z Tadzikiem pomogli im opasać się i ściągnąć fałdy obszernego płaszcza...

— A granaty zabierz... — upomniął Franek przyjaciela.

Zbadawszy ilość amunicji, zahaczyli po dwa granaty ręczne o pas i z karabinami pod pachą wyszli przed chałupę, żegnając się z gośćmi...

— Wesołej zabawy... — życzyli im przyjaciele. — A nie dajcie się skrzywdzić!...

— Nie bój nic!... My si nie damy!... Serwus!...

— Ci przynajmniej mają jakie takie urozmaicenie... — głądził Tadzik w drogę na kwaterę. — Nie tak, jak nasza pieska doła!... Sterczeć ciągle przy maszynce, bo cię z takim huncwotem na patrol nie puszczą...

— Ale jak ruszysz z maszynką, to się tak spocisz, że ci starczy za dziesięć patroli... — pocieszał go Zbyszek. — Pamiętasz, jak się pocieś 17-go lutego na 20-stopniowym mrozie?...

— Przyjemniej było, niż dzisiaj...

— Najprzyjemniej to chyba Stefkowi było... — przypomniał Zbyszek rannego przyjaciela.

— Taki fircyk to zawsze ma szczęście...

Wrócili do swego salonu...

— Napijemy się kawy i położymy się, co?... — zaproponował Tadzik, zmęczony całonocną służbą.

— Można... I tak niema nic lepszego do roboty...

— A może mleka się napijesz?...

— Mleka?... Skądże ty masz mleko?...

— Mam... — uśmiechnął się Tadzik figlarnie. — Całą manierkę...

— Skądżeś ty to wytrzasnął?... Przyznaj się, typku smętny...

— Zwyczajnie... od krowy...

— Przyznaj, szelmo, żeś buchnął!...

— Bih me, że nie!... Dalibóg!...

— No to gadajże, potworo sakramencka, skąd masz to mleko?...

— Taż mówię, od krowy... Żebym tak frajtreem został, że od krowy!...

— Jakto od krowy?... Krowa ci to mleko podarowała?...

— Prawie, że tak... Bo widzisz, — zaczął, — strasznie mi się nad ranem spać chciało... A to przecież nie uchodzi na służbie... Wyszedłem więc przed chałupę, by się nieco orzeźwić świeżem powietrzem... Stoję sobie tak i liczę, ile jeszcze gwiazd zostało na niebie do wschodu słońca, bo to już niby świtało... Nagle słyszę, że krowa ryczy... Tak jakoś smutnie, tak żałośnie ryczała, aż mi się serce ścisnęło... Idę do obory, patrzę: stoi sobie krówka i ryczy... Poklepałem ją po szynce, pociągnąłem za ogon, a ta furt ryczy... Myślę sobie: pewnie chce, żeby ją wydojono... Bo mi kiedyś opowiadali, że, jak się krowy na czas nie wydoi, to nadmiar mleka przyprawia ją o bóle... Myślę sobie: poco ma cierpieć biedne stworzenie?... Pociągnąłem za wymię... Trysnęło mleko, a krowa przestała ryczeć, tylko tak sobie merda ogonem i mruczy z zadowolenia... Cóż miałem robić?... Nadstawiłem manierkę i zacząłem doić...

— Cha, cha, cha!... — zaśmiewał się Zbyszek. — A niechże cię gęś kopnie, ty sakramencka potworo!... Cha, cha, cha!... Ulitował się nad biedną krówką i wydoił ją... Cha, cha, cha!... A niechże cię, małpo jedna!... Już twojej wiedeńskiej lepetyny nie trzeba pozłacać... Cha, cha, cha!... Idźże teraz do kuchni i zagrzej to mleko i kawę... Ty, litościwa osobo!... Zrób do tej Salci takie morowe czwartackie oczko z arabską żrenicą, to ci pomoże... A niechże cię dunder trzaśnie!...

Tadzik zabrał manierkę i udał się do kuchni, podczas gdy Zbyszek wziął się do porządkowania na noc swojego rynsztunku... Nagle potężny wstrząs wzruszył posadami ziemi... Zagrzmiął straszliwy huk dalekiej eksplozji... Cały dom zatrzęsł się, jakby za chwilę miał runąć w gruzy... Wszystkie szyby w oknach zadzwoniły... Zbyszkowi zadrgały bębunki w uszach...

Przystanął nasłuchując... Za chwilę ucho jego poczęło łowić echa dalekich, szybko następujących po sobie wybuchów... Nadbiegł Tadzik.

— Słyszaleś?...

— Słyszałem...

— Coby to mogło być?... Chyba nie trzęsienie ziemi?...

— Pewnie że nie, bobyśmy już niejednego kozołka wywrócili... Musiało coś wylecieć w powietrze... Może gazownię wysadzili?... Na wszelki wypadek pospiesz się z kawą... Będzie napewno awantura... Trzeba się pokrzepić na drogę...

Tadzik skoczył znów do kuchni i za chwilę powrócił z porcelanowym dzbankiem, pełnym gorącej kawy z mlekiem i dwiema filiżankami...

— Najpierw zaopatrzymy się na ewentualną drogę, a resztę wypijemy... — zdecydował Zbyszek.

Napełnili manierki, wypili pozostałą w dzbanku kawę i zaczęli pakować swoje plecaki... Za chwilę, stosownie do przewidywań Zbyszka, rozległy się za oknami przeraźliwe gwizdy i okrzyki alarmowe...

Zarzuciwszy na plecy swój dobytek, z karabinami na ramieniu wybiegli na plac alarmowy, stając w szeregu zbierającego się plutonu... Przed frontem przechadzał się pchr. Mizgalewicz, po swojemu przygadując opieszalym... Wreszcie kazał odliczyć, by sprawdzić czy wszyscy są obecni... Nie brakowało nikogo... Dał więc „spocznij“...

Zaczęli go wypytywać o eksplozję i przyczynę alarmu... Sam jednak niewiele wiedział... Cekał na wiadomości z Dowództwa odcinka... Posypały się więc najrozmaitsze przypuszczenia i domysły... Nagle spostrzegli nad miastem olbrzymią łunę pożaru i kłęby wijącego się czarnego dymu. Brakło im jednak czasu na dalsze dociekania, nadbiegł bowiem łącznik. Odebrawszy od niego rozkazy, pchr. Mizgalewicz zwrócił się do swojej gromady:

— Ostre pogotowie aż do odwołania... Nawet pasa nie wolno zdjąć... Pamiętajcie, batjary!... Sprawdzić maszynki... Żeby mi lufy nie pozamarzały!... Na kwatery biegiem rozejść się!...

Niechętnie rozbiegła się zmarznięta wiara... Zbyszek z Tadzikiem powrócili na kwaterę...

— Ciekawym co się tam pali w mieście?... To tak, jakby w okolicy dworca czerniowieckiego... — przypuszczał Tadzik, zrzucając plecak.

— Dowiemy się... Jak nie dziś, to jutro... — odparł Zbyszek.

W napięciu oczekiwania nowych wypadków wyciągnęli się na kanapie, mając pod głową plecaki, a przy boku sztucery. Czujnym uchem łowili odgłosy dalekich wybuchów... Lada chwila spodziewali się ponownego alarmu... Darmo jednak zmitrężyli całą prawie noc, która minęła zupełnie spokojnie.

## XVI.

Nad ranem odwołano pogotowie... Zmęczona całonocnem czuwaniem wiara posnęła kamiennym snem... Dopiero przybycie kuchni wypędziło gromadę na światło dzienne...

Zbyszek z Tadzikiem też pobiegli po swoje porcje, no i po nowinki... Jakież było ich zdziwienie, gdy przy wozie prowiantowym spostrzegli Stefka, podpierającego się niewiadomo skąd wytrzaśniętą ciupagą... Rozglądał się na wszystkie strony, szukając widocznie przyjaciół... Gdy wreszcie rozpoznał nadbiegających, rzucił się ku nim z otwartymi ramionami...

— Serwus, Zbyszkule!... Serwus, panie frajter!... Pies z wami polkę tańczył!... — przywitał ich stylem pchr. Mizgalewicza.

— Serwus, pieska twoja niebieska!... — uściskał go Zbyszek. — Już się wylizał?...

— Prawie... Chodzę tylko do opatrunku... Po-gratulować ci, Tadziku!...

— A czyś ty czasem w szpitalu świrka nie złapał?... — uśmiechnął się Tadzik znacząco.

— Nie wierzysz?... Dalibóg, żeś „pan frajter“!... — zaklinał się Stefek. — Wczoraj wyszły w rozkazie pułkowym nominacje... Stało tam, jak



słup telegraficzny: legionistę Tadeusza Mazurkiewicza, mianuję starszym legionistą... No to nie frajter?...

— Eee tam!... Bujać to ja troszkę lepiej po-  
trafię...

— No to się przekonasz. kiedy ci żołd wypłaca,  
ty, frajter sakramencki!...

— Dajcie już spokój z tym durnym frajtre-  
m i nie rozstawiajcie sobie familji po kątach... — w-  
mieszał się Zbyszek. — Powiedz nam lepiej, kochasiu,  
co się wczoraj w mieście działo?... Co to był za wy-  
buch i co się paliło?...

— Ale, bracie!... Sodoma i Gomora była wczoraj!... Na dworcu czerniowieckim wyleciały w po-  
wietrze magazyny amunicji...

— Magazyny amunicji?...

Jakby obuchem po głowie dostali... Zapanowało  
głuche milczenie... Tysiące myśli świdrowały ich  
mózgi...

— Magazyny amunicji?... — powtórzył Zby-  
szek szeptem. — A to ci nas dostało!...

— Ładny gips, niema co... — zauważył Tadzik.

— Jestem przekonany, że to hajdamacka robo-  
ta... — ciągnął Zbyszek w zamyśleniu. — Morowo  
nas urządzili!... Teraz, gdy zostajemy bez amunicji,  
gotowi jeszcze rozpocząć atak na całej linii...

— A my będziemy musieli zaopatrzyć się  
w proce i pójdziemy na hajdamaków, jak Dawid na  
Goljata... — dowcipkował Tadzik. — Co my zro-  
bimy z naszymi maszynkami?... Bo przecież grochem  
nie da się z nich strzelać...

— Stulże swoją gębę zatraconą, potworo sakramencka... — wybuchnął Zbyszek, przejęty zgrozą wytworzonej sytuacji. — Weź menażki i zafasuj obiad, a ja zabiorę resztę...

Tadzik posłusznie stulił uszy i poszedł do kuchni, która opodał wydzielala obiad... Zbyszek zafasował chleb, marmeladę, papierosy i kawałek kiełbasy i wraz ze Stefkiem udał się na kwaterę... W drodze dopędził ich Tadzik...

— Jakież jeszcze nowiny przynosisz nam z hinterlandu?... — pytał Zbyszek przyjaciela, gdy znaleźli się na kwaterze i zasiedli do obiadu.

— Pierwszy bataljon odchodzi do Jabłonnej...

— Nic nowego... wiemy już...

— Mówił mi sierżant Apel, że zaraz po powrocie do koszar pójdziesz do raportu...

— Do raportu?... — dziwił się Zbyszek. — A za co?...

— Nie mówił w jakiej sprawie, ale się domyślam...

— Czegóż się domyślasz?...

— Że to niby z powodu twojego „przeniesienia się“ do pułku...

— O to?... Możliwe... Ale to nic strasznego... A ciebie nie wezwali?...

— Nie...

— Hm... Ta pewnie... Za tobą się nikt nie ugania... — mruknął Zbyszek.

Tadzik podczas ostatniej wymiany zdań, z podełba patrzył to na jednego, to na drugiego, nie mogąc skapować, za co właściwie Zbyszka wzywają do raportu?... Bo przecież za zwykle przeniesienie

się z hinterlandu na front, to chyba nie?... Był jednak dyskretnym i nie dopytywał się o szczegóły... Był zresztą bardziej zaabsorbowany własną osobą, której jakoby przypadł w udziale świetny tytuł pierwszej szarży po Panu Bogu... Bał się tylko, czy go nie biorą na kawał... Ale powoli zaczynał już wierzyć w swojego frajtra...

— A może kawy z nami się napijesz?... — proponował Stefkowi po spożyciu obiadu.

— Dziękuję... Cóż was będę opijał... Musi wam wystarczyć przecież na kolację i na śniadanie... Zresztą muszę się zabierać, bo mi wóz ucieknie, a kuśtykać tak, aż na Zamarstynowską, to wątpliwa przyjemność...

— Szkoda żeś się wczoraj nie przytaszczył... — wtrącił Zbyszek, odzyskawszy humor. — Byłby cię mlekiem poczęstował...

— Skądże tu mleko macie?...

— Tadzia spytaj... Dla tej małpy wszędzie jest kraj mlekiem i miodem płynący... Jakże to, panie frajter, było z tem mlekiem?... Powiedz mu, litościwa osobo, jak się mleko fasuje?...

Tadzik jednak się wzbraniał opowiedzieć historję z krową... Wyrećzył go więc Zbyszek, zaznajamiając przyjaciela z mleczną przygodą świeżo upieczonego frajtra...

— Cha, cha, cha!... — parsknął Stefek. — Byczy kawał!... Cha, cha, cha!... A niech cię... mleko zaleje!... Cha, cha, cha!... Ale muszę dymać, bo mi wóz drapnie... Dejcie pyska... Serwus. Zbychu!... Trzymaj się ciepła!... Serwus, panie frajter!... Dej

jeszcze raz pyska... A niech cię... mleko zaleje!...  
Cha, cha, cha!... Serwus, batjary!...

Uścisnęli się i Stefek pokuśtykał do prowiantury, by się z nią zabrać na Zamarstynowską...

— No i cóż ty, panie frajter?... — poklepał Zbyszek przyjaciela, gdy zostali sami. — Spełniło się wreszcie twoje marzenie?...

— Tak wygląda, jak niby... Pozostaje mi jeszcze tylko zginąć na polu chwały... — uśmiechnął się Tadek jakoś dziwnie poważnie.

— Zdaje ci się, że tak łatwo można zginąć?... Czasem tak się oberwie, że ani żyć, ani umierać!... Człowiek morduje się, kona, a skonać nie może... Myślisz, że giną ci, co tego chcą?... Ja już trzeci rok obijam się po różnych frontach i ani mnie jeszcze nie drasnęło... Czy to nie wstyd?... Można się wściec, co?... Nikt przecież nie uwierzy, że się było na wojnie, skoro się wraca ze wszystkimi całymi gnatami... A tu ci, jakby na złość, żadna kula się nie czepli!...

— No... ze mną tak nie będzie... Jak już naprawdę jestem frajtre, to niedługo będę czekał... Przekonasz się...

— Durny jesteś, typku smętny!... Jeszcze jedna taka awantura, jak 17-go lutego, a zostaniesz kapralem... I co wtedy?...

— Eee tam!... Nie będę kapralem... Zreższą!... — uśmiechnął się. — Pal djabli takie życie!... Ujrzymy się w błękie!... Chodźmy do cerkwi. Zagram sobie na fisharmonji...

Wdziali płaszcze i ruszyli do małej cerkiewki... Opuszczona przez parocha świątynia tonęła w półmroku... Wąskimi, krętymi schodkami przedostali

się na chór, gdzie stała pokryta grubą warstwą kurzu fisharmonja, zastępująca organy.

Tadzik stanął nad instrumentem, podniósł wieko i nacisnął klawisze, pompując jedną nogą powietrze... O sklepienie pustej cerkiewki odbiły się tony minorowego akordu... Wsłuchany w zamierające echo, przysiadł Tadzik na taborecie, rozkładając palce na klawiszach... Przeczekawszy chwilę, schylił się nad klawiaturą, naciskając nogami pedały... Mroczną cerkiewkę zalały smętne akordy Szopenowskiego marsza żałobnego...

Przejęty dziwnem usposobieniem przyjaciela, stał Zbyszek nieruchomo, oparty o krawędź drgającego żałobną pieśnią instrumentu... Z pod oka obserwował skupioną twarz Tadzika... Nie chcąc mu psuć nastroju chwili, przeczekał spokojnie, aż skończył...

Gdy po ostatnim akordzie Tadzik wolno zdjął ręce z klawiatury, Zbyszek nie wytrzymał...

— Słuchaj no, Tadziu... — wybuchnął. — Marsza pogrzebowego już sobie odegrałeś... Możebyś się jeszcze przespacerował na Łyczaków i zamówił sobie trumnę?... Pieska twoja niebieska!... Sakramencka potworo!... Djabli nadali z tą nominacją!... Żeby cię już raz szlag trafił na tem polu chwały!...

Tadzik uśmiechnął się tak jakoś dziwnie dobrotnie-melancholijnie i poklepał przyjaciela po ramieniu...

— Czasem, widzisz, taka chwila człowieka napadnie... — mówił cicho. — Lubię Szopena... A ten marsz specjalnie... Cudowne akordy...

— Nie przeczę... Ale ja czasem wolę naszą zwyczajną polkę „Husia-Siusia“... Lepiej działa na ner-

wy i humor, niż Szopen... Chodźmy już stąd, bo i tak dziś nic przyzwoitego nie zagrasz... Lepiej przespać się... To ci doskonale zrobi na twojego frajtra... Zajrzymy tu jeszcze, gdy oswoisz się ze swoją nową szarżą...

W milczeniu opuścili starą cerkiewkę...

Po powrocie do „salonu“ humory jakoś nie poprawiły się jednak... Ułożyli się na kanapie, pograżeni każdy w swoich myślach: Zbyszek o czekającym go raporcie, o wybuchu magazynów amunicji, o „Lucku“, — a Tadzik o niespodziewanej nominacji, która przejmowała go jakimś dziwnym smutkiem... Ale zmęczeni uprzedniem całonocnem pogotowiem wkrótce posnęli...

Mimo spodziewanych na linii awantur noc minęła znów spokojnie, bez żadnych niespodzianek... Nad ranem dopiero wzmożła się działalność ukraińskiej artylerji... Wiara jednak zbytnio tem się nie przejmowała, przyzwyczajona do tego rodzaju porannej muzyki.

Około dziewiątej do ryku armat przyłączyło się gęste poszczekiwanie broni ręcznej i maszynowej... Na odcinku śnać zanosilo się na coś poważniejszego, gdyż strzelanina z każdą chwilą przybierała na sile i tempie...

Zakwaterowana też na Zniesieniu półkompanja 13-ki, brała w tym czasie spokojnie kąpiel... Taką prawdziwą kąpiel w miejscowej łaźni... Nie zdążyła jednak wiara porządnie się wyszorować, gdy po całym Zniesieniu rozległy się gwizdy i krzyki alarmowe... Wciągając brudną bieliznę na mokre jeszcze ciało, wyskakiwali czwartacy z łaźni... W biegu wcią-



gali bluzy i inne części garderoby, klnąc na czem świat stoi, pchających się w gościnę ukraińców... Wkrótce cały oddział rezerwowy zebrał się we wzorowym ordynku, gotowy na rozkazy dowódców.

Zbyszek z przyjacielem stali na lewym skrzydle za maszynką, którą dowodził Julek...

— No, batjary!... Przespacerujemy się do Zboisk... — odezwał się pchr. Mizgalewicz, obchodząc swoją gromadkę.

— Nie szkodzi, panie podchorąży!... Będzie obiad lepiej smakował...

— Musicie zarobić sobie na gulasz...

— Sie wi!... A co jest na linji, panie podchorąży?... — dopytywała się wiara.

— Pchają się znów hajdamaki do Zboisk... Liczą pewnie na wybuch amunicji... Chcą jeszcze raz szczęścia spróbować...

— Nie szkodzi!... Niech próbują!... Przypomnimy im Żółkiewską Rogatkę!...

Pchr. Mizgalewicza odwołali na odprawę do ppor. Lena, który dowodził rezerwą... Po krótkiej naradzie oficerowie wrócili do swoich oddziałów, nakazując natychmiastowy wymarsz do Zboisk...

Z popularną na ustach piosenką:

Tam w Zboiskach jest dolina,

W niebie będzie Ukraina!...

wyruszyła kolumnienka ze Zniesienia...

Gdy wydostali się w szczere pole, rozwinęli tyraljerę, pędząc naprzelaj wprost na Zboiska... Nie zważając na gęste poświsty i bzykania pocisków, pędziła wiara ochoczo naprzód... Po ominęciu Kościarni, która była dostatecznie obsadzona, przy-



śpieszyli kroku, posuwając się szybko naprzód bez jednego strzału... Należało szanować amunicję wobec zniszczenia magazynów... Wkrótce zasilono cofającą się ze Zboisk linię... Po kilkuminutowym odpoczynku, podczas którego uporządkowano oddziały, poderwała się linia z najeżonemi bagnietami...

Ukraińcy snąć zdaleka poznali z kim mają do czynienia i rychło wzięli nogi za pas, pędząc z powrotem do Malechowa... Woleli uniknąć zbyt bliskiego spotkania z czwartakami...

Wymyślając umykającym hajdamakom za tę zabawę w kotka i myszkę, wpadła wiara do swoich okopów, szukając w nich zaczajonego wroga... W rowach jednak nie było śladu po gościach z Malechowa...

Przez cały czas kontrataku pędził Zbyszek w pierwszej linii wraz z Tadzikiem i Julkiem... Ale wobec błyskawicznej szybkości przeciwnatarcia i niespodziewanego, natychmiastowego odwrotu ukraińców, nie zaszła ani razu potrzeba użycia w akcji karabinów maszynowych... Skończyło się na przetransportowaniu maszynek ze Zniesienia do Zboisk... Dopiero po zajęciu stanowiska na Brysiowej oddali kilka seryj za uciekającymi do Malechowa ukraińcami.

Cały ten kontratak bez strzału prawie nie podobał się ani Tadzikowi, ani Wojtkowi... Zwłaszcza pierwszy miał poważny powód do gderania, jako że tym razem jemu przypadł w udziale zaszczytny tytuł celowniczego, na którego barkach spoczywa zawsze podczas akcji niezbyt lekka, ani wygodna podstawa karabinu maszynowego... A wobec braku po-

trzeby użycia maszynek podczas natarcia, nie mógł sobie naturalnie nawet postrzelać... Był więc podwójnie pokrzywdzony...

— A niech to jasna krew zaleje!... — stękał. — Sakramenckie potwory!... Wiali, jakby im kto soli na ogon nasypał... Pieskie syny!... I poto ja taki kawał drogi taszczyłem podstawę!... Niech to gęś kopnie!... Pfuj!... — splunął.

— Ugryź się, Tadziu, w język i stul swoją fasowaną buzię, panie frajter... — mitygował go Zbyszek. — Nie masz lepszych zmartwień?...

— Taj pewnie, że nima... — wtrącił Harasymiec. — Jak już jest frajterem, to mu si giebiruje zaszczytna śmierć na polu chwały...

— To mu nie ucieknie... — odparł Zbyszek. — Odwiedził ich pchr. Mizgalewicz.

— Jakże wam leci, batjary?...

— Jak krew z nosa... — odezwał się Tadzik.

— Cóż cię tak w nos pokąsało, panie frajter?...

— Martwi si, że jeszcze nie zginął na polu chwały... — dogryzał mu Harasymiec.

— O, to ciężkie zmartwienie, bardzo ciężkie!... — uśmiechnął się podchorąży. — Ale nie bój nic, Tadziu!... Na każdego przyjdzie kolejka... Jak Pan Bóg dopuści, to i na ciebie wypuści...

— Cóż poczniemy z tak pięknie rozpoczętym dniem, panie podchorąży?... — spytał Zbyszek, by zaoszczędzić przyjacielowi dalszych drwin.

— Czy tu zostajemy?... — odezwał się Julek, majstrujący dotąd przy maszynce.

— Zostajemy...

— Możeby tak na Malechów się wybrać, panie podchorąży?... — proponował Zbyszek.

— Taaa... Żeby to!... Radaby duszyczka do raju, taj jeszcze hajdamaki nie dają... Narazie musimy dobrze pilnować Zboisk, bo gdzieindziej jest trochę gorzej... Pod Gródkiem podobno przerwali nasze linje i znów jesteśmy odcięci od świata... Ale my si tu ni damy, co, batjary?...

— Sie wi!... My si ni damy!...

— Grunt nie przejmować się i zważać na zakrętach...

— I dobrze się odżywiać... — dokończył Harasymiec.

— Jak jest czem... Kuchnia przyjedzie, bo zawiadomilem już Zamarstynów o naszej przeprowadzce... No, batjary!... Trzymajmy się więc i nie dajmy się!... Przy maszynie zostawić dyżurnych, a reszta może pójść do karczmy, ale tylko do wieczora... Skoro się tylko ściemni, — wszystko na stanowiska... Sytuacja jest poważna i niewiadomo, gdzie nam przyjdzie nocować...

— Żeby to w Malechowie... — westchnął Tadzik.

— No!... Trzymajcie się, batjary!... Serwus!...

— Cześć, panie podchorąży!...

Po odejściu dowódcy, Julek podzielił dyżury, zostawiając przy maszynie Zakrzewskiego z Wojtkiem... Reszta zabrała się do karczmy, by odetchnąć po forsownym spacerze ze Zniesienia...

## XVII.

Ponowne odcięcie Lwowa od świata nie wywarło większego wrażenia ani na obrońcach, ani na mieszkańcach miasta, przyzwyczajonych od kilku miesięcy do najrozmaitszych niespodzianek... Corso na Karola Ludwika było tak samo rojne, jak za najlepszych czasów, a teatr urzędował bez przerwy codziennie przy bitych kompletach... Jedynie brak żywności, wody bieżącej w wodociągach i światła elektrycznego dawały się nieco we znaki lwowianom...

Obrońcy miasta ten chwilowy sukces ukraińców odczuli przedewszystkiem... żołądkami, którym na wszelki wypadek zmniejszono dzienny fasunek... Nie wpływało to bynajmniej na humory żołnierzyków, którzy sobie resztę porcji dośpiewywali lub dogwidywali...

Ukraińcy natomiast nie omieszkali zato zwiększyć codziennej porcji granatów, wysyłanych regularnie w rozmaite punkty miasta, jako niby zapowiedź rychłej wizyty... Podejmowane jednak kilkakrotnie próby ponownego wtargnięcia do miasta spełzały na niczem, dzięki dzielnej postawie „gwizdających“ obrońców...

Od strony Zboisk ukraińcy wogóle zaniechali wszelkich prób przerwania linii czwartackiej... W tym

okresie odcinek Zboiska-Kościarnia był najspokojniejszy, co ogromnie martwiło czupurnych czwartaków, zmuszonych do przetrwania w biernym oporze prawie całe dwa tygodnie...

Krótkotrwały był jednak ten ostatni sukces ukraińców... W drugiej połowie marca nadeszły z odsieczą bataljony poznańczyków pod dowództwem płk. Konarzewskiego... Już w pierwszym starciu pod Gródkiem Jagiellońskim ukraińcy dali za wygraną, otwierając naoścież dzielnym poznaniakom drogę do Lwowa... 20 marca wkracza to „rogate” wojsko do miasta, entuzjastycznie witane przez mieszkańców.

Sam fakt, że z dalekiego Poznania, polskiego już Poznania, przybyli, by bronić Lwowa przed hajdamacką przemocą, dodawał wszystkim sił i energii do wytrwałości i dalszej walki... No bo jakże to?... Poznań, tyle lat germanizowany, wyrwał się już ze szponów pruskich i połączył się z Macierzą, — a Lwów, ten prastary lwi gród polski, musi jeszcze walczyć z najeźdźcą?...

Zdawało się wszystkim, że nowe, świeże powietrze, tchnące odradzającą się Polską, przywieźli ze sobą poznaniacy... No!... Teraz wszystko się odmieńni!... Pójdzie, jak z płatką!... Teraz oddziały na wyścigi będą pędzić hajdamaków!...

To kochane wojsko w barwnych konfederatkach było rozchwytywane... Za honor sobie poczytywano gościć w swoim domu takiego rogatego „pieroną”... Ale zaś pierony niedługo mogli w mieście popasać, gdyż musieli wzmocnić bardziej zagrożone punkty przedmieść...

Nadejście odsieczy ulżyło nieco i czwartakom, umęczonym w tym okresie bezustannem czuwaniem w Zboiskach i Kościarni... Zmienieni przez 1-szy pułk strzelców lwowskich, wrócili na Zamarstynowską, by odetchnąć, wypaść się i upodobnić do ludzi...

Zaraz po powrocie do koszar zawiadomiono Zbyszka, że ma się stawić do raportu... Zgłosił się więc o wyznaczonej godzinie w kancelarii kompanijnej i zameldował się dowódcy por. Krzyszkowskiemu.

— Jak to było, panie plutonowy, z tym waszem przeniesieniem do pułku z intendenty w Lublinie?...  
— rozpoczął indagację dowódca kompanji.

— Przecież zgłosiłem się do pułku, panie poruczniku... — udawał Zbyszek zupełnego greka.

— Ta ja to wim. żeście się zgłosili... Ali ja si was pytam. jak to było z przeniesieniem?...

Zbyszek spojrzał dowódcy prosto w oczy, przeklnął raz i drugi ślinę, zaczerwienił się po uszy i po chwilowem milczeniu wybuchnął podniecony:

— Ta co tu, panie poruczniku, owijać w bawełnę... Melduję posłusznie, że zdezerterowałem... z intendenty...

— Taaaak?... Więc zdezerterowaliście?...

— Tak jest, panie poruczniku!...

— A wicie. czem to grozi?...

— Panie poruczniku, melduję posłusznie, że zdezerterowałem na front. Gdyby odwrotnie, z frontu na hinterland... no to... kula w łeb...

— Widzisz, jaki mi filozof!... A dlaczego nie meldowaliście o tem odrazu, gdyście do pułku przyszli?...



— Myślałem, panie poruczniku... myślałem... że... nie przyjmą mnie... jako dezertera...

— A więc sumienie was jednak gryzło?...

— Ta co miałem robić, panie poruczniku?... — denerwował się Zbyszek. — Prosiłem kilkakrotnie o przeniesienie do pułku, na front... Był nawet rozkaz, żeby legioniści zgłosili się do swoich pułków... Trzy razy stawałem do raportu, żeby mnie puścili... Odmówiono mi... Za trzecim razem zameldowałem panu pułkownikowi, że zdezerteruję, jak mnie nie puszczą... Zbeształ mnie i kazał zamknąć... Cóż miałem robić?... Zdezerterowałem... Inaczej nie szło, panie poruczniku!...

— Hm... Tak więc sprawa wygląda... Meldowaliście przy raporcie, że zdezerterujecie?...

— Tak jest, panie poruczniku... Kazał mnie za to pan pułkownik zamknąć...

— No dobrze... A powiedzcie mi teraz, jak jest z Paluchowskim?... On przecież z wami przyjechał?... Też zdezerterował?...

— Nie, panie poruczniku... To wcale nie stary żołnierz... To ochotnik...

— Jakto?... Rekrut?...

— Niby, panie poruczniku!... Chciał chłopak do wojska, więc zabrałem go ze sobą... Szkoda mi było go zostawić na hinterlandzie w rekruckiej kompanji...

— A niechże was!... A z dokumentem podróży jak?...

— Panie poruczniku... melduję posłusznie... to prawdziwy dokument... Znalazłem go kiedyś in blanco... był podpisany... z pieczęcią...



— A niechże was Pan Bóg kocha!... — uśmiechnął się por. Krzyszkowski, którego widocznie przekonały wyjaśnienia Zbyszka.

Spojrzał na trzymany w rękę papier: była to karta dezercyjna przesłana z Lublina wprost do 4 p. p. Leg... Świadczyło to, że dawni przełożeni Zbyszka byli dokładnie poinformowani o jego zamiarze i kierunku dezercji... Pokrywało się to w zupełności z wyjaśnieniami, udzielonemi przez Zbyszka.

— Hm... hm... Trzebaby coś z tym fantem zrobić... — mruknął jakby do siebie por. Krzyszkowski.  
— Muszę was jednak ukarać...

— Tak jest, panie poruczniku... — wyprężył się Zbyszek, patrząc prosto w oczy dowódcy.

— Areszt koszarowy aż do wymarszu na odcinek... — zdecydował po chwilowym namyśle porucznik, a zwracając się do stojącego obok sierżanta służbowego, wydał mu dyspozycje: — A na kartę dezercyjną odpiszemy, że plutonowy Wirecki znajduje się w kompanji i został ukarany przez dowódcę we własnym zakresie.

— Rozkaz, panie poruczniku!... — stuknął obcasami sierżant Apel.

— Możecie odejść... — skinął dowódca Zbyszkowi.

— Rozkaz, panie poruczniku... Ale... Panie poruczniku... Czy będę mógł jeszcze dzisiaj wyjść do miasta?...

— Dzisiaj jeszcze chcecie wyjść?... No, dobrze... Zaczniecie karę od jutra...

— Rozkaz, panie poruczniku!... Dziękuję!...

Zasalutował, wykręcił się na pięcie i opuścił kancelarię... Z lekkim sercem wrócił na salę... Pragnął jak najprędzej zjeść obiad i popędzić do miasta, by wykorzystać pozostałe mu jeszcze kilka godzin swobody... Prawie dwa tygodnie nie widział „Lucka”... Nie wie nic co się z nią dzieje... A w perspektywie z tydzień kasarniaka i conajmniej drugie tyle na odcinku...

W sali otoczyli go przyjaciele, dopytując się o powód wezwania do raportu...

— Tyle wam powiem, że przez cały czas pobytu w koszarach mogę każdego z was zastąpić w służbie inspekcyjnej — wyjaśniał im. — Mam kasarniaka aż do wymarszu na odcinek...

— Ki djabeł?... Dlaczego?... Cóżeś przeszkrobał?... — posypały się pytania.

— Jutro wam powiem... — wykręcał się Zbyszek, grzebiąc w tornistrze. — Długi kawał... Śpieszę się do miasta, bo dziś mam jeszcze wolne...

— Ta gadajże, mało jedna, coś przeszkrobał?... Nastąpiłeś komu na nagniotek?... — dopytywała się wiara.

— Ta gdzie tam!... Przyskrzynili mnie za dezercję...

— Za jaką dezercję?... Kiedyś ty zdezerterowałeś?... — dziwiło się bractwo.

— Jak do kompani przyszedłem ze swoim „szlafkamratem”, Stefuniem... Gdzież ta kuter-noga?...

— Nie wrócił jeszcze z opatrunku... Ale gadajże o tej dezercji...

W kilku słowach opowiedział im, jak się dostał z hinterlandu do Lwowa... Wiara się zaśmiała, gdy Zbyszek przedrzeźniał pułkownika z Lublina, któremu meldował, że zdezerteruje...

— Wiecie już teraz wszystko... Dajcie mi więc spokój... Od jutra mogę się z wami bawić... Ani czasu, ani ochoty mi nie zabraknie... Tadzio!... — zwrócił się do przyjaciela. — Przynieś dla mnie obiad, bo muszę jeszcze się wyszorować i przebrać...

— Zrobi się... Pójdziemy razem?...

— Wołałbym nie... Muszę do szpitala zajrzeć... Ale zato jutro możemy sobie razem... posiedzieć w koszarach...

— Jutro to ja wolę nie...

Głos kaprała dziennego, wzywającego na obiad, wypędził bractwo do kuchni...

Zbyszek zajął się porządkowaniem swojej garderoby... Ale mimo usilnych starań nie zdołał wyważyć z munduru olbrzymich plam po oliwie, której stale używał do „maszczenia“ maszynki... Zabrał się więc do szorowania karku, poczem włożył czysty, biały kołnierzyk, który wąskim paseczkiem wyłaniał się z pod kołnierza munduru...

Wkrótce powrócił Tadzik z menażkami, stawiając przed Zbyszkiem przyniesiony obiad...

— Cóż się tak wyelegantował? — zagadnął przyjaciel, lustrując go od góry do dołu. — Nie wybierasz się czasem z oświadczeniami?...

— Czy to ma być dowcip?... — odciął mu Zbyszek, zabierając się do obiadu. — Połechtaj mnie...

— Wyglądasz tak, jakbyś się gdzie wybierał z poważnymi zamiarami... Może ci bukiet spatrzeć?...

— Głupiś, idjotman... Zatkaj sobie ten fasowany pysk gulaszem, a po obiedzie nie zapomnij geby wyszorować piaskiem...

Tę przyjacielską pogawędkę przyobiednią przerwał Stefek, który był wrócił z opatrunku.

— Cóż sobie tak familję po kątach rozstawiasz?... — zagadnął, stając przed nimi. — Jakże ci poszło przy raporcie?... — pytał Zbyszka.

— Jak po maśle... Kazał ci się kłaniać porucznik Krzyszkowski...

— Jakto?... — zatrwożył się Stefek.

— Zwyczajnie... Pytał się o twoje „kolijano“ i kazał cię pozdrowić...

— Ta nie strugaj, Zbychu, warjata!... Poco cię wzywali do raportu?...

— Cóżes taki ciekawy?... Masz co na sumieniu?...

— Bodajby ci ten gulasz kołkiem w gardle stanął, mało jedna!...

— Jakiś ty uprzejmy!... Ile respektu masz przed szarżą!... pieska twoja niebieska!... Uspokój się, trąbo jerychońska!... Pytał mnie, jakimi drogami dostałem się do Lwowa... Powiedziałem, jak i co było... Porucznik Krzyszkowski wyraził mi podziękowanie za przybycie do pułku i za zwerbowanie tak dzielnego wojaka, jak ty... A w dowód serdecznego uznania dał mi... kasarniaka bezterminowego... aż do wymarszu na odcinek... I nic więcej tylko tyle...

— Kasarniaka ci tylko dali?...

— Ty byś pewnie wołał, żeby mnie powiesili na latarni?... Przyjaciel, pieska twoja niebieska!...

— A o „relutum“ nie pytał nic?...

— Co się miał pytać?... Nie należy się, czy co?... Przecież my prawie dwa dni byli w drodze...

— A to ci się usmarzyło!... A o mnie nic nie wspomniał?...

— Tak powiedziałem, że kazał ci się pięknie kłaniać... A poza tem, powiada, damy spokój temu mikrusowi, boby się jeszcze pobeczał, a jest niewinny, jak pisarz gminny... Dobrze cię oszacował, co?... Możesz teraz spokojnie pójść po swoją porcję gulaszu... A jakże twoje kolijano?... Gotowe już?...

— W przyszłym tygodniu wrócę już do maszynki... To powiadasz, że mnie... do raportu nie ściągną?...

— Ta za co?... Masz co na sumieniu?... Możesz co zbroił?...

— Myślałem, że jak ciebie, to i mnie... Przecież razem przyjechaliśmy.

— A ciebie za co?... Żeś dęba dał mamusi z pod fartuszek?... Takich wypadków regulaminy wojskowe nie przewidywały dotąd... Nie bój nic, małpiszonie!... Do ciebie zato może tylko tata się dobrać... Ale cię z Lublina tak prędko nie dosięgnie... Idź więc spokojnie po obiad, zanim wiara poleci po repetę...

Stefek, nieco speszony, że tak zignorowano jego ucieczkę z domu do Lwowa, pokuśtykał do kuchni...

— Wyszorujesz mi menażkę?... — zwrócił się Zbyszek do Tadzika po skończonym obiedzie.

— Jak się da, to się zrobi...

— To zrób, a zafasuj sobie zato moją kolację...

— Ale chyba wrócisz na noc?...

— Chyba, żebym nie wrócił...

Wdział płaszcz, przejrzał się w lusterku, spraw-

dził blask wypucowanych butów, ściągnął nad biodrami pas z bagnetem i włożył nabakier swoją maciejówkę.

— Serwus, Tadziu!... Trzymaj się ciepła i nie daj się skrzywdzić...

— A ty się nie daj naciągnąć... na ołtarz...

— Pocałuj psa w nos i powiedz kuku... — odciął się Zbyszek.

Machnął z gracją dwoma palcami przed daszkiem maciejówki i wykręcił się na obcasie...

Opuściwszy koszary, pośpieszył Zbyszek do szpitala, by odwiedzić „Lucka“... Początkowo zamierzał kupić po drodze kwiaty dla „mamusinki“, jak ją jeszcze w myślach nazywał... Przystanął na chwilę przed wystawą kwiaciarni, ale przypomniał sobie docinki Tadzika... Wzruszył więc ramionami...

— Cóż to?... — pomyślał. — Fircyk w zalotach jestem, czy co?...

Poszedł dalej, nucąc sobie popularną piosenkę o „łaziku, co z frontu zmyka i nosi długie spodnie“...

Jakoś dziwnie lekko było mu na sercu po raporcie... Wlepiona mu kara rozgrzeszyła jego żołnierskie sumienie, z którym bądź co bądź nie był w zupełnym porządku... A te kilka dni aresztu koszarowego, to przecież nie jest znowu taka straszna kara... W każdym razie niezbyt wysoka cena za odzyskany spokój i oczyszczenie sumienia...

Różowo nastrojony wszedł Zbyszek do szpitala... Przed drzwiami sali, do której zmierzał, spotkał siostrę, którą był poznał za poprzednich odwiedzin...

— Całuję rączki... — zasalutował.

— Cześć, obywatelu... Cały jesteście?...



— Złego djabli nie biorą...

— Do „Głowackiego“, co?... — uśmiechnęła się siostra znacząco.

— Ano niby... Jakże się ma ten smyk?...

— Ta joj... Jak si pan wyraża?...

— Przepraszam, siostro... Tak mi się jakoś wyrwało... Jakże tam panna Głowacka?...

— Taj dużo lepiej.. Gorączki już nima... Z głową prawie że dobrze, a ramię ładnie si goi...

— A niema obawy o rękę?...

— Taj jaka obawa może być?!... Już teraz nima obawy...

— Chwała Bogu!... — odetchnął Zbyszek. — Serdecznie siostrze dziękuję za dobre wiadomości... Całuję rączki...

— Taj nima za co... — uśmiechnęła się, mijając go.

Ostrożnie otworzył drzwi i cichutko wślizgnął się do niewielkiej, jasnej sali... Wszystkie łóżka, stanowiące tu jedyne umeblowanie, były zajęte... Poszukał oczami znany sobie kącik pod oknem i spostrzegł swoją „znajduchę“, osłoniętą czytaną gazetą... Podszedł na palcach...

— Serwus Lucek... — odezwał się przyciszonym głosem.

— Zbyszek!... Serwus... — uśmiechnęła się do niego, wyciągając swoją zdrową rękę. — Tak dawno cię nie było...

— Dzisiaj rano wróciliśmy dopiero z odcinka...

— Cóż tam słyhać na linji?... Czytałam właśnie komunikaty o sytuacji... Fajnie się spisali pierony... Porządne lanie sprawili hajdamakom... Cóż



tam słyhać w pułku, w Zboiskach, w Kościarni, — w tych naszych kochanych stronach?...

— Ta co tu dużo gadać, jak niema o czem mówić!... Same stare śmiecie!... Już mi się sprzykrzyło to ciągle wycieranie tych samych kątów!... Zasiadzieliśmy się w tych dziurach...

— A nie ruszycie naprzód?...

— Coś tam gadają... Jak się ociepli mamy pójść na Żółkiew. Czekaj tatka latka!... Takie austriackie gadanie!... Gdyby nas teraz ruszyli, toby się człowiek przynajmniej zagrzał... Taka to głupia wojna!... Ni pies, ni wydra!... A do tego jeszcze wybuch amunicji!...

— Aleśmy tu też pietra mieli! Myśleliśmy, że się zawalimy! Wszystkie szyby nam w oknach potłukło.

— Byliśmy wtedy na Zniesieniu... A na trzeci dzień przepędziliśmy znowu hajdamaków ze Zboisk...

— Znowu się tam pchali?...

— Próbowali, ale szybko zwiali... Nie mają szczęścia do tych Zboisk...

— Duże mieliście straty?...

— Prawie, że żadnych... Jeden czy dwóch lekko draśniętych z 13-ki... A jakże z twojem ramieniem?...

— Lekarz zapewnia, że się doskonale goi...

— A wogóle, jak się czujesz?...

— Świetnie... Jedynie zmiany opatrunków dają mi się we znaki... Mówił mi dzisiaj lekarz, że za jakie 3—4 tygodnie będę gotowa.

— To jak przyjdę następnym razem chyba cie już nie zastanę w łóżku?...

— Kiedyż ty zamierzasz mnie znowu odwiedzić?... Za miesiąc?...

— Jak dobrze pójdzie, to może i nie wcześniej...  
— Dlaczego?... Czy wychodziecie ze Lwowa?...  
— Gdzie tam!... Tylko tyle, że mam kasarniaka od jutra aż do wymarszu na linię...

— Cóżes ty tam znowu przeskrobał?...  
— Gdzie ci tam znowu?... To jeszcze ten stary grzeszek... Za dezercję.

Opowiedział jej przebieg dzisiejszego raportu...  
— Chwała Bogu, że się tylko na tem skończyło!... — uśmiechnęła się. — Masz szczęście!...

— Podobno! Ja też myślałem że będzie gorzej...  
— A twój przyjaciel?...

— Jego przecież nikt tak gorliwie nie poszukiwał... Chyba matka... Ale za dezercję od mamusi jeszcze w wojsku nie karzą... Swoją drogą jestem zadowolony, że się już ta sprawa skończyła... Mam już teraz czyste sumienie... Jestem rozgrzeszony...

— Jednak cię gryzło sumienie?...  
— Zawsze to przecież nie było w zupełnym porządku... Jakże twoje sprawy stoją?... Miałaś jaką wiadomość o rodzicach?...

— Nic... Boję się o ojca... Był trochę zaangażowany w pracach konspiracyjnych... Niewesoło musi im tam być pod rządami hajdamaków...

— Słyszałem, że tamte strony mieli obsadzić rumuni...

— Rumuni?... A ci skąd do Nadwórnej?... Zresztą byłoby to lepsze, niż rządy hajdamackie... Z jednego jestem zadowolona, że nic o mnie nie wiedzą... Pomyśl!... Gdyby się tak matka dowiedziała, że byłam w wojsku, że jestem ranna i wogóle... Dopiero miałabym się zpyszna!... Ale by ci awantura była!...

— Och ty, hajduczku!... — uśmiechnął się Zbyszek. — Masz stracha przed mamusią?...

— Eee tam, stracha!... Martwiłaby się... Ale ja przecież jestem też rozgrzeszona, nieprawda?...

— Rozgrzeszona?... Mało... Gdyby w naszej młodej armji istniały jakieś ordery, dostałabyś na pewno najwyższy...

— Co tam po świedelkach!... Grunt to świadomość spełnienia obowiązku... Świadomość, że do gmachu budującej się Polski dorzuciłam też cegielkę...

— Ulepioną z własnej krwi... — wyszeptał Zbyszek w zadumie, ujmując zdrową rękę dziewczyny w swoje dłonie. — Wiesz, co mnie gryzie?... Że do tego gmachu budującej się Polski nie mogłem dotąd dorzucić swojej cegielki krwią zroszonej...

— Jakto?... A twoja służba w Legionach?... A teraz?...

— No tak... Ale krwi jeszcze nie przelałem... Tyle przecież natłukłem się po rozmaitych frontach... w takich nieraz bywałem opałach, — ale ani kropli krwi swojej nie przelałem... Czy to nie jest pech?...

— No wiesz?... Też zmartwienie!...

— Zmartwienie, nie zmartwienie, ale zawsze głupio człowiekowi... Przecież nikt mi nie uwierzy, że byłem i tu, i tam, że biłem moskali, austriaków, ukraińców, jeśli w końcu powiem, że mam wszystkie gnaty całe, że ani razu nie byłem ranny... Taki Stefek!... Ledwie się pokazał na froncie, już mu nogę przetrącili... I jest teraz bohaterem... A jakże!...

— No wiesz, mój drogi?... Gdyby tak każdy żołnierz musiał być ranny na froncie, to wszystkie wojny prędkoby się skończyły... Ale że też sobie

głowę zaprzątasz takimi bzdurami... Zdaje się, że to wpływ tego twojego przyjaciela. o którym mi opowiadałeś, że pragnie tylko zostać frajtreem i zginać na polu chwały...

— A wiesz, że został frajtreem?...

— No?... I nie zginał jeszcze?...

— Jeszcze nie... Ale przekonany jest, że już niedługo będzie się z nami bawił...

— Powiedz mu, że jest skończonym osłem...

— My go tak czasem nazywamy, niby to wedle jego uszu nieprawdopodobnie długich i odstających, jak u osła...

— Trafnie więc określiłam, aczkolwiek go nie znam i nie widziałam... Powinieneś porządnie natrzeć mu tych uszu, by zanadto nie odstawały i świecić mu przykładem optymizmu...

— Czasem tak się robi... Ale chwilami nachodzą człowieka takie głupie refleksje... Co tu zresztą dużo gadać!... Szkoda kuźde słowo!... Żebyśmy tylko już raz wyruszyli z tych Zboisk!...

Z wyrazem współczucia spojrzała mu w oczy i pogłaskała jego pięść złożoną na kolanie...

— Już pewnie długo nie zagrzejecie w Zboiskach... — pocieszała go. — Ofenzywa napewno wkrótce się rozpocznie na całym froncie... Zawsze to już bliżej końca, niż dalej...

Zamilkli oboje... Skradający się przez okno zmierzch powoli otulał pokój szarą poświatą... Chwila ciszy, przerywana stękaniami i ciężkim oddechem znajdujących się na sali rannych podziałła na Zbyszka jakoś dziwnie nastrojowo... Siedział przy łóżku dziewczyny nieco skulony, trzymając w dło-

niach jej rękę... Ale Zbyszek nie znosił takich chwil „czarująco-mażących“, jak je określał... Wyprostował się więc i poklepał trzymaną rękę...

— Już czas na mnie, Lucku...

— Kiedyż znowu zajrzysz?...

— Czy ja wiem?... Jak Bozia da... Na Zamarstynowie zostaniemy może 5—6 dni, będę więc musiał je odsiedzieć... Potem znowu na jakiś tydzień pójdziemy chyba do Zboisk albo na Zniesienie... Wygląda więc tak, że najwcześniej za jakieś dwa tygodnie...

— Dopiero?...

— Chyba cię już tu nie zastanę?...

— Jak mi tylko lekarz pozwoli, przeniosę się na swoją starą kawalerkę, o ile nie będzie zarekwirowaną...

— Na Zbylikiewicza?...

— Tak...

— To w każdym razie napisz mi do pułku, żebym wiedział, gdzie cię mam szukać...

— Dobrze... Ale i ty daj znać o sobie...

— Jeśli to tylko będzie możliwem... Bywaj mi, Lucku!... Trzymaj się!...

— Do widzenia, Zbyszku... Uważaj na siebie...

— Nie bój nic!... Złego djabli nie biorą... Serwus!...

— Paaa... Zbyszku!...

Dziwnie jakoś wzruszonym wydał mu się głos dziewczyny... Spojrzał na nią wnikliwie, ale zapadający zmierzch nie dozwolił mu nic dojrzeć... Czuł tylko jej mocny uścisk dłoni... Zwarł więc mocniej

swoje palce wokoło trzymanej dłoni i wyszeptał nad samem uchem rannej:

— Pa... Lusi... —

— Pa... Zbysku... — szeptem też odpowiedziała dziewczyna.

Cichutko, na palcach wysunął się ze sali szpitalnej... Na ulicy odetchnął głęboko i wolnym krokiem podążył w kierunku koszar... Pod wrażeniem sceny pożegnalnej zaczął zastanawiać się nad swoim stosunkiem do dziewczyny... Przypomniawszy sobie pierwszy okres spędzony z „mamusinką“, treść niektórych jej dawnych listów, przygodę na placówce, nazwanej teraz jej imieniem, — zestawiał to wszystko z dzisiejszem pożegnaniem, dociekając czy przyjaźń ich nie ma czasem jakiegoś głębszego podkładu... Myślał, analizował, porównywał, — wreszcie wzruszył ramionami i zanucił sobie:

Co nam marzyć o kochaniu,

O bohdance i róż rwaniu?...

Dla nas niema róż...

My, jak ptacy na wędrowce,

Dziś tu, jutro na placówce

Może staniam już?...

## XVIII.

Wymierzona Zbyszkowi kara za dezercję skończyła mu się w pierwszych dniach kwietnia, kiedy wraz z plutonem znowu wyruszył do Zboisk... Tym razem poszedł i Stefek, który zdążył wykurować swoją postrzeloną nogę...

Wobec zreorganizowania znajdującej się we Lwowie części pułku przez wysłanie do Jabłonnej pierwszego bataljonu, pozostałe oddziały zyskały znacznie na uzbrojeniu... W szczególności skorzystała kompanja karabinów maszynowych, rozporządzając obecnie 18-ma maszynkami, zamiast dotychczasowych 8-miu... Każdy więc pluton był teraz wyposażony w cztery maszynki... Na reorganizacji tej wygrał Zbyszek na czysto, gdyż, jako stary podoficer, zaawansował na karabinowego. Również i Harasymiec otrzymał jedną maszynkę... Obecnie więc maszynkami dowodzili Żakowski, Hercog, Harasymiec i Zbyszek, przyczem ostatni miał w swojej maszynie całą dawną gromadę Żakowskiego, który otrzymał nową obsługę z 1-szej kompanji.

Tak zreorganizowany i wyposażony pluton odmaszerował do Zboisk w nadziei, że wkrótce wyruszą na Malechów, do czego wiara ogromnie się



palila... Cóż, kiedy po przełamaniu przez poznania-  
ków pierścienia ukraińskiego pod Gródkiem Jagiel-  
lońskim, nastąpił znowu nudny stan wyczekiwania...

Z jednej i drugiej strony frontu czyniono gorącz-  
kowe przygotowania do stanowczych działań, ale  
rozpoczęcie ich odkładano z dnia na dzień...

W Zboiskach sytuacja pozostawała bez jakiej-  
kolwiek zmiany. Na tym skrawku frontu ukraińcy  
zachowywali się ze specjalnym respektem. Zdarzało  
się, że przez kilka dni i nocy nawet patroli swoich  
nie wysyłali... Cała wojna ograniczała się tu do  
„przyjacielskiej“ wymiany strzałów... Czasem, tak  
od niechcienia, przyleciało do Zboisk kilka granatów  
i min, ryjąc głębokie leje w poszarpanej glebie...  
Niekiedy miały miejsce przyjacielskie pogawędki  
telefonem bez drutu, a nawet osobiste spotkania wal-  
czących stron, bynajmniej nie we wrogich zamia-  
rach, ale w celu handlowej wymiany żołnierskich  
artykułów pierwszej potrzeby...

Zbyszek dziękował Bogu, że powrócił na od-  
cinek. Skróciło mu to nietyłe dotkliwą, ile nudną,  
karę aresztu koszarowego... Ale i w Zboiskach nie  
było teraz weselej... Ciągłe wartowanie przy ma-  
szynce, pilnowanie od dwóch miesięcy tego samego  
skrawka ziemi, nużyło go bardziej, niż innych... Do  
tego wszystkiego przyłączyły się wiosenne roztopy,  
napęlniające rowy do połowy wodą...

Z utęsknieniem oczekiwała wiara powrotu na  
Zamarstynów lub rozkazu do ofensywy... Tego  
ostatniego spodziewano się tem bardziej, że obser-  
wujące przedpole wedety spostrzegły ożywiony ruch  
na drogach po stronie ukraińskiej... Rozkaz ten

jednak nie nadchodził... Przyszła natomiast wiadomość o mającej nastąpić zmianie załogi Zboisk...

Wobec ogólnego zniechęcenia i znużenia bierną służbą wartowniczo-obserwacyjną, wiara z radością powitała wieść o rychłym odmarszu do miasta... Spodziewano się jakiegoś przegrupowania oddziałów w związku z przygotowywaną ofensywą... Inni przypuszczali, że powracają do Lwowa poto tylko, by wślad za I-szym bataljonem, załadować się do wagonów i wyjechać do Jabłonnej, gdzie koncentrował się i uzupełniał cały 4-ty pułk przed wyruszeniem na front bolszewicki... Wiara już nawet to wolała, niż ciągle dreptanie z placówki na placówkę w Zboiskach...

Ostatniej nocy przed nadejściem niecierpliwie oczekiwanej zmiany bractwo liczyło już godziny, pozostałe do spędzenia w Zboiskach...

Około 4-tej nad ranem Zbyszek, jako komendant maszynki, zbudził drzemiących Tomaszewskiego i Zakrzewskiego i udał się wraz z nimi na stanowisko, by zmienić pełniących służbę Stefka i Tadzika... Na polu lało, jak z cebra... Korzystając z panujących jeszcze ciemności, poszli naprzelaj, mijając pełen wody rów łącznikowy... Brnąc tak po lepkiem gruncie, ujrzeni przed sobą gęste kłęby dymu, unoszące się z miejsca, gdzie znajdowała się maszynka...

Zbyszek przystanął na chwilę, kombinując, skądby się tam dym wziął?...

— Widzicie, jak się tam dymi?... — spytał towarzyszków.

— Dymi się, panie plutonowy... — odparł Wojtek.

— Ki djabeł?... Coby się tam mogło tak kurzyć?... — zachodził w głowę Zbyszek.

Nie mogąc jednak znaleźć żadnego logicznego wytłumaczenia tego niezwykłego w tem miejscu zjawiska, przyśpieszył kroku... W miarę zbliżania się do maszynki zaczął rozpoznawać słabe odbłyски zamaskowanego ogniska... Oburzony w najwyższym stopniu niebывałem lekceważeniem służby, zawołał:

— Hej tam, Stefek!... Tadzika!...

— Ehej!... Jesteśmy!... Cali i zdrowi na ciele i duchu... — odezwał się głos Tadzika.

Zbyszek wraz z towarzyszami skoczyli do rowu...

— Na ciele może jesteście zdrowi, ale na umyśle, zdaje się, niebardzo... — odburknął gniewnie, przystępując do ogniska, przed którym wygrzewał się skulony Stefek.

— Cha, cha, cha!... Cho, cho, cho!... — rozległy się za nim nagłe wybuchy śmiechu Tomaszewskiego i Zakrzewskiego.

— Cóż tak gęby drzecie?... — rzucił im Zbyszek opryskliwie.

— Niech pan plutonowy zobaczy... — odezwał się Zakrzewski. — Cha, cha!...

Rozstąpili się przed nim... Przy słabem świetle ogniska ujrzał Tadzika z przewieszonym przez ramię, lufą na dół, karabinkiem, z rękami wsuniętymi w szerokie rękawy płaszcza, stojącego.. pod parasolką wetkniętą w „stół“ tuż obok maszynki... Tym najprostszym na świecie sposobem chronił się świeżo upieczony frajter przed ulewnym deszczem...

— Cha, cha, cha!... — nie wytrzymał Zbyszek. — A niechże cię jasna krew zaleje!... Cha, cha, cha!... Pod pa-ra-sol-ka!... Cha, cha, cha!... A to ci wojsko świętej Jadwigi!... O, ty potworo sakramencka!... Cha, cha, cha!... Wedeta w pierwszej linji pod parasolką!... Cha, cha, cha!... Ty masz pomysły, frajtrze zatracony!...

Tomaszewski i Zakrzewski zanosili się od śmiechu...

— Cóż w tem śmiesznego?... — bronił się Tadzik.

— A niechże cię gęś kopnie, typku smętny!... Jeden się grzeje przy ognisku, a drugi pod parasolką... A niech was dunder trzaśnie!... I takiego ośła zrobili frajtre!... A jeszcze ma pretensje do chwalebnej śmierci na polu chwały...

— Tybyś wolał, żebyśmy mokli na deszczu, kiedy mamy parasolkę?...

— A niechże cię!... Cha, cha, cha!... Dej mi już spokój z tą parasolką!... Noś ją i przy pogodzie, mało jedna!... Ale ognisko mi w tej chwili zgasić, trąby jerychońskie!... Nie rozumiecie, że odbłask ogniska zdradza ukraińcom nasze stanowisko?...

— Co ci tam zdradza?... Akurat z Malechowa zobaczą!...

— Przecież patrol może podejść?!...

— Gdzie ci tam dziś patrol pójdzie?... Pies z kulawą nogą z budy nie wyjrzy... Zaraz patrol!...

— Ta co tu dużo gadać z takim małpiszonem!... Natychmiast mi zgasić ognisko, pieska twoja niebieska!...

Tadzik zabrał się wreszcie do gaszenia, rzucając do zebranej w rowie kałuży gorejące drewna...

— A z ciebie, — zwrócił się Zbyszek do milczącego przez cały czas Stefka, — to też gagatek!... Stoisz, jak na weselu i udajesz greka!...

— Cóż ja mogłem?... Przecież on jest starszy?!...

— Starszy, starszy!... Aleś ty mógł być mądrzejszy!... Niewiniątko!... Dymaj do karczmy, mikrus jeden!...

— Ta już nie złość się, bo ci to może zaszkodzić na cerę... — wtrącił Tadzik, uporawszy się z ogniskiem. — Już po wszystkim...

— Maszynka w porządku?... — zwrócił się Zbyszek do obejmujących dyżur.

— W porządku, panie plutonowy...

— No to trzymajcie się!... Tylko nie naróbcie mi takiego bałaganu, jak te batjary... Chodźcie... parasolniki!...

— A może im zostawić parasolkę?... — proponował Tadzik. — Poco mają moknąć?...

— A żebyś pękł z tą parasolką!... Ta zostaw im... — uśmiechnął się Zbyszek, wyskakując z rowu.

— Zostawiam wam parasolkę... — odezwał się Tadzik do pozostających na stanowisku. — Tylko po zmianie ją przynieście... Po wojnie oddamy ją do muzeum pułkowego... Serwus!... Trzymajcie się parasolki!...

Świtało już, gdy wracali do karczmy... W izbie zastali wszystkich na nogach. Wobec spodziewanego przybycia zmiany, wiara pakowała manatki... Gdy im Zbyszek opowiedział, jak to Tadzik ze

Stefkiem chronili się przed deszczem na placówce, huragan śmiechu wstrząsnął posadami ledwie trzymającej się karczmy. Wśród śmiechu, żartów i dowcipów, aprobujących pomysł Tadzika, zleciała im szybko ostatnia godzina, pozostała do nadejścia zmiany...

Na krótko przed szóstą przymaszerował drugi pluton 4-tej K. K. M., który tym razem obejmował służbę w Zboiskach...

Mimo całonocnej ulewy, wstał poranek pełen wiosny... Nadbiegły z południa zefirek rozpedził ciężkie, ołowiane chmury deszczowe, ukazując pocieszonym czwartakom w pełnej krasie purpurową tarczę wschodzącego nad Malechowem słońca...

Zbyszek wraz ze swym następcą i świeżo przybyłą obsługą udał się na stanowisko, by ściągnąć stamtąd maszynkę i swoich ludzi... Zmiana odbyła się w szybkim tempie, gdyż obeszło się bez dodatkowych objaśnień, zdawania instrukcji i t. p. czynności, związanych z obsadzeniem odcinka przez nową załogę... I odchodzący, i zmieniający znali już na pamięć każdą dziurę i wszelkie instrukcje służbowe...

W niespełna pół godziny placówki były obsadzone przez przybyłych, a zmieniony pluton stał gotowy do odmarszu...

Pchr. Mizgalewicz przejrzał swoją gromadę, obszedł wózki z maszynkami, sprawdzając, czy wszystko jest w należyтым porządku... Naraz stanął przed wózkiem, na którym znajdowała się maszynka Zbyszka...

— A gdzie macie celt?... — zainteresował stojącą obok obsługę.



— O, sakra kłuka!... — zaklął Wojtek z czeska, drapiąc się w głowę.

— Czyja to maszynka?...

— Moja, panie podchorąży... — wyprężył się Zbyszek.

— Gdzież jest celt?...

— Zostawili pewnie na stanowisku...

— A kto był ostatni przy maszynce?...

— Tomaszewski i Zakrzewski... Pójdę po celt, panie podchorąży...

— Żeby go wam tylko nie zafasowali...

— Przecież to ludzie z naszej kompanji, panie podchorąży...

— Im się też przyda... Niech Tomaszewski idzie, młodszy jest i przegapił...

— Sam się przejdę, panie podchorąży... I moja wina, żem nie skontrolował przed opuszczeniem stanowiska...

Ruszył w kierunku placówki...

— To wszystko przez twoją sakramencką parasolkę!... — rzucił Tadzikowi, przechodząc obok niego.

Tomaszewski pociągnął za nim...

— A ty poco?... Możesz zostać... — namawiał frajtra. — Przecież dam sobie radę...

— Befel dostałem, panie plutonowy!... Nie uchodzi!... Befel — to befel!...

— Tuman jesteś!... — odburknął Zbyszek. — Jak sam idę, toś ty niepotrzebny...

— Ale dostałem befel... — upierał się Tomaszewski.



Zbyszek wzruszył ramionami... Poszli razem... Przed rowem łącznikowym, prowadzącym do stanowiska, Wojtek przystanął i z podełba zerknął na Zbyszka... Widząc jednak, że ten mija rów i idzie na przelaj, poszedł za nim...

Jaskrawe promienie wschodzącego słońca zaświeciły im prosto w oczy... Ich oświetlone od strony nieprzyjacielskiej sylwetki stanowiły doskonały cel dla ukraińców... To też wkrótce zaczęły padać koło nich pociski karabinowe... W miarę zbliżania się do szczytu wzgórza pociski stawały się coraz bardziej natarczywe... Zagrały w Malechowie maszyny...

— Widzisz, jak na nas polują?... — żartował Zbyszek.

— Mają dobry cel... Ze światłem... — odparł Wojtek.

Jeszcze kilka kroków i szczęśliwie skoczyli do rowu...

— Zapomnieliśmy tu nasz cel... Nie widzieliście gdzie?... — pytał Zbyszek dyżurujących przy maszynce ludzie.

— Jest, panie plutonowy... — odparł jeden z nich, podając płachtę.

— To fajnie... Dziękuję wam... Serwus!... Trzymajcie się ciepła!...

— Cześć, panie plutonowy!...

Zbyszek oddał cel Wojtkowi i zebrał się do skoku...

— Może teraz pójdziemy rowem, panie plutonowy?... — zaproponował frajter.

— Wody pełno... Boisz się?...

— Nie... Ale zawsze lepiej nie ryzykować, jak nie potraza...

— Nie bój nic!... Co ma wisieć, nie utonie... Jak chcesz, to idź rowem...

Wyskoczył z rowu, a Wojtek za nim... Ledwie ukazali się na powierzchni, zaszczekały w Malechowie maszynki... Padające gęsto pociski opryskały ich grudkami błota...

— Ale się na nas uwzięli!... — uśmiechnął się Zbyszek.

Naraz Wojtek złapał się za nogę...

— Co ci się stało?... — podbiegł do niego Zbyszek. — Dostałeś?...

— Tak mi się widzi, bo mnie cosik w kolano ukuło...

— Niema co się bawić... Musimy do rowu... Skoczysz?...

— Spróbuję... Może pójdzie...

Zbyszek zeskoczył do rowu i ściągnął doń Wojtkę...

— Gdzie dostałeś?...

— Mi się zdaje w same kolano...

— Ściągaj owijacz...

Pogmerał po kieszeniach, szukając bandaża, z którym się nigdy nie rozstawał... Wojtek odwinął ściskający mu nogę owijacz i podciągnął nogawicę... Z dwóch maleńkich dziurek po obu bokach kolana, przy samem jabłku, ściekała krew cieńkami strugami...

— Dawaj kolijano... Zabawię się w łapiducha... — rzekł Zbyszek, rozpakowując wyciągnięty

z kieszeni bandaż. — Boli?... — spytał krzywiącego się Wojtka.

— Trochu...

— A możesz nogą poruszać?...

Wojtek próbował wyprostować skurczoną nogę...

— Boli... — zamruczał. — Ale idzie...

— To dobrze... Ale ciekawe, jak ci mogli z tyłu przetrącić kolano tak dowcipnie, pod samem jabłkiem... Musiałeś się chyba odwrócić...

— Nie... Jakoś mnie tak z boku trzasła...

— Ciekawe... — pokiwał Zbyszek głową, nakładając opatrunek. — Kolano przestrzelone na wylot pod samem jabłkiem, a kość, zdaje się, wcale nie tknięta... Masz szczęście, Wojtek...

Obandażował mu nogę i ściagnął nogawicę.

— Gotowe... Możemy iść, bo czekają na nas... A chodzić dasz rady?...

Wojtek usiłował ruszyć z miejsca, ale mógł tylko skakać na jednej nodze...

— Nie idzie... — mruknął.

— Trza cię wziąć na barana. Ale ci znów głowa będzie z rowu wystawać.. Szkoda głowy, kiedy ci już nogę przetrącili... Wezmę cię na ramię... Chodź...

Wziął go na ramię, jak małe dziecko i poszedł rowem, brnąć po kałużach...

Spocony i zziąjany dowlóknął się z rannym frajtrzem do oczekującego przed karczmą plutonu... Postawił Wojtka przy wózku i spokojnie nakrył celtem maszynkę... Natychmiast obstała ich wiara, rzucając na Zbyszka pełne oburzenia spojrzenia...

— Zgłosicie się do raportu!... — przywitał go gniewnie pchr. Mizgalewicz.

— Za co, panie podchorąży?...

— Jeszcze mi tu będzie warjata strugał!... — ob-ruszył się dowódca. — Przez was Tomaszewski został ranny! Obserwowaliśmy stąd wszystko!... Jakby na Karola Ludwika spacerowali!... Dlaczegoście rowem nie szli?...

— Mokro, panie podchorąży... Pełno wody...

— Wody pełno?... A kiedy go przetrącili, to woda wyschła?... Pogadamy o tem przy raporcie, pies z wami polkę tańczył!... Przez wasze głupie fanaberje mamy straty!... Plutonowy i taki głupi przykład daje!... Bohater, że jego nie dostało!... Was powinna była ta kula trafić!...

— Tak jest, panie podchorąży... — przyznał Zbyszek, skonsternowany słusznem oburzeniem do-wódcy.

— Jeszcze mi tu będzie przytakiwał, małpa zie-lona!... Przy raporcie będziecie się tłumaczyć!... To-maszewski na wózek!... — rozkazał rannemu — Maszerować!...

W milczeniu ruszył oddział przydrożnym rowem, by ukryć się przed obserwacją ukraińców... Cały pluton był oburzony na Zbyszka za lekkomyślne na-rażenie Tomaszewskiego... Nawet Stefek nie był w stanie ukryć swego niezadowolenia...

— Prawdę powiedział podchorąży... — odezwał się do kroczącego z opuszczoną głową Zbyszka. — Ta kula powinna była ciebie trafić...

— Dziękuję ci, mój ty przyjacielu „draży“... — odburknął Zbyszek.

— Jak można tak lekkomyślnie narażać się?!...— wtrącił spokojny zawsze Julek.

— Pociąg ty laż górá?... — przyłączył się Tadzik. — Przecież wiesz doskonale, że podczas wschodu słońca z Malechowa widać wszystko, jak na dłoni... Obserwowaliśmy was przez cały czas... Gdyście pod górę wyszli, to dwie czarne plamy odcinały się na horyzoncie... Dziwię się, że was obu nie pocharatali na gulasz...

— Pociąg mała laż za mną?... — starał się Zbyszek uprzedzić. — Niepotrzebnie się pchał, skoro ja poszedłem!... A ta trąba nic, tylko: befel i befel!... Mógł iść rowem... A to wszystko przez waszą sakramencką parasolkę!... Psia krew!... — denerwował się Zbyszek, czując się jednak winnym.

— A ciężko dostał?... — dopytywał się Tadzik.

— Przeszła mu jakoś bokiem przez kolano, pod samem jabłkiem, ale kości, zdaje się, nie naruszyła...

— Zupełnie niepotrzebnie mu się dostało...

— Ta dejcje mi już święty spokój!... — ofuknął go Zbyszek.

W głuchem milczeniu ciągnęła kolumnienka na Zamarstynów... Znalazłszy się pomiędzy zabudowaniami, kryjącymi ich przed obserwacją ukraińców, wydostali się z rowu na szosę...

W połowie drogi nadbiegł z miasta łącznik... Pchr. Mizgalewicz odebrał od niego meldunek i po przeczytaniu zwrócił się do maszerującej kolumny:

— Nie wracamy do miasta...

— Dlaczego?... Co się stało?... A dokąd idziemy?... — posypały się pytania.

— Nic jeszcze nie wiem... Zatrzymamy się pod Żółkiewską Rogatką... Nadjedźcie tam fasunk i dalsze rozkazy...

Wiara ożywiła się... Rozkazy w drodze?... Fasunek w drodze?... To cosik nowego!... Posypały się domysły, przypuszczenia... Chyba nie wrócą do Zboisk?... A może do rezerwy na Zniesienie?...

Zaczęli łowić odgłosy częstych wystrzałów własnych armat, ustawionych na Wysokim Zamku... Eee, to coś zapowiada się na wesoło, skoro armatki grają...

Nad głowami maszerującego oddziału przeleciał z głośnym turkotem aeroplan, kierując się w stronę nieprzyjaciela...

— To z amerykańskiej eskadry... — objaśnił pchr. Mizgalewicz. — Leci na wywiad do Malechowa...

— Wiesz?... — tracił Tadzik zadumanego Zbyszka. — Mam wrażenie, że my ani do Zboisk nie wrócimy, ani na Zniesienie... Czuję w tym wiosennym podmuchu, że się coś szykuje... Zobaczysz, że będzie wojna!...

— Daj Boże!... — westchnął Zbyszek. — Już najwyższy czas!...

Przy Żółkiewskiej Rogatce pchr. Mizgalewicz zatrzymał oddział i podszedł do oczekujących go widocznie dwóch oficerów. Byli to: ppor. Obrzut, który niedawno powrócił ze szpitala po ranie otrzymanej 17-go lutego, i pchr. Miljan, przydzielony do kompanji z I-szego bataljonu.

Po przywitaniu i porozumieniu się wszyscy trzej podeszli do oczekującego plutonu.

— Serwus, chłopcy!... — przywitał gromadę ppor. Obrzut.

— Cześć, panie poruczniku!... Jakże noga?...



- Owszem... w porządku... Dziękuję...
- Będzie wojna, panie poruczniku?...
- Podobno... — uśmiechnął się. — Mam was prowadzić z pchr. Miljanem.
- Klawo!... Byczo!... Fajno!... Pirsza klasa!... — cieszyła się wiara.
- Zafasujecie przekąski na drogę, amunicję i maszerujemy...
- A dokąd, panie poruczniku?...
- No, na wojnę... Wyprowadzę was w pole...
- A pan podchorąży z nami nie idzie?... — dopypywali się pchr. Mizgalewicza.
- Radaby duszyczka do raju, taj wodzowie nie dają...
- Szkoda... — żałowała wiara. — Byłoby weselej...
- Nie chyci... Muszę wracać do Zboisk... Ale mi chyba wstydu nie zrobicie?...
- Sie wi, panie podchorąży!... My si ni damy!...
- Nadjechał wóz z zapowiedzianym fasunkiem... Wiara natychmiast obstała go, ładując do chlebaków wydzielane porcje...
- A wam się upiekło... — przystąpił pchr. Mizgalewicz do Zbyszka, — Wasze szczęście, że nie wracacie na Zamarstynów... Daruję wam ten raport... Tylko, żebyście mi więcej takich głupstw nie robili!... Nie wolno lekkomyślnie narażać ani siebie, ani innych... Brawura jest dobra, gdy prowadzi do jakiegoś celu...
- Tak jest, panie podchorąży... Bardzo przepraszam... Ale ja tak naprawdę bez rozmysłu...



W rowie było pełno wody... Bardzo przepraszam, panie podchorąży... I dziękuję...

— Nie szkodzi... Nie szkodzi... Będziecie mieli nauczkę, że nie wolno wywoływać wilka z lasu... Teraz nadarzy się wam sposobność wykazania swojej brawury... Ale pamiętajcie, że tylko w tym wypadku, gdy chodzi o konkretny cel...

— Tak jest, panie podchorąży... — potwierdził Zbyszek, szczerze żałując swojej lekkomyślności. — Dziękuję bardzo...

— Tomaszewskiego przenieście na wóz...

— Rozkaz, panie podchorąży...

Przy pomocy Tadzika przeniósł Zbyszek ranego...

— Nie gniewaj się na mnie, Wojtek...

— Ta co tam, panie plutonowy!... To już tak przeznaczone było... Tera mnie wcale nie boli!... Szkoda tylko, że nie mogę na tyn angryf pójść...

— Życzę ci rychłego powrotu do kompanji... Bywaj!... Serwus!...

— Cześć, panie plutonowy!...

Zbyszek zafasował porcję i załadował ją do chlebaka...

Po skończonym fasunku ustawił się pluton w kolumnie marszowej, oczekując dalszych rozkazów...

Po krótkiej konferencji z pchr. Mizgalewiczem, stanął ppor. Obrzut przed oddziałem... Dokonawszy pobieżnej lustracji plutonu, podzielił nanowo obsługi, tworząc dwa półplutony. Jeden zostawił pod własnym dowództwem, a drugi oddał pod rozkazy pchr. Miljana... Pod komendę tego ostatniego dostał się

Zbyszek ze swą maszynką, straciwszy z obsługi Tadzika, którego przydzielono, jako celowniczego do Hercoga... W miejsce Tadzika i rannego Wojtka dostał Zbyszek kaprała Wojtaszewskiego i szer. Kaje-tanowicza.

Po reorganizacji plutonu zafasowano amunicję, przywiezioną na wozie prowiantowym... W końcu ppor. Obrzut jeszcze raz sprawdził dokładnie maszynki i stanął przed oddziałem...

— Czy są jakie braki przy maszynkach?... — zapytał.

Nikt się nie odezwał...

— Zapasowe części są?... Oliwa jest?...

— Wszystko jest, panie poruczniku... — meldowali karabinowi.

— No to ruszamy... Gotowe?... — rzucił woźnicom.

— Gotowe...

— Maaarrrrsz!...

Miarowym krokiem ruszył pluton za swym nowym dowódcą...

Powracający na Zamarstynowską wóz prowiantowy, którym jechali pchr. Mizgalewicz i ranny Wojtek, skręcił w Żółkiewską, podczas gdy pluton skierował się na Zniesienie...

— Cześć, panie podchorąży!... Serwus, Wojtek!... — wołała wiara za znikającym na skrócie wozem.

— Cześć!... Serwus!... A wracajcie wszyscy!... — odkrzyknięto im z wozu.

## XIX.

Z lekkim sercem minął pluton Zniesienie, kierując się dalej za swym dowódcą w nieznana sobie okolice... W tych stronach dotąd jeszcze nie operowali.. Brnąc po rozmokłej drodze polnej, szła wiara ochoczo naprzód przekonana, że tym razem nie nadarmo się fatyguje...

Istotnie, w miarę zbliżania się do celu zaczęło bractwo rozpoznawać, że przed nimi dzieje się coś poważniejszego... Nieprzerywana kanonada baterji, ustawionej na Wysokim Zamku, świadczyła, że dzisiaj stroną aktywną nie byli ukraińcy...

— A co? nie mówiłem, że będzie wojna?... — wyszczerzył Tadzik zęby w szerokim uśmiechu.

— Najwyższy czas... — odparł idący przed nim Zbyszek.

— Ale gdzie my jesteśmy i dokąd idziemy?... — dopytywał się Stefek.

— Bądź mądry i patrz końca...

— Szkoda, że nie będziemy razem „forrykować“... — westchnął Tadzik.

— Ano... Wola Boska!... Zato ten mikrus zaawansował na celowniczego... Jak się dobrze spisze, może też frajtrek zostanie...

Stefek wydał pogardliwie wargi...

— Myślisz, że tak lecę na tego frajtra?...

— Myślę, że nie pogardziłbyś pierwszą szarżą po Panu Bogu... Zawsze to lepiej, nieprawda, Tadzium?...

— Sie wi... Co szarża — to szarża!...

Około godziny dziewiątej dotarli do wsi Krzyw-  
czyce, gęsto ostrzeliwanej przez ukraińców... Ppor.  
Obrzut zatrzymał oddział i wszedł do jednej z cha-  
łup, gdzie mieściło się Dowództwo odcinka. Przy  
plutonie pozostał pchr. Miljan, którego wiara zasy-  
pała pytaniami o sytuacji i celu wędrówki...

— Ofenzywa rozpoczęta... — objaśniał pod-  
chorąży. — Jesteśmy na odcinku 5-go p. p. Leg...  
Razem z naszą 14-tą kompanją mamy wzmocnić ata-  
kującą grupę suchowatych...

— A co?... Nie mówiłem, że będzie wojna?... —  
cieszył się Tadzium.

— Masz okazję do pozostania na polu chwały...  
— dociał mu Harasymiec.

— Jak Bozia da, to czemu nie?...

Powrót ppor. Obrzuta uspokoił rozbawione bra-  
ctwo...

— Karabiny z wozów... — rozkazał.

Sprawnie zdjęto maszyny, ustawiając je na  
drodze...

— Możeby zdjąć płaszcze, panie poruczniku?...  
Z maszynkami na ramieniu będzie troszkę za ciepło...  
— odezwały się głosy.

— Płaszcze można zrolować i przez ramię... Plecaki na wózki... Tylko raz, dwa!... Nie marudzić!...

Wiara szybko się uwinęła... Wózki zjechały na bok, a wyznaczone obsługi ustawiły się za karabinami...

Po krótkiej naradzie z pchr. Miljanem, stanął ppor. Obrzut przed wyciągniętą linią plutonu.

— W składzie naszej 14-tej kompanii, — zaczął, — zaatakujemy ukraińców... Za wsią rozwijamy się w tyraljerę i włączamy do linii 14-tej kompanii... Karabinowi niech pamiętają o odpowiednim doborze stanowisk... Wyszukać sobie takie stanowiska, żeby być osłoniętym przed nieprzyjacielem, a mieć dobre pole ostrzału... Amunicji nie marnować... strzelać do celów, a nie Panu Bogu w okno... I proszę nie skupiać się zanadto... Amunicyjni niech się nie pakują do bezpośredniej obsługi maszynki... Szczegółowe zadania i odcinki do ostrzału otrzymają karabinowi po włączeniu do linii... Pierwszy półpluton, w razie mojej nieobecności pozostaje pod rozkazami plutonowego Hercoga, a całość pod dowództwem podchorążego Miljana... Zrozumiano?...

— Zrozumiano...

— Są jakie pytania?... Nie?... No to ruszamy... Za... brooooń!...

Każdy z obsługi chwycił odpowiedni sprzęt...

— Maaaaarrrrsz!...

Dwójkami ruszyli przez wioskę, kierując się do jej wylotu... Za wsią rozwinęli się w tyraljerę...

Znaleźli się w strefie skutecznego działania ukraińskiej artylerji... Nad głowami z trzaskiem pękały szrapnele... Granaty ryły głębokie leje, rozpryskując się z wielkim hukiem...

Szybkiemi krokami postępowała wiara za swymi dowódcami, nie zwracając uwagi na bzykające wokół odłamki żelaza i ołowiu... Na to przecież tyle czasu czekali!...

Zbyszek szedł kilka kroków przed swoją obsługą, taszcząc na ramionach maszynkę, amunicję i rekwizyty...

Stefek czuł się nieco dotkniętym, że przyjaciel-komendant obładował go ciężką i niewygodną trójnogą podstawą... Po półgodzinnym marszu był już porządnie spocony, zwłaszcza, że wiosenne słońce nie szczędziło swych ciepłych promieni... Nie gderał jednak w obawie przed docinkami kolegów... Odetchnął nieco, gdy weszli do lasu... Ale tu oddział skupił się i za przykładem dowódcy przyspieszył kroku...

Wkrótce wydostali się na niewielkie wzgórze, z którego zobaczyli wyciągniętą przed sobą tyraljerę... Nie było jednak czasu na dłuższą obserwację, gdyż zasypani zostali gradem pocisków karabinowych... Snać dostrzegli ich ukraińcy i nie omieszkali po swojemu przywitać nieproszonych gości...

Biegiem popędzili ze wzgórza, włączając w wyciągniętą tyraljerę... Pochłonięty przez piechotę pluton, pozbawiony został bezpośredniego kontaktu pomiędzy poszczególnymi maszynkami...

Na linji panował chwilowy spokój... Czwartacy leżeli spokojnie obserwując przedpole... Armatki na Wysokim Zamku też przycichły... Jedynie ukraińcy

starali się uszczuplić atakującą linię, zasypując ją granatami i minami... Padały jednak albo za blisko, albo za daleko...

Zbyszek usadowił się z maszynką w samym środku 14-ki, i, obserwując teren, czekał spokojnie na zapowiedziane rozkazy... Jakoś wkrótce podczołgał się do niego pchr. Miljan.

— Widzicie tam, na lewo tor kolejowy?... — orjentował Zbyszka w terenie.

— Widzę...

— Ten tor mamy zdobyć... Przed torem okopy... siedzą w nich ukraińcy... Widzicie ich?...

— Widzę... Kręcą się, jak na majówce...

— Rozbestwili się, bo nie było tu maszynek... Teraz my sobie z nimi pogadamy... Jak padnie pierwszy strzał naszej artylerji, zaczniecie kosić te główki na odcinku od mostu kolejowego do tego krzaka naprawo, widzicie?...

— Widzę... To niedaleko... Jakies 450—500 kroków...

— Coś koło tego... Oddacie kilka seryj, a gdy 14-ka ruszy, przestaniecie strzelać i z maszynką walić na nowe stanowisko... Musicie tak upilnować czas do skoku, żeby na linji nie było przerwy w ogniu... rozumiecie?...

— Tak jest, panie podchorąży...

— No to ustawiajcie maszynkę...

— Już się robi, panie podchorąży...

Podpełznął do upatrzonej poprzednio w niewielkiej odległości kępy i dał znak obłudze, by podciągnęła maszynkę...



Stefek i Zakrzewski, trzymając na piersiach jeden podstawę, a drugi lufę, przyczołgali się na plecach... We trójkę zmontowali maszynkę, przygotowując ją do strzału... Po tej uciążliwej w niewygodnej pozycji manipulacji, wyciągnęli się na brzuchach, oczekując sygnału do rozpoczęcia ognia...

Po kilku minutach rozległ się umówiony strzał... Wysłany z Wysokiego Zamku granat zarył się tuż przed linią okopów ukraińskich...

Stefek, jako celowniczy, otworzył ogień... Jednocześnie zagrały i inne maszynki, rozmieszczone wzdłuż linii...

— Tra-ta-ta-ta-ta-ta!... — rozległ się ogłuszający trzask karabinów maszynowych, do których przyłączył się huk nadlatujących w Wysokiego Zamku granatów...

Naraz Zbyszek, obserwujący wyniki strzałów, położył rękę na komorze zamkowej maszynki...

— Dość!... — wrzasnął Stefkowi nad uchem. — Za blisko... Celownik pięćset...

— Pięćset!... — powtórzył Stefek.

Poprawił celownik i oddał krótką serję...

— Dobrze... — pochwalił Zbyszek... — Wal!...

Maszynka zaszczekała, dygocąc cała... W przeciągu niecałej minuty wypuścił Stefek pełny gurt... Nastąpiła krótka przerwa, spowodowana ładowaniem nowej taśmy z nabojami...

— Gotowe!... — meldował Stefek.

— Wal!...

Maszynka znów zatrajkotała, wypluwając ze siebie setki stalowych pocisków...

W pierwszej chwili ukraińcy, jakby oszołomieni zostali potęgą ognia nacierających... Wkrótce jednak opamiętali się i zasypali atakującą linię gradem szrapneli, granatów, min i pocisków karabinowych... Ale wiara czwartacka, pochłonięta walką, nie zauważyła nawet tej chmury żelaza. ołowiu i stali... W piekielnym zgiełku rozpoczętej walki nie dosłyszał nikt charakterystycznych poświstów i bzykań przelatujących kulek szrapnelowych i odłamków rozpryskujących się granatów...

Po kilku minutach takiego ognia huraganowego 14-ka zaczęła posuwać się naprzód...

Przy pomocy przyjaciół, podchwycił Zbyszek maszynkę i popędził na zgóry upatrzone nowe stanowisko... Usadowiwszy się pod krzaczkiem otworzyli znowu ogień...

Po wyrównaniu linii dowódca 14-ki, por. Nie-mentowski, poderwał swoich chłopców do szturm...

— Hurrrraaa!... Hurrrraaa!... Hurrrraaa!... — wrzeszczała wiara, pędząc z nastawionym bagnetem i przygotowanym w rękę granatem ręcznym...

Ukraińcy gęstymi salwami przywitali szturmujących... Ale pełnych animuszu czwartaków nie tak łatwo wstrzymać w pędzie... Na chwilę zaryli nosami ziemię i natychmiast zerwali się do nowego skoku... W odległości kilkunastu kroków od nieprzyjaciela zasypali go granatami ręcznymi... Efekt tego powitalnego poczęstunku był nadzwyczajny... Droga do rowów stała otworem... W okamgnieniu wykurzyli z nich ukraińców...

— Nie bój się, Iwane!... Trymaj byki, bo procesja ide!... Nie bój nic, bratku!... Nie zjemy cię... Wy-

przecież nie są strachy na lachy... — perswadowała wiara łagodnie pozostałym w okopach hajdamakom, usiłującym zwać. — Poczka, bratku!... Kudy ci tak śpieszno?... Nie stęskniłeś się za Lwowem?... — żartowało bractwo, rozbrajając przestraszonych jeńców...

Po zdobyciu okopów ukraińskich zmontował Zbyszek maszynkę, ścigając ogniem wycofujące się grupki hajdamaków... Po kilku krótkich serjach musiał jednak zaprzestać ognia, wobec ukrycia się uciekających w pobliskim lesie...

Na odcinku chwilowo uciszyło się... Po stracie pozycji ukraińcy jakby głowę potracili... Czwartacy po osiągnięciu nakazanej linii odpoczywali w oczekiwaniu dalszego ciągu akcji.

Przystąpiono do porządkowania linii, obsadzając część toru kolejowego, prowadzącego do Podborców... Ustalono nowe stanowiska dla maszynek... Pod mostem kolejowym usadowił się Julek Żakowski, na torze Zbyszek, a dalej na prawo Harasymiec i Hercog...

Korzystając z chwilowej przerwy w walce, Zbyszek udał się do „sztabu“, by zasięgnąć informacji o dalszych zamiarach wódzów... Podreptał za nim Stefek...

— A ty dokąd?... — przytrzymał go.

— Do Julka chciałem zajrzeć...

— A przy maszynie kto zostanie?...

— Narazie jest spokój... Są przecież Wojtaszewski, Zakrzewski...

Zbyszek wzruszył ramionami i skrzywił usta...

— No chodź, ty, przyjacielu „drągi“!... Mikrus jeden!...

Zaszli razem pod most... Zastali Julka majstrującego zawzięcie przy maszynce... Dali mu spokój i wygramolili się na tor, gdzie ulokowany był „sztab“ w składzie por. Niementowskiego, jego zastępcy ppor. Piziewicza, ppor. Obrzuta i pchr. Miljana.

— To już koniec wojny, panie poruczniku?... — pytał Zbyszek ppor. Obrzuta.

— A co?... Już się wam sprzykrzyła?...

— Eee... Co to, to nie!... Tylko szkoda tak pięknego dnia... Moglibyśmy jeszcze wykurzyć hajdamaków z tego lasu i pójść na Winniki...

— A gdzież wy macie, chłopcze, Winniki?... Przecież to na prawem skrzydle, zupełnie na południu!...

— To nic nie szkodzi... Możemy się przespacerować... Tam podobno fabryka najlepszego tytoniu jest...

— Oho, braciszku!... — odezwał się por. Niementowski. — Winnickiego tytoniu ci się zachciało!... Tak na jednej nodze do Winnik nie chyci, braciszku... Musiałbyś, braciszku, najpierw Czartowską Skalę przeskoczyć...

— A cóż to za djabelska skała?...

— Stamtąd, braciszku, hajdamackie kanony walą na nas i na miasto... Zanim ruszymy na Winniki, musielibyśmy, braciszku, zafasować te armatki...

— To możebyśmy się wybrali na Czartowską Skalę?... Po armatki to warto...

— Jak będzie befel to sobie urządzimy taką wy-  
cieczkę, braciashku...

Naraz panującą na odcinku ciszę przerwał ogłu-  
szający huk granatu, który wyrzwał tuż pod mostem...

— Rany Boskie!... Julek!... — wrzasnął Stefek,  
zeskakując z toru.

Popędzili za nim Zbyszek, ppor. Obrzut i pchr.  
Miljan...

W tumanie opadającej fontanny ziemi ujrzeli  
Julka, leżącego przy maszynce i... wycierającego  
sobie najspokojniej okulary.

— Julek!... Julek!... — dopadł go przerażony  
Stefek.

— Czego się tak drzesz?...

Powstał i wsadził sobie na nos okulary...

— Myślałem, że cię... pocharatało... na strzepy...  
— tłumaczył się Stefek, łapiąc powietrze.

— Indyk myślał, myślał, aż mu głowę obcieli...  
— odparł Julek, strzepując ze siebie grudki ziemi,  
którą został obsypany.

— Istny cud, że was nie dostało!... — dziwił się  
ppor. Obrzut.

— To naprawdę nie moja wina... — usprawie-  
dliwiał się Żakowski.

— Macie diabelskie szczęście!...

— Albo pecha... — odparł, zabierając się znowu  
do maszynki.

Na linii tymczasem zawrzało... Za pierwszym  
pociskiem ukraińskim zaczęły nadlatywać i inne,  
ryjąc przed linią czwartacką głębokie leje...

Zbyszek ze Stefkiem popędzili do swej maszynki... Naraz spostrzegli wysuwającą się z lasu ukraińską tyraljerę... Stefek chciał ogień otworzyć...

— Poczekaj, przyjacielu „drażgi“!... — przytrzymał go Zbyszek. — Nie pał się tak!... Niech bliżej podejda...

Przybiegł do nich pchr. Miljan...

— Nie przejmować się, chłopcy!... Jaknajbliżej ich podpuścić!... Na muszkę brać!...

— Tak jest, panie podchorąży... — potwierdził Zbyszek. — Na muszkę to najpewniej...

Ukraińcy śmiało podsuwali się, nic sobie nie robiąc z pojedynczych strzałów karabinowych... Gdy znaleźli się o jakieś 150 kroków przed linią czwartacką, zagrały wszystkie maszyny... Morderczy ogień czterech karabinów maszynowych wstrzymał nieco zapal hajdamaków... Zaryli nosami ziemię, wyczekując przerwy ogniowej... Ale jak tylko próbowali się podnieść, maszyny na nowo przygważdżały ich do miejsca...

Po kilkuminutowej takiej zabawie w kotka i myszkę por. Niementowski poderwał część swojej kompanji, by odpowiednio przywitać nieproszonych gości... Za chwilę ukraińcy z powrotem wiali do lasu...

Wtem powstaje zamieszanie na prawem skrzydle 14-ki... Łącząca z nią kompanja strzelców lwowskich zaczęła wycofywać się z zajmowanych stanowisk... Nie zważając na przekleństwa i pogróżki czwartaków, strzelcy pędzą do tyłu, jakby im kto po piętach deptał... Po pewnej chwili dopiero spostrzeżono biegnących w niewielkiej za nimi odległości hajdamaków...



Markując poprzednio atak na linję czwartacką, ukraińcy przeważającymi siłami natarli na słabą liczebnie kompanję strzelców lwowskich, zmuszając ich do odwrotu... Gdyby się ten skrzydłowy manewr udał, znaleźliby się ukraińcy na tyłach 14-ki, co mogłoby się smutnie skończyć dla czwartaków...

Na szczęście zawczasu zorientowano się w sytuacji... Wyginając swoją linję w kierunku zagrożonego skrzydła, por. Niementowski kilku sekcjami zagroził drogę cofającym się strzelcom. Znajdujące się na prawem skrzydle maszynki skierowały lufy na atakujących z boku ukraińców i... na uciekających własnych żołnierzy...

— Wróć, braciaszki!... Wróć, batjary łyczakowskie!... Do mamusi wam się śpieszy?!... — wrzeszczeli czwartacy, usiłując zatrzymać cofającą się linję.

Strzelcy, którym gdzieś zapodział się ich dowódca, przystanęli na chwilę, rozglądając się niezdecydowanie... Spostrzegłszy jednak za sobą chmarę pędzących z wraskiem hajdamaków, znowu puścili się do tyłu...

— Wróć, batjary!... Wróć!... bo strzelać będziemy!... — ostrzegali ich czwartacy.

Znów się obejrzeli... Zauważywszy skierowane na siebie lufy, przekonali się, że to nie żarty... Zawrócili i włączyli do tyraljery 14-ki...

Nacierający ukraińcy przywitani zostali ogniem maszynek... Zniewoliło ich to do przymusowego wypoczynku...

Po opanowaniu sytuacji, por. Niementowski, będący zwolennikiem obrony zaczepnej, wysunął na przód dwa plutony z ppor. Piziewiczem dla odciążenia



ukraińcom odwrotu... Sam z garstką czwartaków i przytrzymaną kompanją strzelców ruszył do ataku..

Podniesieni na duchu lwowiacy odzyskali humor i werwę, poczuwszy nad sobą rękę doświadczonego dowódcy... Pełni animuszu rzucili się na hajdamaków, pragnąc odwzajemnić się za napędzonego im przed chwilą stracha...

Wzięci we dwa ognie ukraińcy wdepli we własną pułapkę... Po krótkiej walce skapitulowali, poddając się ściganym niedawno lwowiakom...

Po tej niefortunnej wyprawie z fortelami można było się spodziewać, że ukraińcy pogodzą się z sytuacją... Czwartacy nie mogli narazie dalej się posuwać, gdyż należało przeczekać, aż „zuchowaci” zafasują Czartowską Skalę, leżącą w strefie działania 5 p. p. Leg... Zresztą obfity w wypadki i wrażenia dzień miał się ku końcowi...

O zmierzchu zwinięto linję, rozstawiając placówki i wysyłając patrole dla zabezpieczenia się przed ewentualnymi niespodziankami ze strony ukraińców... Na placówkach zostały tylko dwie maszyny Żakowskiego i Harasymca...

Zbyszek ze swymi ludźmi ulokował się w pobliskiej chałupie... Wkrótce ściągnęła tam i maszyna Hercoga, w której obsłudze znajdował się Tadzik...

— Serwus, Zbyszkule!... Jak się masz, Stefuniu?!... — cieszył się, ściskając przyjaciół.

— Serwus!... Żyjesz jeszcze?... — przywitali go.

— Ano, niby... — wyszczerzył Tadzik swoje zęby białe.

— Jakże wam tam poszło?...

— Jak po maśle!... Już dawno sobie człowiek tak nie użył!... Aż mi lżej na sercu!... Dalibóg!... Całe dwa miesiące człowiek czekał na taką zabawę!... Przecież od 17-go lutego żeśmy prochu prawie nie wachali!...

— O mały włos byliby was zafasowali hajdamaki!...

— A to przez tych sakramenckich batjarów łyczakowskich!... Wódz im się zgubił z „transportu“... Ale, jak ich wziął w obroty porucznik Niementowski, to, jak stara gwardja, dalibóg!... Takie lanie sprawili hajdamakom!... Wdepli hajdamaki, jak śliwka w kompot!...

— A możebyśmy sobie co przekazili?... — zaproponował Stefek, który niebardzo lubił pasa ściągać na brzuchu.

— Racja, bracie, dalibóg!... Zupełnie zapomniałem, że jestem głodny!... — zaśmiał się Tadzik, wyciągając z chlebaka puszkę z konserwami. — A może macie tu co lepszego?...

— Masz gust na mleko?... — przypomniał mu Zbyszek, mrużąc oko.

— Przydałoby się...

— Mlekiem, niestety, służyć ci nie mogę... — odezwał się Stefek. — Ale jeżeli masz ochotę na jajko, twarde lub miękkie, albo na jajecznicę, to służę ci z ochotą... — dodał z galanterją.

Zbyszek i Tadzik postawili oczy w słup... Kpi, czy o drogę pyta?...

— Skądże ci się jaja przyśniły?... Może jajko Kolumba znalazłeś?... — ironizował Zbyszek.

— Filozof!... — odciął się Stefek. — Wcale mi się nie przyśniły, bo mam!... — zapewniał, wyciągając z obydwu kieszeni po jednym jajku.

— Czy to aby prawdziwe?... — powątpiewał Tadzik.

— Widziałeś, jaki magik?... — nie mógł Zbyszek wyjść z podziwu.

Pomacał Stefka po kieszeniach... Wyładowane były jajami.

— Gdzieżeś ty to wytrzasnął?... — dopytywał się triumfującego Stefka.

— Nie pytaj nigdy skąd przychodzisz, ale do-  
kład dążysz!... — odparł zasłyszonym niegdyś od  
Julka aforyzmem. — A, że dążę do twego żołądka.  
myślę, że ci to powinno wystarczyć!... Może ci wre-  
szcie dzisiaj dogodzę, panie plutonowy?...

— Słyszałeś, jak ten miglanc zmądrzał?...

— Ta nie rozstawiajcie sobie familji po ką-  
tach!... — starał się ich Tadzik pogodzić. — Ta co tu  
dużo gadać, jak niema o czem mówić?... Dużo masz  
tych jaj?... Starczy dla nas?...

— Jeśli dasz wszystkim radę, to nie wystar-  
czy!... Dwadzieścia i dwie sztuki!...

— A niechże cię wszystkie... kury kochają, mój  
Stefuniu!... Ty jesteś mój przyjaciel!... Dawaj pyska  
i... te jaja!... Chodź!... Smażymy jajecznicę!... A ma-  
sło?... — przypomniał sobie Tadzik o tej niezbędnej  
do jajecznicy przyprawie.

— Jest!... I masło, i słonina, i sól!... Wszystko  
jest!... Całe gospodarstwo mamy w tej chałupie!...  
Jedynie krowy brak, boby i mleko było.

Rozpalili ogień w piecu i przystąpili do czynności kulinarnych... W kilka minut jajecznicą z dwudziestu dwu jaj była gotowa...

Zaprosili do uczty Hercoga, Wojtaszewskiego i Zakrzewskiego... W szóstkę zasiedli nad ogromną misą, którą w mąg opróżnili...

— A teraz, mój filozofie, — odezwał się Zbyszek, połknawszy ostatnią łyżkę jajecznicy, — mógłbyś nam zdradzić tajemnicę pochodzenia tych jaj... — Chyba ich sam nie zniosłeś?...

— Były tu w chałupie!... — zaśmiał się Stefek. — Ponieważ przyśliśmy tu pierwsi, mogłem poszperać po wszystkich kątach... Za piecem znalazłem pełny koszyk jaj... Wpakowałem więc je do kieszeni, by uprzedzić mądrzejszych ode mnie...

— Nigdybym cię nie posądził o tyle dowcipu!... — pokiwał Zbyszek głową.

— Ty mnie nigdy o nic dobrego nie posądzasz... — skarżył się Stefek.

Nie kłóćta się!...

Nie bijta się!...

Mo górolka dwa warkoce

Podzielita się...

— przyśpiewał im Hercog, pragnąc pogodzić czupurnych przyjaciół...

— Ta nie psujcie sobie krwi, po takiej kolacji!... Dejcie sobie pyska!... — namawiał ich Tadzik. — A dla lepszego przetrawienia jajecznicy, chodźmy pokimać... Po takim dniu godzi się na chwilę spocząć na laurach...

Propozycja ta wszystkim dogadzała... Inni już dawno chrapali pod ścianami...

Zmęczeni prawie że całodzienną walką, odurzeni wiosennem powietrzem, z rozkoszą wyciągnęli się gdzie kto mógł... Zbyszek na przypiecku, Hercog na stole, a Stefek i Tadzik na ławkach pod ścianami... Za chwilę zapadli w głęboki sen, napęlniając ciemną izbę głośnem chrapaniem...

## XX.

Obsadzając następnego rana linję, czwartacy byli ogromnie zdziwieni brakiem powitania ze strony ukraińców... Czartowska Skała, która codziennie o świcie ponurym basem swej baterji budziła miasto i okolice, tego poranka milczała... Jedynie maszynki ukraińskie wściekle ujadły ostrym dyszkantem...

Po nawiązaniu łączności z „zuchowatymi“, otrzymano wiadomość, że 16 kompanja 5 p. p. Leg. pod dowództwem ppor. Muzyki „zafasowała“ w nocy Czartowską Skałę wraz z żywym i martwym inwentarzem...

Śmiały ten wyczyn „zuchowatych“ pozbawił wreszcie hajdamaków przyjemności codziennego bombardowania miasta... Lwowiacy mogli sobie teraz spokojnie używać corsa bez obawy natknięcia się na ukraińskie pociski...

Radosna nowina w mig obleciała cały odcinek... Nie było jednak czasu na roztrząsanie szczegółów tej nocnej wycieczki „zuchowatych“, gdyż ukraińcy zaczęli zachowywać się zbyt agresywnie... Jakby chcąc się odegrać za dotkliwą stratę, zaczęli próbować szczęścia na odcinku, utrzymanym przez 14-kę... Tyle jednak skorzystali, że ich czwartacy wypędzili

z leśnej kryjówki, zdobywając znowu kilkaset metrów terenu...

Tak długo z utęsknieniem wyczekiwana „wojna“ zaróżowiła humory braci czwartackiej, która ochoczo, pełna animuszu, parła naprzód, pędząc przed sobą gromady hajdamaków...

Około południa zajęli czwartacy wioskę Lesienice, podczas gdy „zuchowaci“ i strzelcy lwowscy obsadzili Winniki... Wiara chętnie poszłaby dalej, do Podborców, nawet do Krasnego, gdyby nie kombinacje taktyczne dowódców, bardziej zorjentowanych w sytuacji i uświadomionych co do możliwości i całości kształtu akcji...

Twardy rozkaz przytrzymał rozpędzoną wiarę kilkaset metrów za wioską... Przy akompaniamencie pękających szrapneli i min wyciągnęła się tyraljera na młodej, jeszcze nieco chudej, trawce... Ponieważ zanosilo się na dłuższe poleżenie, zabrano się do kopania płytkich dołków, któreby częściowo przynajmniej osłaniały linię przed atakiem maszynek i zbyt natrętnych odłamków żelaza...

Zbyszek ze swą gromadką, pośrodku tyraljery, układał misternie darninę i gałęzie, by zamaskować maszynkę przed nieprzyjacielem... Uporawszy się z tą niewymyślną dekoracją, wyciągnął się na brzuchu, obserwując przedpole, przeorywane pociskami najrozmaitszych broni i kalibrów...

Przeleżeli tak spokojnie cały dzień... Dopiero w nocy ukraińcy na nowo zaczęli próbować szczęścia... Udało im się opanować Winniki i Czartowską Skalę, w konsekwencji czego czwartacy musieli wycofać się z Lesienic... Ale brawurowe przeciwnatar-



cie, podjęte wraz z „zuchowatymi“, strzelcami lwowskimi i Legją Akademicką, przywróciło nad ranem stan poprzedni... Czartowska Skała i Winniki zostały odbite, a czwartacy ponownie usadowili się w Lesienicach...

Po takim laniu ukraińcy musieli pogodzić się z wytworzoną sytuacją i, trzymani w szachu, nie kwapili się do nowej zaczepki... Czwartacy też milczeli, umacniając się na zdobytych pozycjach...

Pod wieczór otrzymał Zbyszek rozkaz zabezpieczenia na noc lewego skrzydła grupy przez zajęcie stanowiska na pobliskim cmentarzu... Zebrał więc swoją gromadkę i udał się na nowy posterunek... Osadziwszy maszynkę na jednej z mogił, zostawił przy niej Kajetanowicza, a sam z resztą obsługi ulokował się w nawpół rozwalonej stodole.

Ponieważ do północy rozprowadzał posterunki kapral Wojtaszewski, zabrał się Zbyszek do wsi, by zetknąć się z kolegami i dowiedzieć o przebiegu akcji na innych odcinkach...

Przechodząc koło chałupy, w której mieścił się ambulans, posłyszał chóralny śpiew:

...A że okryłeś nam serca żałobą,  
Świadczy o tem łza ta, ach łza...

Przystanął... Tak lubił tę pieśń żałobną...

Na krótki czas, na krótki,  
Ach żegnaj nam, ach żegnaj,  
Bo i nas Bóg powoła, powoła tam.  
Naaaa króótki czaaaas, ach żeeegnaj naam  
Bo-o i nas Bóóg powo-ła ach tam...

szły ku niemu pożegnalne słowa żałosnej pieśni pogrzebowej...

Zajrzał do słabo oświetlonej izby... W blasku kilku świec i dymiącego łuczywa rozpoznał ponure twarze kolegów... Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi i wszedł do środka... Zebrana gromadka rozstała się przed nim... Teraz dopiero przekonał się, kogo tak smutnie żegnali...

Na ławce leżał wyciągnięty Tadzik... Szttywny, z przymkniętymi oczami i skrzyżowanymi na piersiach rękami... Na bladej, nieruchomej twarzy zastygł uśmiech... Ten jego dziecinnie-naiwny uśmiech zadowolenia... Jakby chciał powiedzieć: „a widzisz?... mówiłem ci?...”

Zbyszek w pierwszej chwili osłupiał... Nie mógł ze siebie słowa wykrztusić... Stał tak nieruchomo, wpatrując się w zeszywniałą twarz przyjaciela... Wreszcie opanował się i podszedł do ławki... Przyklęknął i zaczął szeptać modlitwę: „Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna“... Poczem wstał ociężale, jeszcze raz, spojrzął na dziwnie uśmiechniętą twarz i pogłaskał zimne czoło...

— Jakże to się stało?... — zwrócił się do kolegów.

— Podczas ataku na Lesienice... rano... — wyjaśniał Hercog, — został ranny... Dostał w pierś... Myśleliśmy, że nic strasznego... Zabrał go sanitariusz... Pod wieczór przyśliśmy go odwiedzić... Było już po wszystkim... Podobno już nie żył, gdy go sanitariusz przyniósł przed ambulans... Szkoda chłopca...

Zbyszek westchnął głęboko...

— Czy odwiozą go do Lwowa, czy tu pochowają?...

— Nie wiem!... Zdaje się, że tu na cmentarzu...

— Mam tam dziś stanowisko!... Są jeszcze jakie straty?...

— Nie!... A u ciebie?...

— Wszyscy cali!... Chciałbym być na pogrzebie!...

— Chcielibyśmy wszyscy!... Ale nie wiadomo czy się da?...

Umilkli... W izbie zapanowała grobowa cisza... Na wszystkich twarzach można było wyczytać szczerzy, głęboki smutek... Nie było jednego, któryby nie odczuł boleśnie tej straty...

Zbyszek stał przez dłuższą chwilę bez ruchu, wpatrując się w zaostrome rysy martwej twarzy... Wreszcie odwrócił się, westchnął i, uściskawszy dłoń Hercoga, opuścił żałobną izbę.

Oswiałym krokiem powlókł się do placówki... Po drodze wstąpił na cmentarz... Zastał przy maszynie Kajetanowicza... Postać z nim chwilę i zawrócił...

W stodole znalazł wszystkich na miejscu...

— Jakież nam nowiny przynosisz?... — zagadnął go Stefek.

— Tadzik... zginął... — wyrzucił ze siebie.

— Tadzik?... Kiedy?...

— Dzisiaj rano... pod Lesienicami...

— No wiesz!... Od kogo się dowiedziałeś?...

— Widziałem go... Trup... Możecie, Wojtaszewski, położyć się... — zwrócił się do kaprała. — Ja nie będę spał.

Kaprał wyciągnął się na wiązce słomy...

— A ty przygotuj się... — zapowiedział po chwili Stefkowi. — Dziesiąta dochodzi... Pójdiesz zmienić Kajetanowicza...

— To na tym cmentarzu?...

— Aha... Boisz się?...

— Eee, nie... Tylko głupio w taką ciemną noc... Przytem ta wiadomość o śmierci Tadzika... Eeeech!... Szkoda chłopaka!...

— Szkoda... — westchnął Zbyszek. — No!... Zbieraj się...

Poszli razem na cmentarz... W ciemnościach zawadzali o sterczące krzyże, potykali się o groby... Co chwila Stefek się wzdrygał, łapiąc za ramię kroczącego przed nim Zbyszka...

— Nie bój nic!... Niema strachów... To tylko krzyże...

Dotarli wreszcie do maszynki... Zwolniony z posterunku Kajetanowicz umknął natychmiast do stodoły... Zbyszek pozostał, by oswoić przyjaciela z niezbyt przyjemnem o tej porze otoczeniem...

— Ale tu głupio!... — szeptał Stefek. — Pierwszy raz w życiu jestem w nocy na cmentarzu!...

— Jutro może Tadzik zajmie tu stałe stanowisko...

— Ale wiesz?... Tu wcale nie tak strasznie, jak to się nieraz w książkach czytało...

— Nie boisz się już?... No to trzymaj się...

— Co?... Już idziesz?... Zostań jeszcze trochę... Przecież wszystko ci jedno czy tu, czy tam... Ja tu aż dwie godziny mam stać samotnie. Jezus!... Marja!... Aż do dwunastej!... O północy sam na cmentarzu!...

— Przyjdę ze zmianą przed dwunastą... Żebyś się zbytnio nie przestraszył swojego cienia, gdy księżyc zaświeci...

— Wiesz co, Zbychu?... Zmówmy „Zdrowaśkę“ za Tadzika... Może go tu pochowają?... Zostanie przy nim nasza modlitwa...

— Hm... — mruknął Zbyszek, pragnąc zdusić ogarniające go wzruszenie. — Hm... można...

Przyklękli nad mogiłą, na której osadzona była maszynka i zaczęli bezdźwięcznie szeptać modlitwę...

— I światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków, amen. — zakończył Zbyszek, wstając z klęczek.

— Szkoda Tadzika!... — westchnął Stefek.

— Szkoda... Ale sobie wywróżył, co?... Został frajtrek i zginął na polu chwały...

— Takie to dziwne...

— Stało się zadość jego życzeniu... No!... Trzymaj się, Stefku!... Nie bądź mazgajem i nie bój się krzyży!...

— Serwus, Zbychu!... Ale nie spóźniaj się ze zmianą!... Pamiętaj!...

— Przyjdę z Zakrzewskim przed dwunastą...

Zostawiwszy Stefka przy maszynce, powrócił do stodoły... Zmęczona gromadka chrapała spokoj-

nie, wiedząc, że Zbyszek nad nimi czuwa... Usiadł na skrzynce z amunicją i pogrążył się w zadumę...

Śmierć Tadzika, z którym się był serdecznie zaprzyjaźnił, żywo go dotknęła... Tembardziej, że z rozmów z nim wiedział, iż śmierć przeczuwał... Mimo to szedł na jej spotkanie z beztróskim uśmiechem szczerzego zadowolenia... Z tym uśmiechem, który zastygł na martwej twarzy w chwili konania... Ten dziwny uśmiech miał Zbyszek przed oczami, gdy wspominał poległego przyjaciela...

— Musiał być bezgrzesznym dzieckiem, skoro śmierć tak piękną zdołał sobie uprosić... — myślał Zbyszek.

Powoli odzyskiwał równowagę i spokój... Pilnowanie wskazówki zegarka odrywało poniekąd jego myśl od smutnych refleksji.

Kwadrans przed północą zbudził Zakrzewskiego i zaprowadził go na stanowisko, by zmienić Stefka...

— No co?... Nie bałeś się?... — pytał przyjaciela, gdy razem wracali do stodoły.

— Nie... Z początku czułem się trochę głupio... Ale się przyzwyczaiłem... Wcale nie tak strasznie na cmentarzu w nocy, jak to ludzie bają...

W stodole rzucił się Stefek na słomę i wkrótce zachrapał... Zbyszek resztę nocy spędził, czuwając nad zegarkiem, by nie opóźnić zmiany posterunków, odbywającej się regularnie co dwie godziny...

O świcie zagrały ukraińskie polówki, wyciągając czwartaków na linię... W rozgardjaszu wszechynającej się walki zabrakło Zbyszkowi czasu na rozmyślenia o poległym przyjacielu. Zmuszony do



zmiany stanowiska, usadowił się z maszynką w przydrożnym rowie, osłaniając lewe skrzydło 14...

Atakująca tyraljera ukraińska natknęła się na cztery ujadające wściekle maszynki... Kilka celnych serji i kilkanaście granatów ręcznych wystarczyły, by ostudzić wojowniczy zapal hajdamaków...

Przekonawszy się, że nie są zbyt mile widzianymi gośćmi, zawrócili, nie zważając na pogrożki wściekających się atamanów...

Po tej nieudanej znów próbie zepchnięcia czwartaków z zajmowanych stanowisk ukraińcy dali za wygraną, poprzestając na odszczekiwaniu się z półówek i miotaczy min... Reszta dnia zeszła czwartakom na umacnianiu linii i pilnowaniu skrzydeł...

Popołudniu nadjechały z miasta wozy prowiantowe i kuchnie, przywożąc czwartakom po raz pierwszy od czterech dni ciepłą strawę oraz zapas prowiantów i amunicji...

Już zdaleka poczuła wiara apetyczny zapach gulaszu... Jakkolwiek od kilku miesięcy karmiono bractwo tym magjarskim specjałem, mocno zaprawionym papryką, — tego dnia ten przysmak węgierski wydawał się tak smacznym, że cała linja pośpieszyłaby po „repetę“... Niestety, sytuacja bojowa zezwalała na to tylko kilkunastu wybrańcom, których wydelegowano do wsi po fasunek... Pozostali na stanowiskach musieli zadowolić się przyniesioną im porcją...

Zbyszek wysłał po obiad dla całej obsługi Stefka i Zakrzewskiego... Minęła dobra godzina, zanim wrócili, obładowani menażkami, chlebakami i skrzynkami z amunicją...



— Cóżście tak długo marudzili?... — przyganiał im Zbyszek, podnosząc się z ziemi, by odebrać swoją menażkę i chlebak.

Naraz parsknął śmiechem...

— Stefuniu!... Jak ty wyglądasz?... Gdzieżeś się tak umorusał?...

Cały mundur Stefka ochlapany był krupnikiem... Nawet twarz miał oblepioną ziarnami krupy...

— Niech szlag cholerę trafi!... — zaklął Stefek, wycierając twarz.

— Cóż się wam przydarzyło?... — pytał Zbyszek, zabierając się do obiadu.

— Taj charatali wściekle ukraińcy... Ani przejść nie było można!... Taj mina wyróżnęła nam przed samym nosem... Musielimy klapnąć... Taj si zupa trochu rozlała... — tłumaczył Zakrzewski, trzymając się jedną ręką za głowę.

— A wam co jest?... — zdziwił się Zbyszek, teraz dopiero zauważywszy strumyk krwi, spływający z pod czapki frajtra. — Ranny jesteście?...

— Taj mni trochu drasnęło po głowie... „Streifschuss“...

— Trzeba wam było zawrócić do wsi i do łapiducha...

— Taj fasunk musiałem przynieść... Paluchowski nie dałby sobi rady...

— Ta szkoda kuźde słowo!... Dymejcie zaraz do łapiducha!... Na jednej nodze!... Już was tu nima!...

Zakrzewski pozbierał swoje manatki i chyłkiem zaczął przemyskać się do wsi...

— Jakże z Tadzikiem?... — spytał Zbyszek przyjaciela, usiłującego bezskutecznie zetrzeć z munduru ślady krupnika.

— Dziś rano go pochowali... Na cmentarzu, gdzieśmy w nocy mieli maszynkę...

— Widzisz?!... Objął po nas stanowisko... Szkoła chłopów!...

Schował do plecaka wypróżnioną menażkę...

— Wiesz, Zbychu, że za trzy dni mamy Wielkanoc?...

— Już Wielkanoc?... A to ci nam czas zleciał!...

— Pomyśl!... Już prawie cztery miesiące, jak przyjechaliśmy...

— A dwa miesiące, jak otrzymałeś chrzest bojowy...

— Prawda, że 17-go lutego... A dziś 17-ty kwietnia... Ciekawym, jak tu będziemy Wielkanoc świętować?...

— Zwyczajnie... Poleżysz cały dzień w rowie przy maszynce, albo też ruszymy naprzód i zjemy święcone w Podborcach...

Reszta dnia minęła spokojnie, a pod wieczór zwinięto linę i wystawiono placówki... Cichą noc spędził Zbyszek ze swą gromadką we wsi, odsypiając zaległości z dwóch poprzednich nocy...

## XXI.

Dzień Zmartwychwstania wstał w pełnej krasie rozkwitającej wiosny... Na odcinku czwartaków panowała zupełna cisza... Jakby się obydwie strony walczące zmówiły... Nawet połówki ukraińskie milczały... Jedynie z prawego skrzydła dochodziły słabe echa walki... To „zuchowaci“ i strzelcy lwowscy prowadzili natarcie w okolicy Sichów-Pirogówka...

Przed południem Zbyszek ze Stefką odwiedzili grób Tadzika... Resztę dnia spędzili w towarzystwie kolegów, rozpamiętując wybryki i dowcipne kawały poległego przyjaciela i zastanawiając się nad dziwnym zbiegiem okoliczności, które zadośćuczyniły gorącym pragnieniom zmarłego...

Zupełny spokój, panujący na linii, natchnął Zbyszkę myślą wybrania się do miasta... Zwierzył się Stefkowi, który naturalnie przyklasnął temu zamiarowi. Udali się więc do pchr. Miljana po przepustki... Zastali go przed kwaterą z gromadką maszynowców, którym demonstrował celność swojego „Steyera“, strzelając do prowizorycznej tarczy...

Zbyszek, po przywitaniu, chwilę przyglądał się tej zabawie, wreszcie zagadnął:

— A trafi pan podchorąży tego wróbla, tam, na dachu?...

- Trochę za daleko...
- A ja go capnę ze sztucera...
- Nie chyci...
- Założmy się..
- Dobrze... Ale o co?...
- O przepustkę do miasta...

— Idzie... Ale pospieszcie się, bo wróbel może coś skapować i drapnie... — śmiał się pchr. Miljan.

Zbyszek złożył się i wypalił... Wróbel znikł z dachu prawie jednocześnie ze strzałem... Zbyszek był przekonany, że ptaszek odfrunął przed oddaniem strzału...

— Zdaje się, żem spudłował...

Popędzili pod stodołę... Nic... Ani śladu wróbla...

— A może z tamtej strony?... — wtrącił Stefek.

Obeszli stodołę i zaczęli szukać... Na zaśmieconej słomą i sieczką ziemi znaleźli drobne ciało, przestrzelone na wylot... Ktoś podniósł pokrwawiony strzęp, ukazując wszystkim rezultat Zbyszkowego strzału...

Spojrzawszy na ofiarę swojej sprawności strzeleckiej, Zbyszek poczuł się jakoś niewyraźnie... POCO zamordował tego biednego wróbelka?... Co mu zawinił ten mały ptaszek?... Męczyło się biedactwo przez długą zimę, wzdychając do wiosny, do słońca. a gdy wreszcie ciepły promień ledwie zaczął rozgrzewać zziębnięte skrzydełka, padło ofiarą zdradzieckiego strzału... POCO strzelał do tego Bogu ducha winnego wróbelka?... I to dziś, w święto Zmartwychwstania, gdy nawet hajdamaki przycichli!...

Dziwne jakieś uczucie wstydu owładnęło Zbyszkciem... Coś, jakby wyrzut sumienia... Czuł się winnym, jak gdyby naprawdę zbrodnię popełnił...

Ze smutnych refleksji wyrwał go głos pchr. Miljana.

— No, no!... Pogratulować wam!... Wygraliście zakład...

Zbyszek otrząsnął się i stuknął obcasami...

— Na kiedy chcecie przepustkę?...

— Na jutro, jeśli można, panie podchorąży...

— Można... Jutro będzie jeszcze spokój...

— Czy mógłbym, panie podchorąży, prosić o przepustkę na dwóch?... Bo chciałem z kolegą się wybrać...

Stojący obok Stefek wyprężył się...

— To wy też?...

— Tak jest, panie podchorąży... Proszę posłusznie...

— Dobrze, dobrze... Zapomniałem, że to Lelun i Polelum...

Wyciągnął notatnik połowy i napisał przepustkę...

— Wstąpicie do kompanji, żeby wam pieczętę przylepili... Ale o północy musicie być z powrotem...

— Tak jest, panie podchorąży... Dziękujemy...

— Nie szkodzi... nie szkodzi... Wesolej zabawy!... Serwus!...

W drodze na kwaterę Zbyszek wcale nie okazywał zadowolenia z otrzymanej przepustki...

— Masz minę, jak z komina... — zauważył Stefek. — Cóż tak nos na kwintę spuścił?...

— Jakoś mi tak głupio przez tego wróbla...

— Przez jakiego wróbla?... — dziwił się Stefek, nie przypuszczając, że dotyczyło to postrzelonego ptaszka.

— No, com go postrzelił... Tak mi jakoś dziwnie... W dzień tak uroczysty, w dzień Zmartwychwstania, ubilem niewinnego ptaszka... Tak to mnie jakoś gryzie...

— No wiesz?... Pyszny jesteś, Zbychu, dalibóg!... Przejmujesz się głupim wróblem, a codziennie walisz do hajdamaków i nic... I jeszcze się wściekasz, gdy serja pada przed ich kopytami!... A to przecież ludzie!...

— Ach, głupi jesteś!... To zupełnie co innego... Wojna!... Do nas strzelają, to i my strzelamy... My się przecież tylko bronimy!... A co mi wróbel zawinił?...

— Daj sobie już spokój z tym wróblem... Prześpisz się to i zapomnisz...

Nazajutrz po śniadaniu wybrali się do miasta...

— Pamiętasz, Zbychu, jakeśmy tak we dwójkę drałowali z Sądowej Wiszni?... Trzeszczał mróz, śnieg chrupał pod nogami... A teraz mamy już wiosnę... Wielkanoc... Jak nam ten czas zleciał!...

Zbyszek uśmiechnął się na wspomnienie swojej dezercji...

— A teraz jesteś już weteranem, okrytym ranami... Obrońcą Lwowa!...

— A ile mamy do miasta?...

— Jakieś 16—18 kilometrów...

— Kumet drogi... To tak, jak z Sądowej Wiszni do Gródka Jagiellońskiego?...

— Prawie to samo... Ale zdaje się, że ktoś nadjeżdża...

Dopędził ich wóz taborowy 5 p. p. Leg.

— Dokąd to?... — spytał Zbyszek woźnicy.

— Taj do miasta...

— Zmieścimy się?...

— Czemu ni, panie plutonowy?...

Wskoczyli na wóz radzi, że oszczędzą swoim pedałam kilkanaście kilometrów...

Około dziesiątej stanęli w mieście... W koszarach panowały kompletne pustki... Jedyne służba inspekcyjna i maruderzy kręcili się po korytarzach i pustych salach...

W kancelarii, gdzie im dyżurny pisarz przypieczętował przepustki, otrzymał Zbyszek list... To „Luśka“ zawiadamiała go o opuszczeniu szpitala i zainstalowaniu się na dawnej swojej kawalerce...

Podczas, gdy Zbyszek odczytywał list, Stefek wyskoczył na dziedziniec, by wywachać, czy się nie da czego przegryźć... Ale i tu panowały puchy... Kuchnie wyjechały już do Zboisk i na Zniesienie, gdzie pokutowali jeszcze czwartacy z innych kompanji... Wrócił więc z kwaśną miną...

— Cóż pocniemy z tak pięknie rozpoczętym dniem?... — zagadnął Zbyszka.

— Przedewszystkiem muszę wstąpić... do szpitala... — zęłgał beczelnie.

— Do „Lucka“, co?... — przymrużył Stefek jedno oko. — Ja niby też wybieram się z wizytą... Ale możebyśmy najpierw wstąpili gdzie na przegryzkę?... Chyba, że się wybierasz na jaką wyżerkę?...



— Głupiś!...

— No to wstąpmy do Ligawki, a potem każdy w swoją stronę...

— Mogiemy...

— To chodźmy, bo szkoda czasu... Już po jedenastej...

Zawiesiwszy przez plecy sztucery, opuścili koszary... Mijając słońcem zalane ulice, dziwili się, że takie puste są o tej porze... Dopiero koło przepelnionych kościołów przypomnieli sobie, że to przecież Wielkanoc... Zatrzymali się przed jedną ze świątyń i przyklękli, chyląc w pokorze obnażone głowy...

Po skończonem nabożeństwie ruszył tłum na miasto... Zaroily się ulice rozjaśnionymi radosnym uśmiechem twarzami... O wiele swobodniej mogli teraz śmiać się lwowiacy...

Od kilku dni, t. j. od chwili wypędzenia ukraińców z Czartowskiej Skały, ani jeden pocisk nie padł na miasto... Można było teraz spokojnie siedzieć w domu, wałęsać się po ulicach, chodzić do kościoła, kręcić się po deptaku...

Uderzającym był brak na ulicach wojska... Spotykali wprawdzie gdzie niegdzie „łazika“ prowiantowego w długich, czarnych spodniach, ale „prawdziwych“ żołnierzy kręciło się niewielu...

Na deptaku natknęli się na patrol Legji Kobiecej...

— Obywatele pozwolą przepustki... — zwrócił się do nich komendant, kapral w spódnicy.

— A czy to konieczne?... — uśmiechnął się Zbyszek.

— Bez żartów, obywatelu... bo odprowadzimy na odwach.

Zbyszek pokazał przepustkę, podczas gdy Stefek odwalał „perskie oko z arabską żrenicą“ do stojących nieco w tyle legionistek.

— W porządku... Dziękuję... — rzekła pani kapral, zwracając dokument.

— Nie szkodzi, panno... kapral... Wesołego Alleluja!...

Spojrzała na niego służbowym wzrokiem, ale nie wytrzymała i wyszczerzyła białe zęby...

— Dziękuję!... Nawzajem!... Cześć, obywatele!...

— Cześć, panno kapral i miłe koleżanki!...

Poszli dalej, oglądając się co chwila za oddalającym się patrolem...

— Fajne wojsko, co?... — śmiał się Stefek. — Tak im do twarzy w mundurkach i kloszowych spodniczkach... A jak zawadjacko maciejówki na bakier noszą?!... Ciekawym, co by była za heca, gdybyśmy tak nie mieli przepustek?...

— Przyskrzynyłaby cię, jak nic, bracie... Z takim kapralem, to gorzej jak z austriackim feldfeblem... Takie to są bardziej służbowe, jak sama służba...

W zacisznych ulicach południowej części miasta doleciało ich uszu słabe echo dalekiej kanonady...

— Słyszysz, jak wałą?...

— Pewnie pod Sichowem, albo Pirogówką... Ciekawym, jak się tam sytuacja przedstawia?...

— Dowiemy się u Ligawki... Mają najświeższe komunikaty...

Wyciągnęli nogi, bo ich żołądki gwałtownie zaczęły domagać się „fasunku“...

W gospodzie zastali suto zastawiony święconem bufet i... kompletne puchy, jeśli chodziło o towarzyszków broni... Kilka starszych pań siedziało w kątach, rozprawiając o sytuacji bojowej i wymieniając pomiędzy sobą wiadomości z terenu walk... Na widok przybyłych zerwały się wszystkie...

— Cześć!... Całuję rączki!... Wesołego Alleluja!... — kłaniali się przyjaciele w postawie zasadniczej.

— Ach!... Jak si maci, chłopcy!... — witały ich panie z uśmiechem szczerego zadowolenia. — Jak to dobrze, że wyście przynajmniej zawitali do nas... Naszykowałyśmy święcone, a tu gości ani na lekarstwo!... I wczoraj, i dzisiaj!... Wszystko na linji... Biją się, taj biją!... W same święta!... — biadały zmartwione niewiasty.

— My już od kilku dni pędzimy hajdamaków... — zauważył Zbyszek.

— Naprawdę?... A w których stronach walczyacie?...

— Na odcinku Podborce-Winniki...

— A to wyści może przepędzili hajdamaków z Czartowskiej Skały?...

— Nie... To zuchowaci... 5-ty p. p. Leg.

— A wicie już, że Wilno jest nasze?...

— Naprawdę?... Kiedyż to?...

— Wczoraj zdobyte... W samą Wielkanoc... Dzisiaj przyszły depesze...

— Wicie co, chłopcy?... — wtrąciła jedna z pań. — Tu niema co robić... Ze święconego już nie będzie... Chodźcie więc do mnie na święcone...

Nieprzygotowany na taką propozycję Zbyszek się stropił..

— Serdecznie dziękujemy, proszę pani... Myśmy tak tylko wpadli, żeby złożyć życzenia... Musimy wracać na odcinek... Prawie 20 kilometrów... — zaczął się tłumaczyć.

— No to zjecie święcone i pójdziecie...

— Kiedy, proszę pani, my nawet nie jesteśmy przygotowani na jakieś wizyty... Wprost z linii przychodzimy... Umorusani od stóp do głowy... Nawet ręce porządnie nieumyte... A buty nasze, jak wyglądają?... — próbował ją odstraszyć grubą warstwą błota, przyschniętego do podeszew i obcasów, wiedząc, że lśniąca podłoga jest oczkiem w głowie każdej pani domu.

— Ta cóż takiego.... Umyjcie się u mnie i oczyścicie...

— Ależ, proszę pani... Jakże tak?... Z karabinami, z granatami,... w goście, na święcone?... — starał się wymigać, pokazując swoje śmiercionośne narzędzia.

— A komuż to przeszkadza?...

— Ależ, proszę pani!... — próbował jeszcze Zbyszek, przeczuwając klęskę.

— Tylko bez ceremonji!... — przerwała mu. — Nima o czem mówić!... Idziemy do mnie na święcone!...

Nie pomogły żadne tłumaczenia, ani wykręty... W towarzystwie zaborczej „ligawki“ opuścili pustą gospodę...

## XXII.

W mieszkaniu gościnnej „ligawki“, przywitał ich uprzejmie jej małżonek, zapraszając zakłopotanych przyjaciół do salonu...

— Panowie chcieli się umyć?... — przypomniała bez żenady rezolutna pani. — Może panowie pozwolą do łazienki?... Służąca zaprowadzi... Proszę panów nie krępować się... Jak u siebie w domu...

— Dziękuję... Przepraszamy... — wymamrotali przyjaciele w ponsach po uszy, udając się za służącą do łazienki.

— A tośmy wdepli... — śmiał się Stefek, szorując przesiąknięte oliwą ręce.

— Tylko ty, mało, trzymaj fason i nie gadaj wiele o swoich bohaterstwach!... — upominał go Zbyszek, znając bujną imaginację przyjaciela i wiedząc, że lubi czasem pofantazjować.

— A ty się nie baw w mentora, bo ci w tej chwili wcale z tem nie do twarzy... Zresztą, nie jesteśmy teraz w służbie... Mamy jednakowe prawa...

— Jak ci tak od prawa tem mydłem zamaluję twoją fasowaną gębę, to ci się zaraz służba przypomni!... Mikrus jeden!... Dawaj szczotkę do rąk!...

Zmywszy ze siebie jako tako maszynowe brudy, poprosili o szczotkę i pastę do butów... Ale dobrze

wytresowana służąca natychmiast przykucnęła przed nimi i zabrała się do glansowania butów tak miłych gości...

Wyszorowani i wypucowani udali się do salonu, ostrożnie stąpając po miękkich dywanach...

— Odświeżyli się panowie?... — uśmiechnęła się uprzejma pani.

— Bardzo przepraszamy za kłopot...

— Ach!... co za kłopot?!... Nima o czym mówić... Proszę panów na święcone...

Przeszli do jadalni i zasiedli do suto zastawionego stołu... Po podzieleniu się jajkiem, wypróżniono kieliszki...

Mimo serdecznej zachęty ze strony gospodarzy, przyjaciele czuli się jakoś nieswojo... Odwykli nieco od prawdziwego towarzystwa... Co innego w gospodarstwie, dokąd uczęszczali gromadnie... Tam się nie zważało na formy... Wiele rzeczy uchodziło... Ale tu, w tym pokoju ze lśniącem meblami i miękkimi dywanami... W którym promienie słoneczne załamywały się na rozstawionych tu i ówdzie kryształach, mieniących się wszystkimi kolorami tęczy... I te talerze, talerzyki, podwójne noże i widelce, duże i małe... Kieliszek większy i mniejszy... I ta serwetka po prawej ręce!...

To wszystko krępowało onieśmielonych przyjaciół... Stracili cały swój animusz czwartacki... Przytem wszystkim Zbyszek pozostawał jeszcze pod wrażeniem śmierci Tadzika...

Roztropni gospodarze, pragnąc ośwoić niemrawych gości, nie pozwalali im próżnować, napełniając co chwila kieliszki i podsuwając pełne półmiski...



Jakoś po czwartym kieliszku przyjaciele rozruzyli się i wkrótce wytworzyła się miła, domowa atmosfera...

Stefek zgoła zapomniał o przestrodze przyjaciela, wsiadł na swego ulubionego konika i zaczął komponować pyszne historie o swoich niezliczonych czynach bojowych... Zbyszek, słuchając tego bujania, uśmiechał się pod nosem, rzucając od czasu do czasu kilka słów, należycie oświetlających bohaterstwo niedoszłego kawalerzysty... Wreszcie sam się rozkrochmalił i zaczął sypać anegdotkami, charakteryzującymi ciekawy stosunek byłych legionistów do ś. p. c. i k. władzy...

W miłym nastroju minęło niepostrzeżenie kilka godzin... Gdy wstano od stołu, przypomniał sobie Zbyszek, że miał przecież zajść do „Luški“... Chciał też odwiedzić w szpitalu rannego Wojtkę... Musieli jednak odsiedzieć obficie skropione święcone, bo przecież to nieprzyzwoicie tak najeść się i pójść...

Odrobili więc wymaganą kodeksem towarzyskim godzinkę i, tłumacząc się koniecznością natychmiastowego powrotu na odcinek, pożegnali miłych gospodarzy...

— No, co?... Fajnie było?... Nafrygałeś się?... — pytał Stefek, gdy znaleźli się na ulicy.

— Fajnie bo fajnie!... Ale powiedz mi, bracie, u kogo myśmy byli?...

— Jakto u kogo?... U ligawki!...

— Odkryłeś Amerykę, idjotman!... Kto to są ci państwo?... Jak się nazywają?...

— A prawda!... Jak się nazywają?...

— Taż pytam się ciebie, cymbalisto!...



— Skądże ja mam wiedzieć?...

— Myślałem, że znasz ją z gospody!... Bywałeś tam przecież podczas łazikowania z kulawą nogą!...

— Znam ją tyle, co ty!... Nawet sobie nie przypominam, czy ją kiedy widziałem w gospodzie!... Ale wiesz co?... Zaraz możemy się dowiedzieć, jak się nazywa... Wrócimy do tego domu i przeczytamy tabliczkę na drzwiach...

— Musiałeś wyžłopać wszystką oliwę z maszynki, boś wcale nie taki głupi, na jakiego wyglądasz... A pod którym to było numerem?...

— Pod którym numerem?... Dalibóg nie zauważyłem!... Jakaż to ulica?...

— Teraz się małpa pyta, jaka to ulica!... Przeczytaj sobie latarnie nad bramą!... Nie dwoi ci się w oczach?... Czytaj!... So-bies-kie-go!...

— Więc to ulica Sobieskiego?... Pamiętam, że to było na pierwszym piętrze!...

— Dużoś zapamiętał, trombonie!... A szczególnych znaków na kamienicy nie zauważyłeś?...

— Jakich znaków szczególnych?...

— Jesteś skończony bałwan i tyle!... Nawet ci oliwa nie pomogła!... Słuchaj więc, przyjacielu drągi!... Ja już nie mam czasu, bo muszę dymać!... Ale ty musisz sprawdzić numer domu i nazwisko!... Trzeba nam będzie kiedyś złożyć wizytę i podziękować!... Rozumiesz?... Nie wypada przecież!... Nafrygać się święconych delikatesów i zapomnieć!... Co z żołądka, to i z serca!... Nie można tak, kochasiu!... Więc pójdziesz na patrol, rozumiesz?... Przejdź się i sprawdź numer

i nazwisko... i zrób sobie węzełek!... Masz chustkę?... To dobrze!...

— Jakże trafię, kiedy nie znam numeru i nie pamiętam domu?... Przecież wszystkie są do siebie podobne!...

— Nie mówiłem, że jesteś bęćwał?... Trzeba ci wszystko łopata wyłożyć, trombonie!... Ani odrobiny orjentacji!... I takie coś ma aspiracje na frajtra!... Przecież to nic trudnego kogoś znaleźć, skoro się zna ulicę, a nawet stronę ulicy!...

— Więc jak poznam, żem trafił, kiedy nie znam domu, ani nazwiska?...

— Och ty, mente captus!... Przecież to takie proste!... Przejdziesz się po pierwszych piętrach tych kilku domów aż do następnej przecznicy, bo to było przed nią, będziesz dzwonił do każdego mieszkania i zapytasz, czy tam nie mieszka... no przypuśćmy... pan porucznik Paluchowski...

— Cha, cha, cha!... Cha, cha, cha!... — wybuchnął Stefek. — Cha, cha, cha!... No dobrze!... Ale powiedz mi teraz, po czym poznam, żeśmy akurat w tem właśnie mieszkaniu byli...

— Och ty, matolku jeden!... Z ciebie już żaden frajter nie będzie!... Przecież, jak zadzwonisz, to ci ktoś otworzy!... Służąca albo kto inny!... Chyba poznasz krasawicę, co ci buty pucowała?...

— No dobrze!... A jak poznam, to co jej mam powiedzieć?...

— Co ci ślina na język przyniesie!... Powiedz... no powiesz, żeś zostawił karabin!...

— Cha, cha, cha!... — pokładał się Stefek ze śmiechu. — Cha, cha, cha!... Przecież karabin mam

na plecach!... Cha, cha, cha!... Ale słuchaj, Zbychu. Czy ty jesteś naprawdę wstawiony, czy tylko tak strugasz warjata!...

— Stul buzię, jak do mnie gadasz, pieska twoja niebieska!... Na baczność cię postawię, miglanc jeden!...

— Dobrze, dobrze, Zbychu!... Będę stał, jak każesz, boś ty mój komendant i przyjaciel!... Ale słuchaj, Zbychu!... Przecież łatwo dowiemy się wszystkiego w gospodzie!... Powiedzą nam i nazwisko, i adres!... I napewno tę panią spotkamy u Ligawki!...

— Popatrz, popatrz, jak zmądrzał odrazu!... Wiesz co, kochasiu?... Powinieneś tak codziennie gołnać sobie parę kieliszków!... Może jeszcze będzie z ciebie porządny czwartak!... Ale dalej cię nie odprowadzam, mój dragi!... Muszę na Zyblikiewicza!... W jedno miejsce, gdzie wcale nie jesteś mi potrzebny!...

— To dymaj sobie, pieska twoja niebieska!... Wcalem nie ciekawy twoich sekretów!...

— Poco się indyczysz, skoro jesteś małpą zieloną?!... Muszę pójść na Zyblikiewicza!... Możemy potem się spotkać!...

— To dymaj sobie na Zyblikiewicza, a ja pójdę na Sykstuską do państwa Bobeckich!... Przyjdiesz tam po mnie?...

— Do Bobeckich?... — szukał Zbyszek w pamięci. — To ta, co w gospodzie grywa?... — przypomniał sobie swój koncert u Ligawki.

— Tak, to córka!...

— Jakżeś ty się tam wkręcił?...

— Poznałem ją w szpitalu, gdy ranny byłem!... Odwiedzały nas tam rozmaite ligawki!... Potem spotkałem ją w gospodzie i zaprosiła mnie do domu... Zacząłem więc bywać... Jest u nich kuzynka!... Mówię ci!... A gra?...

— Toś ty sobie używał podczas tego łązikowania!... Bohater ciężko ranny!... I ani słowem do tąd nie wspomniał!...

— A tyś mi opowiadał, gdzie się całymi dniami wałęsałeś?...

— A pies z tobą polkę tańczył!... Gdzież to mam po ciebie wstąpić?...

— Sykstuska 14, parter, lewa...

— Fajno!... Serwus!...

— Ale popatrz-no, Zbychu, czy ja zupełnie prosto idę?... bo mi się trochę kręci w głowie!...

— Jakże możesz prosto chodzić, kiedy masz ułańskie nogi?!... Serwus!...

Rozstali się na placu Marjackim... Zbyszek szedł powoli, kierując się na Zyplikiewicza... Głęboko wdychał przesycone wiosną powietrze, pragnąc wyzbyć się nieznośnego szumu w zaprószonej głowie... Będąc już u celu, zawrócił, przeszedł się jeszcze kilkakrotnie tam i z powrotem, aż zupełnie wytrzeźwia!... Wtedy dopiero zdecydował się zadzwonić do mieszkania Luśki...

Zastał ją w salonie gospodarzy... Nosiła jeszcze rękę na temblaku, ale była już... w sukni... Po zaprezentowaniu Zbyszka zebranemu towarzystwu, pociągnęła go do swego pokoju...

— Jakżeś się wyrwał?... Co tam u was słychać?... Gdzież ty się obracasz?... — zasypała go pytaniami.

Zaczął jej opowiadać o przeżyciach ostatnich tygodni, o rozpoczętej „wojnie“...

— Ach, jak jabym chciała być tam z wami!... — wzdychała, słuchając relacji Zbyszka o postępach ofensywy. — Ale macie pewnie duże straty?...

— Gdzie tam!... W mojej maszynie tylko jeden lekko ranny.. Frajter Zakrzewski... Ale... Tadzika dostało...

— A co z nim?... Ranny?...

— Zabity... Przed Wielkanocą... Pod Lesienicami...

— Jaka szkoda... Lubieś go bardzo?...

— Dobry był kolega... Ziściło się jego marzenie... Takeśmy go zawsze naciągali... A jednak miał rację!... Zginął na polu chwały, zostawszy fraj-trem!...

— Zbieg okoliczności, mój drogi!...

— Pewnie... Ale jednak to dziwne... Szkoda go!... A mnie widzisz nic... Żebym nie wiem, jak się o to starał!...

Opowiedział jej wypadek z Wojtkiem...

— No i widzisz... Wojtek leży teraz w szpitalu, a mnie nic... Jakbym był zaczarowany!...

— Ciężkie masz zmartwienie... — wzruszyła ramionami. — Ale też lekkomyślnie postąpiłeś, mój drogi, narażając bez potrzeby siebie i kolegę... — przyganiała mu.

— Wiem o tem, wiem... Byłbym dostał za to kilka dni paki, gdyby nie ofensywa... Ale jak ty się

czujesz?... Zupełnie zapomniałem spytać się o twoje zdrowie...

— Jak widzisz, trzymam się już mocno na nogach... Ramię dobrze się goi... Chodzę tylko co drugi dzień do opatrunku... Za jakiś tydzień będę już mogła się obejść bez temblaka... Głowa już w porządku... Już mi nawet włosy odrastają... — śmiała się. — Nie martwi mnie to wcale, bo do kompanji już wrócić nie mogę...

Zbyszek uważniej przyjrzał się dziewczynie... Wydała mu się teraz jakąś inną... Dotąd widział w niej dobrego przyjaciela, dzielnego kolegę, towarzysza broni... Ale dziś... Dzisiaj pierzchły gdzieś te platoniczne uczucia... Odezwało się w nim jakieś uczucie nowe... Po raz pierwszy odczuł w niej kobieć... Przypomnił sobie scenę pożegnania, gdy ostatni raz ją odwiedził w szpitalu...

Podszedł do niej z zamiarem wyjaśnienia sytuacji...

— Lusu... — wyszeptał miękko, ujmując jej zdrową rękę.

Podniosła na niego swoje „przezroczyście“ oczy...

— Co, Zbyszeku?...

— Tak mi jakoś dziwnie... Pamiętasz, jak nam było dobrze w Nadwórnej...

Uśmiechnęła się i cicho westchnęła... Osunął się przed nią i oparł głowę o jej kolano, jak to zwykł był dawniej czynić... Przeciągnęła ręką po jego włosach...

— Wiesz co, Lusi!... — odezwał się po chwili milczenia. — Mnie się zdaje..., że pomiędzy nami... jest coś więcej..., coś więcej, niż zwykła przyjaźń...

Odrzuciła głowę wtył i przymknęła oczy...

— No?... Coż ci się zdaje?...

— Zdaje mi się, że... cię... kocham...

— A ja?... Czy ci się nie zdaje?...

— Chwilami... Gdym cię ostatni raz żegnał w szpitalu, zdawało mi się...

— A dziś ci się nie zdaje, mój ty pesymisto?...

— Lusi!... Naprawdę?...

Schyliła się nad nim, garnąc do siebie ukochaną głowę.

— Ty!... Sinek mój!... — wyszeptła, całując jego włosy.

Przywarł ustami do jej zdrowej ręki... Przez chwilę pozostali tak w bezruchu...

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, Zbyszek zerwał się na równe nogi, znowu przyklęknął i utonął wzrokiem w jej oczach... W tych ukochanych „przezroczytach“ oczach...

— Więc to prawda?...

— Prawda, sinek, prawda...

— A dlaczego nie chciałaś, bym cię nazywał mamusinką?...

— Byłam przecież wtenczas chłopcem... — zaśmiała się, tuląc go do siebie.

— Jak to dobrze, że cię znalazł!... A teraz będziesz mi znowu mamusinką?...

— Naturalnie... Nie pozwolę przecież, żeby się inna tobą opiekowała!... Ty mój sinek!...



— Lusi! moja!... Mamusinko!... Jak dobrze z tobą!... Tak dobrze!...

Przygarnął ją delikatnie, uważając, by nie urazić postrzelonego ramienia... W milczeniu rozkoszowali się świadomością wzajemnego ukochania... Zwarci mocnym uściskiem, zaczęli kołysać się tam i z powrotem, jak przed rokiem w Nadwórnej na fotelu... Tak im było dobrze ze sobą w tej ciszy zapadającego zmierzchu!...

— Mamusinko...

— Czego, sinek?...

— Tak mi dobrze jest... a muszę iść...

— Trudno, sinku... Służba nie drużba..

— A kochasz?...

— Kocham... Kocham, Zbyszek!...

— Ty moja!... Mamusinko!... Ale... muszę iść...

Podniósł się z cichym westchnieniem...

— Kiedyż cię znowu zobaczę?...

— Teraz, zdaje się, będzie gorzej... Z każdym dniem oddalamy się od miasta...

— Wrócę chyba do kompanji, żebyśmy mogli być razem...

— No wiesz?!... Szkoda kuźde słowo!...

— No!... Nie dąsaj się!... Wiesz przecież, że teraz już nie da rady... Ale będziesz pisał?...

— Jak tylko będę miał wolną i spokojną chwilę... Ale ty musisz dużo i często pisać...

— Czasu mam teraz dosyć, a spokoju chyba mi też nie zabraknie... Będę ci pisała dziennik... Codziennie list... Wystarczy?...

— Och ty, mamusinko droga!... Moja ty!...

— Twoja, Zbyszku!... Twoja!... Ale pamiętaj, drogi, — upomniła go — uważaj na siebie!... Nie wolno ci się narażać lekkomyślnie!...

— Nie bój nic, mamusinko!... Teraz, gdy ciebie mam!...

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie... Podała mu usta... Długo trwał ten ich pierwszy miłosny pocałunek...

— Nie mogę, Lusieńko!... — stękał Zbyszek, odrywając się od niej. — Nie mogę!... Wyrzuć mnie, mamusinko, bo zapomnę o swojej maszynie...

— Kolumna familijna od prawego... Kierunek!... Gdzież to masz pójść?..

— Muszę wstąpić po Stefka, na Sykstuską...

— Kierunek Sykstuska... Sinek!...

Zbyszek poderwał się na baczność.

— Marrrsz!... — zakomenderowała.

Porwał ją w ramiona, okręcił kilka razy wokoło i ostrożnie postawił na podłodze...

— Idę, idę... bo nie wytrzymam!...

— Idź już, Zbyszku, bo już zupełnie ciemno...

Ucałował jej oczy i rękę...

— Pa, Zbyszku!... Uważaj na siebie!... Pamiętaj!... Wróć mi zdrów i cały!...

— Zrobi się, mamusinko!... Nie bój nic!... Pa, chowaj się zdrowo!...

— Pa, Zbyszku!... A napisz!... — upomniła go, odprowadzając do drzwi.

Sie wi!... Pa, mamusinko!...

— Pa, Zbyszkul... Do widzenia!...

Na ulicy przystanął, wycierając spoconą twarz... Uśmiechnął się do siebie i z sercem rozedrganem nagle wybujałą miłością pośpieszył na ul. Sykstuską...

U państwa Bobeckich zatrzymał się w przedpokoju, pytając o Stefka... Zjawił się z promieniejącą twarzą...

— Zbieraj się, bracie!... — przynaglał go Zbyszek.

— Mamy jeszcze czas... Dopiero siódma...

— Nie marudź, bo szkoda czasu... Mamy kumet drogi...

Do przedpokoju zajrzała panna Bobecka, którą Zbyszek swojego czasu poznał był w gospodzie...

— Dobry wieczór panu... — uśmieknęła się do niego.

— Całuję rączki i... do widzenia...

— Jaktol... Tak odrazu?... I przyjaciela chce nam pan zabrać?...

— Mamy przed sobą szmat drogi, proszę pani... Musimy na linję...

— Taj zdążycie jeszcze panowie... Taż to dopiero siódma... Niechże pan wstąpi do nas na chwilkę...

— Kiedy... nie znam nawet pani rodziców... A o tej porze...

— To pozna pan wszystkich... Też z pana ceremoniant...

— Kiedy, proszę pani...

— Czy to zawsze i wszędzie trzeba pana tak długo prosić?...

— No chodźże, Zbychu, na parę minut... — pośpieszył jej z pomocą Stefek. — Zdażymy przecież do dwunastej...

Zbyszek rzucił „mikrusowi“ wiele obiecujące spojrzenie i wszedł do salonu... Po zaznajomieniu się z towarzystwem został bezceremonjalnie „zafasowany“ przez głowę domu, emerytowanego kapitana ś. p. c. i k. armji, pana Bobeckiego...

— To pan jest... plu-to-no-wy?... — zagaił konwersację pan Bobeckie. — To tak, jak u nas... przepraszam, w austriackiej armji był zugsführer?...

— Tak jest, panie kapitanie...

— Widziałś, Maryniu?... — zwrócił się do żony. — Taki młody taj już zugsführer... plu-to-no-wy... A u nas, panie, w austriackiej armji, zugsführer to był już, panie, taki z wasami... A ile pan ma lat?...

— Skończyłem właśnie w marcu osiemnaście...

— Słyszałaś, Maryniu?... Osiemnaście lat taj już plu-to-no-wy!... To pan pewnie z Legjonów?...

— Tak jest, panie kapitanie...

— Słyszałaś, Maryniu?... Z Legjonów!... Taki młody!... To si napijemy, panie plu-to-no-wy?... Kieliszczek wina?...

— Serdecznie dziękuję, panie kapitanie... Na dzisiaj mam już naprawdę dosyć... Byliśmy z kolegą na tak obfitem święconem, że mi jeszcze dotąd z głowy nie wywietrzało...

— Taj jakże, panie plu-to-no-wy?... Z Legjonów i czwar-tak!... Musimy to oblać... pokropić!... Jak to tam, panie Stefku, wy śpiwacie?... Wszak czwartakami...

— Pułk nasz nazywano... — podchwycił Stefek:  
Co pił za czterech, za ośmiu się bił,  
Nam się w połowie dzisiaj, bracia.  
To należy miano,  
Choć się nie bijem,  
Pijem czasem, by się bój choć śnił!

— Taj jakże, panie plu-to-no-wy?... Po czwartaku... Pijem czasem, by się bój choć śnił!...

Na takie dictum Zbyszek nie znalazł wykretu...  
Stuknęli się więc kieliszkami i przypili do siebie...

— Panie Zbyszeku!... — zwróciła się do niego panna Bobecka. — Mamy tu skrzypce ojczulka...  
Możeby pan co zagrał?...

— Pamięta pani nasz koncert w gospodzie?... —  
uśmiechnął się. — Od tego czasu straciłem zupełnie  
ochotę do grania!...

— Taj proszę pana!... Oni wtedy tak tylko do-  
kazywali, żeby panu dokuczyć!... Ale pan naprawdę  
dobrze gra!... Niechże pan zagra!... Halszka panu  
zaakompanjuje!...

— Kiedy, proszę pani, nie jestem nawet usposo-  
biony!... — kłamał Zbyszek.

W gruncie rzeczy był zadowolony, że się pozbę-  
dzie niemiłej indagacji pocziwego staruszka... Poza  
tem miał wielką ochotę wygrać na skrzypcach ra-  
dosną pieśń, którą rozbrzmiewało jego miłością prze-  
pełnione serce...

Podszedł do pianina i przejrzał nuty...

— Pani gra to wszystko?... — spytał panny  
Halszki.

— Nie, proszę pana!... — zarumieniła się dziewczeczka. — Ja tylko ze słuchu gram... Nawet nie znam nut...

Przyjrzał się pannie Halszce... Była naprawdę ładną... Lat szesnaście, może siedemnaście... Buzia wiśniowa, oczy modre, w dwa czarne łuki oprawne, przyciemnione długimi rzęsami, cera alabastrowa, twarzyczka o regularnym owalu, okolona ciemną, o złotawym połysku, fryzurą a la garçon. W uśmiechu pokazywała dwa mocno osadzone rzędy równych, perełkowatych zębów...

— Śliczna bestyjka!... — pomyślał Zbyszek. — Ma gust ten mikrus!...

Otworzył futerał, wsunął skrzypce pod brodę i nastroił...

— Będzie pani akompanjować ze słuchu?... — zwrócił się znowu do panny Halszki.

— Spróbuję!... — uśmiechnęła się.

Zagrał wiązkę pieśni legjonowych... Panna Halszka dość poprawnie towarzyszyła mu od ucha... W saloniku zaległa cisza, przerywana od czasu do czasu szeptem zachwyty pana Bobeckiego.

— I co ty na to, Maryniu?... Taki młody!... Osiemnaście lat!... Taj już plu-to-no-wy!... A jak gra?...

Zbyszek był w nastroju... Grał swobodnie, ale z pewnym rozmachem... Obserwował biegłość swoich palców... Jakoś dziwnie lekko skakały dzisiaj po strunach...

Gdy skończył, rozległy się oklaski i prośby o jeszcze... Tym razem nie dał się długo prosić... Za-

czał wiązaną pieśń z „Halki“, a skończył arją z kurantami ze „Strasznego Dworu“...

Szczere zachwyty szczupłego, ale wyborowego audytorjum, były mu nagrodą za afront, jaki go spotkał w gospodzie...

— Dziękuję pani!... — skłonił się przed panną Halszką.

— Niema za co!... — zarumieniła się akompanjatorka.

— Ale komu w drogę, temu czas!... Melduję posłusznie, panie kapitanie, — wyprężył się Zbyszek przed panem Bobeckim, — że z przykrością zmuszeni jesteśmy państwa pożegnać...

— Już?... Taj może jeszcze kieliszeczek, panie plu-to-no-wy?... Tak strze-mien-nego!...

— Kiedy, panie kapitanie, i tak już mam głowę nieco zaproszona!... Boję się, że nie trafię na odcinek!... Mamy przed sobą prawie że dwadzieścia kilometrów!...

— To wy tak prosto do dekungów?... Na pozycję?...

— Jakież my tam dekungi mamy, panie kapitanie?!... Na zielonej trawce!... Niema czasu na budowanie okopów!.. .

— Słyszałaś, Maryniu?... Taj prosto od nas na pozycję!... Taj żeby ja nie był taki stary i żeby w nogach mi tak nie strzykało!... Oj!... Poprowadziłby ja was, chłopcy, na angryf!... Z takim wojskiem, to my wygramy wojnę!... Mówię ci, Maryniu, że wygramy!...

— Dałby Bóg, żeby się to już skończyło!... — westchnęła pani Bobecka.



— Taj żeby mi tak w nogach nie strzykało!... Poszedłby ja z wami, chłopcy!... Z takim wojskiem!... I tak prosto na pozycje!... — nie mógł się nadziwić stary kapitan.

— Całuję rączki!... Dziękujemy!... Cześć, panie kapitanie!... — żegnali przyjaciele miłych gospodarzy.

— Cześć, cześć!... A pamiętajcie o nas, chłopcy!... Zajrzyjcie do starego!... Oj!... Poszedłby ja z wami!... Taki młody, taj już plu-to-no-wy!... — kiwał głową pan Bobeckich, odprowadzając gości aż do drzwi.

— No co?... Zadowolony jesteś?... — pytał Stefek przyjaciela, gdy opuścili gościnny dom państwa Bobeckich.

— Owszem, zawodolony!... Bardzo miła rodzina!...

— Ale ci stypny ten stary?...

— Bardzo sympatyczny!... Chłop z wiary!...

— A co powiesz o Halszce?...

— To ty już z nią tak, per ty?...

— Z nią nie!... Tylko tak między nami!...

— Owszem, niczego!... Ale srocзка jeszcze bezogoniasta!... Ileż ona ma lat?...

— Zdaje się, szesnaście...

— I ty się do niej kopiesz?... A ona co?...

— Ona?... Nic!... Nie mówiłem z nią jeszcze o niczem...

— I ty myślisz, że ona ze swoją buzią, jak malina, polecą na twój fasowany pysk?... Och, ty mikrus jeden!... A co na to powie twoja Zosia, którą zostawiłeś w Lublinie?...

Pytanie to nieco stropiło Stefka...

— Mówię ci, brachu, — ciągnął Zbyszek, — nie zawracaj sobie gitary tu i tam!... To jest dobre dla marynarzy, dla ułanów, ale nie przystoi uczciwemu czwartakowi!... Panna Halszka jest, owszem, przystojna, ale to jeszcze nie wystarczy, żeby sobie nią głowę zaprzętać!... A ty jesteś skończony cymbał, że się odrazu palisz, jak ogórek w lampie. Poza tem radzę ci, jak uważasz... Tymczasem podciągnij swoje ułańskie pedały, bo do dwunastej musimy odrobić prawie 20 kilometrów.

— Może dojedziemy fjakrem do Zniesienia, a stamtąd pomaszerujemy?...

— Widzisz!... Jak masz rację, to ci zawsze przyznam!... Hej, fjakier!... — zawołał na przejeżdżającą dorożkę. — Pojedziem na Zniesienie?

— Ta czemu ni?...

— Za ile?

— Z pięć koron...

— To jedź pan sam!

— Ta to taryfa taka...

— Żryj pan taryfę!

— Taj ile panowie dają?

— Po koronie na twarz...

— Ta joj!... Za dwie korony na Zniesienie?...

— A spacer z taryfą da panu więcej?...

— Taj jedziem, jak inaczej nie idzie...

Wskoczyli do fjakra, który ich odwiózł na Zniesienie, a stamtąd pomaszerowali przyśpieszonym krokiem, by jeszcze przed północą stanąć w Lesienicach...

## XXIII

Zbyszek ze swą gromadką sterczał w leśniczówce niedaleko już Podborców, gdy otrzymał rozkaz wycofania się z linji.. Zluzowany przez maszynkę z 5 p. p. Leg. zebrał obsługę i pomaszerował do Lesienic, gdzie miał zebrać się cały pluton...

Przybywszy do wsi zastał już tam resztę maszynek i wózki przygotowane do odmarszu...

— Co jest?... Odchodzimy stąd?... — pytał kolegów.

— Wracamy do Lwowa...

— Ta niby poco?...

— Tyle nam wiadomo, co i tobie!...

Niebawem ukazał się pchr. Miljan, którego zasympali pytaniami... Zbywając żartami zaciekawioną wiarę, wyjaśnił tylko, że wracają z nim do miasta, podczas, gdy ppor. Obrzut zostaje jeszcze w Dowództwie grupy... Po chwili rozkazał złożyć maszyny i sprzęt na wózki... Bractwo sprawnie się uwinęło...

— W ordynku, biegiem, zbiórka!... — padła komenda.

Ustawili się, czekając... Pchr. Miljan zlustrował pluton i kazał odliczyć...

Gromadka nieco się zmniejszyła w porównaniu ze stanem w dniu przybycia na odcinek... Brakowało

czterech... Trzech pewnie wróci wkrótce do plutonu... Za tydzień, może za miesiąc... Jeden tylko nie wróci... Starszy legionista Tadeusz Mazurkiewicz... Pozostał na stanowisku... Na cmentarzu Lesienickim...

— Kolumna sekcyjna od prawego... kierunek koszary... plutooon... maarrsz!... — zakomenderował pchr. Miljan.

Formując równe, jak pudełeczka, czwórki, ruszył oddział we wskazanym kierunku, zostawiając za sobą rozgwar bitewny...

— Kolumna marszowa!... Odtrąbiono!...

Ścieśniły się szeregi, wrzeszcząc na całe gardło: odtrąbiono!...

Kolumienka ożywiła się... Posypały się dowcipy, wybuchy śmiechu.. Nagabywany przez rozochoczone bractwo pchr. Miljan nie nadszedł z odpowiedziami na liczne zapytania, dotyczące powodu wycofania ich z linii... Jakże to?... Byliby już może dzisiaj w Podborcach... Szmata ziemi pozostał jeszcze w rękach hajdamackich, a ich zabierają do koszar, gdy jeszcze w stanie są zapędzić wroga w kozi róg?!...

Tyle się dowiedzieli z odpowiedzi dowódcy, że wracają na Zamarstynowską, gdzie napewno sytuacja się wyjaśni... Dali więc spokój podchorążemu i przyspieszyli tempa, by jaknajprędzej stanąć w mieście, za którym bądź co bądź już się stęsknili...

Przy wtórze pieśni, dowcipów i beztróskiego śmiechu droga wydała się im znacznie krótszą... Około godziny 3-ciej popołudniu stanęli w koszarach... Zaroily się puste sale i korytarze, w których znowu rozbrzmiewał wesoły gwar czwartackiej gromady...

Po wyczyszczeniu maszynek i sztucerów zebrała się cała 4-ta K. K. M. na dziedzińcu koszarowym... Przed frontem stanął sierżant służbowy Appel i odczytał rozkaz dzienny... Teraz dopiero dowiedziała się wiara przyczyny powrotu do koszar... Reszta pułku, znajdująca się we Lwowie, — t. j. Dowództwo pułku i IV bataljon, a właściwie tylko 12 i 13 kompanje oraz 4-ta K. K. M., — opuszcza za trzy dni miasto... Wyjeżdżają do Jabłonnej, skąd po reorganizacji i uzupełnieniu wyruszą na front bolszewicki... Na froncie lwowskim pozostają tylko 14 i 15 kompanja w składzie grupy operacyjnej 5-go p. p. Leg. ...

— I co ty na to?... — zainteresował Stefek przyjaciela, gdy wracali na salę.

— Wola Boska i skrzypce!... Bóg i Ojczyzna!... Rozkaz — to rozkaz!... Będziemy pracować bolszewików!...

— Ale szkoda ze Lwowa wyjeżdżać!...

— Ta szkoda!...

Zawołano po kawę... Poszli do kuchni z menażkami... Na dziedzińcu natknęli się na Marjanka i Franka z 13-ki...

— Serwus, Zbyszek!... Serwus, Funiu!... Kupe lat my się nie widzieli!... — cieszył się szczerze Marjanek, ściskając przyjaciół.

— Serwus, Maniek!... Dejże pyska!... Serwus, Franiu!... Żyjecie?...

— Taj żyjemy!...

— Jakże się macie?...

— Taj mamy si i owszem!...

— I popatrz!... Wyjeżdżamy!... — biadał Marjanek.

— Bo taki los wypadł nam, że dziś tu, a jutro tam!... — zaśpiewał Zbyszek w odpowiedzi.

— Cóż robicie z wieczorem?...

— Jeszcze nie wiem!... Trzebaby się wyszorować porządnie, odpocząć...

— Odpoczniecie w wagonie... Wybierzmy się do gospody... Jeszcze tylko dwa dni możemy używać we Lwowie!...

— Ewentualnie... Zobaczymy po kolacji...

— Zabierzcie Tadzika... — zaproponował Marjanek.

— Tadzika?... — uśmiechnął się smutnie Zbyszek. — To ty nie wiesz, że Tadzik zginął?...

— Zginął?... Tadzik?... Kiedy?... — dziwił się Marjanek, jak gdyby to było niemożliwe.

— Pod Lesienicami... Już tydzień... Przed Wielkanocą...

— No wiesz!... Dopiero od ciebie się dowiaduję!...

— Tak, bracie!... Zginął na polu chwały... Jak sobie wymarzył!...

— To dziwne... Szkoda chłopca!...

Owionął ich szczery, głęboki smutek... W milczeniu rozeszli się do swoich kuchni...

Po kolacji Marjanek z Frankiem zjawili się na sali maszynowców...

— No co?... Nie idziecie?... — pytali, widząc, że ani Zbyszek, ani Stefek nie są przygotowani do wyjścia.

— Nie!... — skrzywił się Zbyszek. — Może Stefek się wybierze z wami... Muszę się porządnie wyszorować, wypucować, bo wyglądam gorzej, niż ten



batjar z Łyczakowa!... Jutro mogę się z wami zabrać...

— A ty, Funiu?...

— Ja chyba też nie... Trzeba odsapnąć po „angryfie”...

— No to i my nie pójdziemy!... — zdecydował Marjanek za siebie i przyjaciela.

Zostali więc wszyscy w koszarach... Zasiedli w kąciku, informując się wzajemnie o przeżyciach i wrażeniach, odniesionych w ostatnim okresie rozstania... Zeszło im na tem kilka wolnych przed capstrzykiem godzin...

Następnego dnia zaraz po obiedzie stawił się Marjanek...

— A gdzież Franek?... — spytał go Zbyszek.

— Służbę ma... Sierotką jestem... Idziemy?..

— Owszem... I tak muszę być w gospodzie, bo chcę się dowiedzieć o nazwisko i adres jednej ligawki, u której byliśmy na święconem. Ale przedtem muszę jeszcze wpaść na ul. Zyplikiewicza...

— Masz co na sercu?... — uśmiechnął się Marjanek filuternie. — Przyznaj, że się tak gorliwie opiekujesz Luśką?...

— Ta co tu dużo gadać, jak niema o czem mówić!... — lawirował Zbyszek, nie znoszący tego tematu z kolegami. — Chodźmy, szkoda czasu!...

Ruszyli w trójkę do miasta... Idąc ludnemi ulicami, spostrzegli, że ruch znacznie się ożywił i wzmógł... Twarze przechodniów roześmiane... Nikt nie przystawał nasłuchując i oglądając się za bezpiecznym schowkiem... Znacznie mniej było rozbitych szyb wystawowych... Sklepy, choć gdzienie-



gdzie miały deskami pozabijane okna, wszystkie jednak były otwarte... Gdyby nie nagie szkielety rozwalonych ukraińskimi granatami budynków, gdyby nie obdrapane pociskami z tynku mury i głębokie leje na chodnikach i jezdniach, — niktby się nie domyślił, że o te ulice, o te mury, toczyły się tak jeszcze niedawno przez kilka miesięcy krawawe boje...

Przyjaciele z ciekawością oglądali teraz każdą dziurę, każdą rysę na murach... Te widome ślady przebytych walk, od których to ukochane przez nich miasto zostało wreszcie uwolnione!...

Teraz może już Lwów spokojnie spać!... Już go nie dosięgną hajdamackie pazury!... Ale zawsze to szkoda wyjeżdżać z kochanego Lwowa!... Ano!... Wola Boska!... Muszą i bolszewicy przekonać się, jak to czwartacy biją...

Na deptaku przystanęła przed nimi jakaś młoda, skromnie, ale gustownie ubrana niewiasta, wlepiając szeroko rozwarte oczy w osłupiałego Marjanka... Przystanęli wszyscy zakłopotani, a Marjanek spiekl raka od ucha do ucha... Po chwili jakby wahania, nieznajoma załamała ręce, znowu je rozłożyła i wreszcie rzuciła się na swoją ofiarę z okrzykiem:

— Maryś!... Maryś moja!...

Zaczęła tulić, ścisnąć, całować biednego Marjanka, zaglądając mu co chwila w oczy, jakby przekonać się chciała, czy nie padła ofiarą autosugestji...

— Maryś moja!... Ta to ty?!... Maryś!...

Zbyszek ze Stefkiem poprostu zdurnieli... Spoglądali raz po raz to na Marjanka, to na nieznajomą, to na siebie, nie mogąc zrozumieć przyczyny tego nagłego ataku czułości „zwarjowanej baby“...

Ale przerażony i bierny w pierwszej chwili Marjanek uległ nagle jakiemuś niezrozumiałemu dla nich porywowi i zaczął oddawać nieznajomej niemniej czułe uściski i pocałunki...

Zbici z tropu przyjaciele z głupią miną przyglądali się tej dziwnej zmianie usposobienia Marjanka...

Wreszcie ustały pocałunki i rozluźniły się uściski... Marjanek, mimo wylanej czułości, miał minę, jakby go z krzyża zdjęli, a twarz nieznajomej promieniała radością i pewnym niepokojem jednocześnie... Stanęli tak naprzeciwko siebie, przyglądając się nawzajem badawczo...

— Taj prawie cały tydzień cię szukam!... Od świąt!... — odezwała się wreszcie nieznajoma.

Marjanek wnet odzyskał równowagę i humor...

— Pozwól, Jadziu, że ci przedstawię moich kolegów... Zbyszek Wirecki i Stefek Paluchowski... A to, moi drodzy, moja siostra... A ja... ja... jestem też jej siostrą...

Przyjaciele uścisnęli dłoń panny Jadzi... Ale sytuacja przedstawiała się dla nich nadal, jak tabaka w rogu...

— Cóż to za szopki, Maniek!... — spytał wreszcie Zbyszek.

Marjanek zaśmiał się, klepiąc go po ramieniu...

— Właśnie się kończy szopka, mój drogi!... Tyle, że jestem drugim wydaniem Lucka Głowackiego...

Kubel zimnej wody nie byłby tak podziałł na oszołomionych przyjaciół, jak to swobodne, tak zgłupia frant uczynione, wyznanie Marjanka, vel panny Marysi Ipochońskiej... Zapomnieli języka w gębie...

— Taż to moja siostra!... — wtrąciła panna Jadzia. — Uciekła w listopadzie z domu, z Jarosławia!... Taj nie wiedzieliśmy, gdzie si podziała!... Pół roku my jej szukali!... Przyjechałam, żeby si wywieźć w Legji Kobiecej!... Taj już cały tydzień szukam po Lwowie!...

— No już dobrze, Jadziu!... dobrze!... Wdeplam, jak śliwka w kompot!... Będę musiała teraz kieckę włożyć!... A niech to jasny gwint!... — zaklął „Marjanek“.

Panna Jadzia ze zgorszeniem spojrzała na siostrę...

Zbyszek otrząsnął się wreszcie z wrażenia, chrząknął kilka razy i trącił Stefka...

— Zostawmy ich... — szepnął, a do sióstr się uśmiechnął i zaczął się kłaniać. — Pozwolą panie, że je pożegnamy... Do widzenia, panno Marysiu!...

— Jaka panna Marysia?... — zachnęła się zde-maskowana. — Po staremu!... Maniek!... Nie będziemy sobie chyba panować teraz albo wykać!... Ale poczekajcie chwilkę!... Takie pożegnanie nie może ująć na sucho!... Musimy przecież oblać moją metamorfozę!... Nieprawda, Jadziu?...

— Jak uważasz, Maryś!...

— Naturalnie, że uważam!... Chodźcie, Zbyszk, Stefku!... Wstąpimy na jednego, tak na hipcika!... Musimy przecież pożegnać się po czwartacku!... Innej okazji nie będzie, bo w kiece nie da rady!...

Ujęci swobodą i beztroskim humorem towarzyski broni przyjaciele uśmiechnęli się głupkowato... Nie byli jednak zdecydowani ze względu na pannę Jadzię i chwilę się ociągali...

— Ta nie strugajcie warjatów!... — obruszył się rzekomy Marjanek. — Przecież jeszcze w portkach jestem!... No!... Chodźmy!...

Wstąpili do pierwszej napotkanej knajpy i przy bufecie gołnęli sobie na stojąco parę kieliszków... Panna Jadzia ze zgorszeniem przyglądała się manierom i zachowaniu swojej siostrzyczki... Oczywiście kieliszka nie tknęła...

— Teraz bywajcie mi, moi kochani!... — zaczął Marjanek, gdy znowu stanęli na ulicy. — Żal mi was opuszczać!... Ale już nie dam rady, skoro mnie wytropiła moja kochana siostrzyczka!... Zawiadomcie Franka!... Na noc, naturalnie, nie wrócę do koszar, bo przecież... nie wypada!... Niech zamelduje porucznikowi Kaszy albo Lenowi... Jutro się zgłoszę do kompanji, by załatwić formalności... i pożegnać się z Frankiem... i z całą trzynastką!...

— Serwus, Maniek!... Trzymaj się... kiecki!...

— Cześć, panno Jadziu!... Cześć, panno Marysiu!...

— Cóż wy tak ozięble?... — przyganiała im. — Ta deścież pyska!...

Wyściskała i wycałowała każdego po kolei... Z pewnem zakłopotaniem oddawali jej koleżeńskie pocałunki... Wreszcie, uściskawszy dłoń panny Jadzi, przyjaciele zostawili Marjanka z siostrą...

— I cóż ty na to?... — pytał Stefek, gdy zostali sami.

— Fajny kawał!... Lucek!... Marjanek!... Cała maskarada!... — śmiał się Zbyszek. — Nigdybym nie przypuszczał, że to dziewczyna!...

— Nie uwierzyłbym, gdybym nie był przy tem!... Ale Frankowi to się gęba wydłuży!... Cha, cha, cha!...

— Ciekawym, ile ich jeszcze jest pomiędzy nami?...

— Wiesz?... Wartoby nakręcić wodzów, żeby urządzili przegląd bataljonu w kostjumach kąpielowych!...

— Albo poranną gimnastykę bez koszul!...

Śmiali się ze swych pomysłów, mających na celu zdemaskowanie ewentualnej reszty czwartaków płci rzekomo słabej...

— Dokądże zamierzasz?... — spytał Zbyszek, gdy skręcili na pl. Marjacki.

— Mieliśmy przecież do gospody?...

— Za wcześniej... Wstąpię najpierw na Zyblikiewicza... A ty może... do Halszki?...

— Też jeszcze za wcześniej...

— No to odprowadź mnie...

Poszli razem na Zyblikiewicza... Pod domem, w którym zamieszkiwała Lucyna, Zbyszek pożegnał przyjaciela, umówiwszy się z nim w gospodzie.

Lucyny jednak nie zastał w mieszkaniu... Gospodyni nie umiała go objaśnić, kiedy powróci... Zakomunikował więc, że jeszcze raz wstąpi wieczorem...

Na ulicy dojrzał zdaleka sylwetkę wolno kroczącego Stefka... Dogonił go i, nie mając narazie nic lepszego do roboty, wstąpili razem do szpitala, by odwiedzić i pożegnać Wojtkę... Frajter niezmiernie ucieszył się odwiedzinami przyjaciół, gdyż przez cały czas pobytu w szpitalu nikt z kompanji do niego nie zajrzał... Rana jego nie była niebezpieczną... Chodził już po sali, podpierając się laską...



— A nie gniewasz się na mnie, Wojtek?... — spytał go Zbyszek.

— Ta co tam, panie plutonowy!... To tak sądzono było!...

Żałował tylko, że nie może z nimi razem wyjechać, by wziąć udział w „angryfie“ na bolszewików!...

Pożegnawszy Wojtkę, skierowali przyjaciele swoje kroki do gospody... Były tam jeszcze puchy... Zasiedli więc do dzienników, studjując komunikaty bojowe...

Sytuacja przedstawiała się o tyle pomyślnie, że miastu nie zagrażało już żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo... Lwów znalazł się poza zasięgiem ognia ukraińskiej artylerji. Mogli być spokojni o los umiłowanego miasta... A tereny, jęczące jeszcze pod hajdamacką przemocą, zostaną wkrótce wyzwolone przez napływające na tereny walk nowosformowane pułki... Lada dzień spodziewano się też przybycia wojsk błękitnych, które opuszczały już gościnną Francję... Czwartacy mogli już teraz odjechać na rozprawę z nowym wrogiem, zagrażającym wschodnim granicom wyzwolonej Polski...

Zagłębieni w lekturze nie zauważyli nawet, że gospoda zaczęła powoli się zapełniać...

— Wiesz co, Zbychu?... Możebyśmy się spytali o nazwisko naszej ligawki?... — przypomniał Stefek.

— Racja... Trzeba się dowiedzieć... Wypada nam podziękować i pożegnać się przed wyjazdem...

Podeszli do uwijających się przy bufecie pań i zaczęli rozpytywać... Niestety, usługujące niewiasty należały do młodszej generacji i nie były w stanie udzielić przyjaciołom potrzebnych danych... Dali

więc za wygraną i opuścili gospodę... Stefek udał się do państwa Bobeckich, a Zbyszek do Lucyny...

I tym razem nie zastał jej w domu... Ale uprzejma gospodyni poprosiła go, by zaczekał, gdyż spodziewa się, że panna Lusia lada chwila powróci... Zaprowadziła go do jej pokoju i dyskretnie się ulotniła...

Dla zabicia czasu zaczął Zbyszek przeglądać książki, których pełno było we wszystkich kątach... Po kwadransie zjawiała się Lucyna... Padli sobie w objęcia...

— Już wróciłeś?... Cały?... — cieszyła się.

— Cały i zdrow... ale... na krótko... Pojutrze wyjeżdżamy!...

— Dokąd to?...

— Tym razem troszkę dalej... Na front bolszewicki...

Wiadomość ta zaskoczyła ją...

— Na front bolszewicki?... — wyszeptała. — Tak nagle?!...

— Wojna, mamusinko!... Dziś tu, jutro tam!...

— Kiedyż to się skończy?...

— Skończy się, mamusinko!... Za rok, za dzień, za chwilę!... Wojna światowa się skończyła, to chyba i nasza się skończy!... Przetrywamy!... A po skończonej wojnie, po skończonej wojnie, każdy swoją pojmie!... — przyśpiewał jej dla rozwiania smutnych myśli.

Uśmiechnęła się i ukryła zapłonioną twarz na jego piersi...

— A wiesz, jaką mieliśmy dziś hecę?... — zagadnął, by odpędzić natrętą myśl o bliskim rozstaniu.



— Cóż się wam przydarzyło?...  
— Odkryliśmy drugie wydanie ciebie!...  
— Jakto?... Nie rozumiem cię!... Drugie wydanie mnie?...

Opowiedział jej o zdemaskowaniu Marjanka vel Marysi Ipochorskiej...

— Aniby mi przez myśl nie przeszło, że to może być dziewczyna!... — zapewniał. — Gdybym nie był przy tem, nie uwierzyłbym!... A pila, jak stary czwartak!...

— Szkoda, że jej nie znałam!... — uśmiechnęła się Lusja. — Byłoby nam weselej we dwie...

— A jak ty sądzisz, mamusinko?... Ile tak dziewczynek może jeszcze być w naszym bataljonie?...

— Skądże ja mogę wiedzieć?... — śmiała się. — Każda z nas bała się komukolwiek zwierzyć z zamiaru wstąpienia do prawdziwego wojska...

— Wykombinowaliśmy ze Stefką, żeby zarządzić przed wyjazdem kilka lekcji gimnastyki bez bielizny!...

— Dobry pomysł!... cha, cha, cha!... odrazu wszystkie znajdziecie!...

Odzyskawszy humor, zaczęli rozpamiętywać przeżyte razem chwile, marzyć o przyszłości i ani się spostrzegli, gdy wybiła godzina powrotu Zbyszka do koszar...

— Ano!... Trzeba pójść jeszcze troszkę pomieszkać na Zamarstynowie!... — westchnął Zbyszek. — Przedostatnia noc!...

— Nie wspominaj mi, bo ci jeszcze kawał zrobię i pojedę z wami!...

— Oho!... Już teraz nie chyci!... — uśmiechnął się z zadowoleniem. — Teraz przed przyjęciem do wojska kandydat musi stanąć przed lekarzem w stroju adamowym!... A ty chyba nie pokazałabyś się w efektownym stroju swojej prababci Ewy?...

— Och ty!... — zamknęła mu usta paluszkciem.  
— Idź już wstętny, bo... się spóźnisz!...

— To pa, mamusinko!... Do jutra!...

— A przyjdź zaraz po obiedzie!...

— Sie wi!... Tylko, żebyś znowu gdzie się nie zawieruszyła, bo... nie będę czekał!... — pogroził jej w drzwiach.

Uśmiechnęła się i przesłała mu ręką pocałunek.

W koszarach zastał już Stefka, który zdążył obwieścić nowinę o zdemaskowaniu Marjanka... Sensacja ta w mig obleciała wszystkie kompanje wywołując huragany śmiechu i rozmaite dowcipy na temat naiwności czwartaków płci brzydkiej... Dopiero późno w nocy uciszyło się bractwo, zasypiając przy wtórce pobłażliwych napominań służby inspekcyjnej...

Nazajutrz koszary Zamarstynowskie opustoszały zaraz po obiedzie... Wiara czwartacka rozbiegła się, by pożegnać ukochane miasto, w którym spędzili kilka obfitych we wrażenia miesięcy...

Zbyszek, umówiwszy się ze Stefką, że wstąpi po niego do państwa Bobeckich, pośpieszył do Lusi... Siedziała naturalnie w domu, oczekując swojego „sinka“...

Całe popołudnie spędzili na kanapie, przytuleni do siebie, snując nić marzeń o przyszłości i starając się odsuwać wszelką myśl o rozstaniu... Poco psuć sobie nastrój ostatnich chwil?...

Uprzejma i dyskretna gospodyni podała im kolację do pokoju... Przypomniało to im pamiętny dzień 17-ty lutego, gdy znalazł ją ranną na placówce, a potem zajadali jedną łyżką z jednej menażki...

Posiliwszy się kolacją i wspomnieniami, wrócili na swoje miejsce i z biciem serca oczekiwali chwili, która wreszcie nadejść musiała... Starali się ją opóźnić... Ale nie sposób dłużej przeciągać!... Już 10-ta!... A musi jeszcze wstąpić na Sykstuską po Stefka... Wypadałoby pożegnać się z państwem Bobeckimi...

Zbyszek wstał ociężale, przetarł czoło i głęboko westchnął... Tak głupio zacząć to pożegnanie!... Takie smutne są jej „przezroczyste“ oczy!...

Wreszcie zdecydował się przerwać kłopotliwe milczenie...

— Lusu... Muszę już... odejść...

— Już?...

Podniosła się i złożyła głowę na jego ramieniu... Przygarnął ją i ucałował zasmucone oczy...

— Mamusinko!... Cóż to za sentymenty?... — przemawiał do niej łagodnie. — Nosek do góry!... No, mamusinko!... Toś ty taki czwartak?...

Uśmiechnęła się i mocniej przytuliła do niego...

— Kiedy to tak ciężko, Zbyszeku!... — skarżyła się. — Tak mi smutno...

— Będziemy pisać do siebie... Stęsknimy się... bardziej się pokochamy... Powiedział jakiś filozof, że rozłąka potęguje prawdziwe uczucie, a niweczy małe... Jest to więc dla nas dobra okazja, by się przekonać, czy się naprawdę kochamy...

— Ach ty, mój pesymisto!...

— Nie, Lusi!... To nie pesymizm... Ale naszym młodym serduszkom nie zaszkodzi takie małe doświadczenie...

— Sinek!... Nie mędrkuj!... Mój jesteś i niczyj!...

— Nie tak bardzo znowu, mamusinko... Przede wszystkim należę do 4-tej K. K. M., a potem dopiero do ciebie... — śmiał się.

— Mój jesteś, mój!... — upierała się, tupiąc nogami i obsypując go pocałunkami.

— Twój, twój!... — szeptał Zbyszek, nie zostając jej dłużnym.

— A o której wyjeżdżacie?... — spytała nagle.

— Nie wiem dokładnie... O godzinie 7-mej maszerujemy na dworzec Podzamecki...

— To pewnie około 11-tej odjedziecie...

— Może wybierasz się na dworzec?...

— Dlaczegożby nie?...

— Nie, mamusinko!... Nie chcę!... Nie przychodź na dworzec...

— Dlaczegoż to?... Może cię inna odprowadza?...

— No wiesz!... — oburzył się. — Nie chcę, bo... bobym się rozmazał... Nie przyjdiesz na dworzec, nie?...

— Kiedy takbym chciała... Będę spokojniejsza, gdy cię zobaczę w gromadzie... No i godzi się przecież swój pułk pożegnać?!...

— Ta pewnie... pułk... naturalnie... Zresztą, jak chcesz... Wolałbym, żebyś nie przychodziła... No!... Ale bywaj mi, bo się muszę śpieszyć... Pa, Lusi!... Bywaj mi zdrowa... i... Kochaj sinka!...

— Zbyszkule!... — tuliła się do niego. — Pamiętaj!... Uważaj na siebie!... Wróć mi cały i zdrow!... Nie narażaj się lekkomyślnie!...

— Nie bój nic, mamusinko!... Nie dam się skrzywdzić!... A co ma wisieć, nie utonie!...

Jeszcze raz ucałował jej smutne „przezroczyste“ oczy, rękę jeszcze nieco szorstką i, otrzymawszy na drogę „macierzyński“ pocałunek w czoło, wybiegł z pokoju...

U państwa Bobeckich zastał Stefka w przedpokoju, żegnającego się już z całą rodziną... Przywitani Zbyszka wyrzutami, że się tak późno pokazał, że od nich stroni... Zaczął więc przeproszać, tłumaczyć, ale rad, że trafił na ostatnią chwilę, podziękował za wielkanocną gościnę i pośpiesznie się pożegnał...

Przez całą drogę do koszar rozplýwał się Stefek nad panną Halszką, twierdząc, że jest po uszy zakochany... Zbyszek od czasu do czasu jakimś jędrnem słówkiem ostudzał kochliwe serduszko przyjaciela...

W koszarach mimo spóźnionej pory panował ożywiony ruch... Bractwo powoli złążyło się z pożegnalnych wizyt... Na dziedzińcu ładowano wozy, które o świcie miały odjechać na dworzec...

Powróciwszy na salę, przyjaciele spakowali swój skromny dobytek, by mieć wszystko w porządku i wyciągnęli się na siennikach...

Rano o godzinie 7-mej koszary Zamarstynowskie opustoszały... Kompanje 12 i 13 oraz 4-ta K. K. M. wyruszyły na dworzec Podzamecki, a 14 i 15 znajdowały się na linii, daleko już poza Lwowem...



Sznur wagonów oczekiwał czwartaków na dworcu... Były to na czerwono pomalowane pudła, przeznaczone dla 46 ludzi lub 6 koni i 4 ludzi... Każdy pluton otrzymał jeden wóz... Dla oficerów z dowódcą pułku na czele przeznaczono wagon mieszany II i III klasy...

— Ty, Zbychu... — trącił Stefek przyjaciela, gdy pluton ich ustawił się przed jednym z wagonów. — To my takim bydlęcym pojedziemy?...

— Jakim bydlęcym?... Przecież to salonka... Nie jechałeś nigdy taką salonką?...

— Jeszcze nie...

— No to zobaczysz, jak to wygodnie...

Na komendę „wsiadać“ zaczęła wiara gramolić się do wagonów... Zbyszek ze Stefkiem i Julkiem ulokowali się wygodnie w jednym z kącików, układając plecaki pod ścianą...

Było jeszcze sporo czasu do odjazdu... Zarezerwowawszy sobie miejsca, wiara zaczęła wyglądać i wyłazić z wagonów, przed którymi uganiał komendant transportu, kpt. Smykał... Ktoś wyciągnął harmonję, urozmaicając nudne chwile oczekiwania ulubionymi przez czwartaków piosenkami...

Otoczony grupą oficerów przed wagonem II klasy, dowódca pułku, pułkownik Zulauf, — przewzany przez czwartaków „naszym Kościuszką“ z racji niepospolicie zadartego nosa, — zerknął w stronę harmonji, uśmiechając się znacząco do otaczających go oficerów... Wreszcie podszedł do grającego i wziął mu instrument... Przysiadł na pustej beczce, znajdującej się na peronie, i zaczął koncertować.



Powoli wiara poczęła się gromadzić wokoło beczki z ukochanym dowódcą... Posypały się dowcipy, komplementy, żarciki na temat nadzwyczajnego uzdolnienia pana pułkownika... Słuchał z pobłażliwym uśmiechem, przyzwyczajony do takiej poufałości ze strony oddanych mu całym sercem czwartaków... Wreszcie odezwał się:

— No, batjary!... Sztajerka!... Panie proszą panów do sztajera!...

Natychmiast potworzyło się kilka par... Koło, otaczające beczkę, rozstało się, szykując miejsce tańczącym, a pułkownik Zulauf zarzął od ucha... Zawtórował mu wesoły śpiew:

Gdy mi muzyczka zagra sztajera  
Oj diridiridi, oj diridi ra  
To mnie do tańca bierze cholera  
Oj diridiridi ojra...  
Sztajera nie tańczy panna od igielki  
Oj diridiridi, oj diridi ra  
Tylko ta co nosi wapno i cegiełki  
Oj diridiridi ojra...

Wiara zamaszyście wywijiała, podrzucając w górę podkute żelazem nogi i tumany kurzu... Nie raziło to nikogo... Mało się kurzu nałykali?...

Po sztajerku poszła polka „Husia-Siusia“.. Hucznie zegnała ukochany Lwów gromada czwartacka... Jak przystało na spadkobierców „Tysiąca Walecznych“!...

Obserwujący wraz z innymi wesołe pląsy Zbyszek naraz poczuł na sobie czyjś wzrok... Instynktownie odwrócił się i zaczął rozglądać się niespo-

kojnie... Po chwili spotkał się z wlepionemi węż oczami Luśki... Stała w drzwiach poczekalni... Podbiegł do niej...

— Przyszłaś jednak!... — udawał niezadowolonego.

— Nie mogłam, Zbysku!... Masz... Trzymaj to...

Podawała mu sznureczkiem obwiązaną paczkę...

— Cóż to?..

— Nic... Na drogę... Masz tam fotografię mamusinki...

Uściskał tylko jej dłoń, gdyż wstyd przed kolegami nie pozwalał mu przycisnąć jej do ust... Wtem zawołał go ktoś po imieniu... Obejrzał się... To Frank z jakąś niewiastą... Ledwie ją poznał... Przecież to „Marjanek“!... Marysia IPOCHORSKA!... Przybyła też, by pożegnać swoją gromadę...

Przeprosił Luškę i podszedł do nich, by przywitać się z Marysią... Nie chcąc jednak stracić nawet uścisku dłoni mamusinki, powrócił do niej i zaprosił do towarzystwa... Poznały się więc dwie czwartaczki... Ale sygnał do wsiadania wzywał Zbyszka i Franka do wagonu...

Zaczęli się więc pośpiesznie żegnać...

— Pamiętaj, Zbysku!... Bądź rozsądny... I pisz!... — upomniała Lusja.

— Mamusinko moja!... Kocham cię, mamusinko!... — szepnął jej nad uchem. — Nie bój nic!... Wrócę!... A po skończonej wojnie... każdy swoją pojmie...

Ukradkiem złożył pocałunek na jej dłoni, uściskał rękę Marysi i pobiegł z Frankiem do wagonu...

Na peronie pozostali tylko zawiadowca stacji, oficerowie służby dworcowej, kpt. Smykał i niezbyt wielka gromadka odprowadzających...

Wreszcie zagrzmiał ostatni sygnał trąbki... Kpt. Smykał wskoczył do wagonu... Rozległ się prze-  
rażliwy świst lokomotywy i sznur wagonów z wolna zaczął toczyć się po szynach...

Stojący na peronie zaczęli wymachiwać chustkami, czapkami, śląc odjeżdżającym ostatnie pożegnania... A z przepełnionych wesołemi, junackimi twarzami wagonów buchnęła nowa pieśń gromady czwartackiej:

Za Niemen, za Niemen, aż do Berezyny,  
Rozbić bolszewików, całować dziewczyny!...  
Za Niemen, hen precz!... hen precz!...  
W kieszeni kawał chleba,  
Przepustka do nieba,  
Żołnierska to rzecz!...

K o n i e c.







